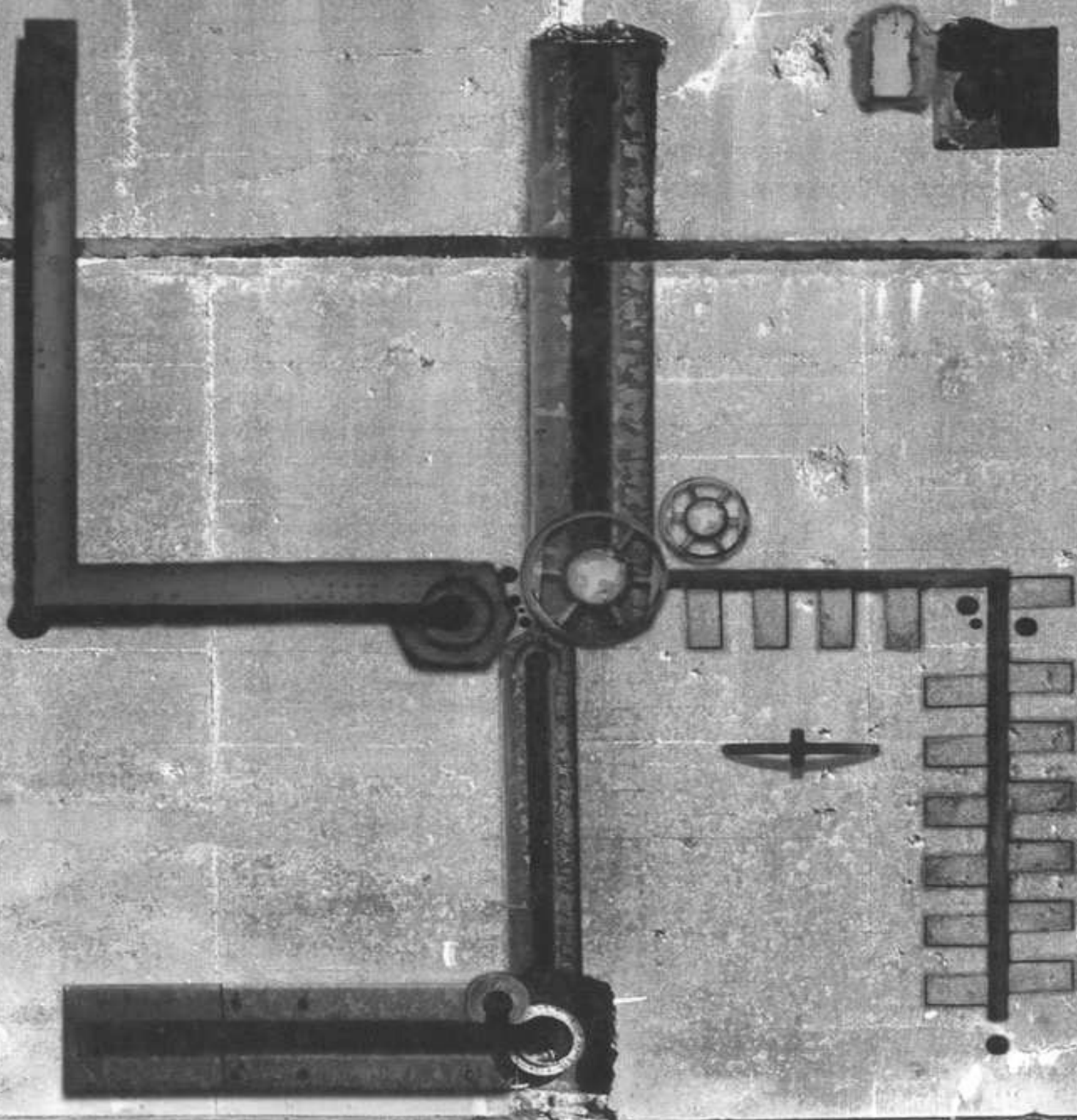


LESZEK ADAMCZEWSKI PAWEŁ PIATKIEWICZ

PODZIEMNY SKARBIEC RZESZY



TAJEMNICE FORTYFIKACJI MIĘDZYRZECKICH

LESZEK ADAMCZEWSKI PAWEŁ PIĄTKIEWICZ

PODZIEMNY SKARBIEC RZESZY

TAJEMNICE FORTYFIKACJI MIĘDZYRZECKICH

Replika

Spis treści

[Zamiast wstępu, czyli pułapka na myszy](#)

[Zaufani ludzie NSDAP](#)

[Z perspektywy Londynu](#)

[Kierunek Hochwalde](#)

[Ucieczka doktora Zimmermanna](#)

[Sprawozdanie kustosa Maya](#)

[Wagon do Grasleben](#)

[Tajemniczy Alfons K.](#)

[Skrzynie z Królewca](#)

[Zamknięci w garażach](#)

[Po nitce do skarbcza](#)

[Pociąg wojskowy numer 177/4162](#)

[W wyrobiskach kopalni soli](#)

[Przesłuchanie Sidorowa](#)

[Linia Hindenburga](#)

[Skarby wracają ze Wschodu](#)

[Zagadki podmiędzyrzeckich podziemi](#)

Zamiast wstępu, czyli pułapka na myszy

Rosjanie byli już bardzo blisko. Do Kalau, Starpel, Paradies i okolicznych wiosek od kilkudziesięciu godzin dochodziły odgłosy szybko zbliżającego się frontu. Nikt z mieszkańców nie przewidywał nawet w najczarniejszych myślach, że znad Wisły i Narwi Armia Czerwona tak szybko dotrze nad Obrę, do wschodnich powiatów tak zwanej starej Rzeszy.

Ostatni pociąg, odjeżdżający ze Starpel w kierunku zachodnim, był przepelniony do granic możliwości. A jednak porzucając walizki, tobołki i rowery do jadącego już pociągu wskakiwali ostatni pasażerowie. Byli to ci, którzy nie pochodzili z tych okolic, ale zostali skierowani do pracy przy rozbudowie tutejszych potężnych fortyfikacji, zwanych dziś Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym (MRU), lub do działającej niemal do ostatniej chwili, częściowo podziemnej, fabryki zbrojeniowej. Przymusowi robotnicy cudzoziemscy nie mieli powodu do ucieczki. Została też miejscowa ludność.

Do Kalau pierwsze patrole czerwonoarmistów dotarły 29 stycznia 1945 roku. Tego dnia, wieczorem zjawiała się tu szpica głównych sił 44. Brygady Pancерnej Gwardii, wyposażona w czołgi i samobieżne działa pancerne. I to ona w nocy, docierając szosą z Kalau do wioski Hochwalde, przełamała główne umocnienia Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty (Festungsfront OderWartheBogen), o który tu i ówdzie przez dwa następne dni toczyły się walki. Fortyfikacje, na których budowę Niemcy wydali miliony marek i które miały przez co najmniej kilkanaście dni zatrzymać Armię Czerwoną na głównym berlińskim kierunku natarcia, nie spełniły pokładanych w nich nadziei. A jednak na krótko przyhamowały one marsz Rosjan i pozwoliły Niemcom umocnić się na przyczółkach na wschodnim brzegu Odry pod Frankfurtem i Kostrzynem.

Po zajęciu Kalau przez czerwonoarmistów mieszkańcy wioski przeszli przez piekło gwałtów, rabunków, podpaleń i zbrodni. Jak później obliczono, w tych pierwszych dniach Rosjanie zabili trzydziestu mieszkańców Kalau: dwoje dzieci, pięć kobiet i dwudziestu trzech mężczyzn. Pozostałych stłoczono w pięciu gospodarstwach. Rozpoczęły się też wywózki młodych i zdrowych kobiet do obozów pracy gdzieś w głębi

ZSRR...

Siedem lat wcześniej życie mieszkańców Kalau, Hochwalde i okolicznych wiosek toczyło się wprawdzie utartymi koleinami, ale jednak trudno było je uznać za normalne, nawet według nazistowskich standardów. Mieszkańcy podmiędzyrzeckich wiosek znajdowali się bowiem pod dyskretną obserwacją hitlerowskich słb specjalnych. Wszak w pobliżu ich domostw budowano potężne fortyfikacje, które władze Trzeciej Rzeszy chciały ukryć dziś wiemy, że nieskutecznie przed wywiadem polskim.



Adolf Hitler wśród żołnierzy Wehrmachtu w Polsce we wrześniu 1939 roku. Prawie półtora roku wcześniej Führer podczas wizyty w okolicach Meseritz rozkazał przerwać budowę fortyfikacji międzyrzeckich.

Zdjęcie z archiwum Łucja Adamczewskiego

Ojciec Leonharda Hoffmanna musiał być majątnym na tamte czasy człowiekiem. Codziennie bowiem przewoził samochodem swe dzieci z Hochwalde do Kalau, gdzie wsiadały do pociągu, którym jechały do szkoły w pobliskim Meseritz.

I tak też było tamtego majowego dnia 1938 roku. Jedenastego lub dwunastego” napisał po latach Leonhard Hoffmann w monografii *Hochwalde. Ein Dorfin der Grenzmark Posen Westpreussen*, wspominając ten dzień. Oddajmy mu zatem głos:

„Ojciec wioził nas swoim samochodem na stację w Kalau, żebyśmy pociągiem pojechali do Meseritz. To musiało się wydarzyć o godzinie 7 rano, zanim podjechaliśmy

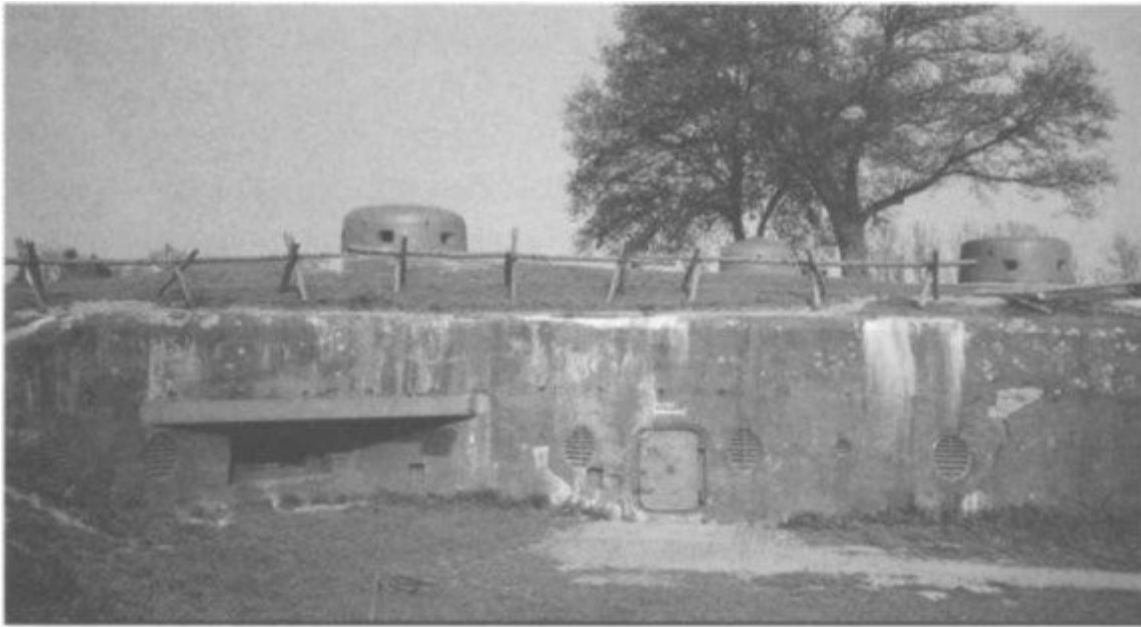
na wzniesienie Lemberg na drodze Hochwalde-Kalau. Z naprzeciwka pojawiła się kolumna samochodów. Jadący z jej przodu samochód zmusił nas do zjechania na pobocze i zatrzymania się. Ciekawskim wzrokiem patrzyliśmy na przejeżdżającą kolumnę. W pierwszym odkrytym samochodzie rozpoznaliśmy Adolfa Hitlera. To spotkanie było naturalnie głównym tematem rozmów dnia, zarówno w szkole, jak i we wsi”.

Czyli w Hochwalde, która to wioska nazywa się dziś Wysoka. Dla jasności podajmy jeszcze polskie odpowiedniki nazw innych wymienionych wyżej miejscowości. Kalau to Kaława, Starpel to Staropole, Paradies to Gościkowo, a Meseritz to Międzyrzecz.

Wróćmy jednak do daty tego niecodziennego spotkania na szosie. Po latach Hoffmann pisał, że prawdopodobnie było to 11 lub 12 maja 1938 roku. Dziesiątego maja Hitler wraz z liczną świtą dygnitarzy nazistowskich, zarówno ministrów swego rządu, jak i prominentnych działaczy NSDAP powrócił do Berlina z tygodniowej, oficjalnej wizyty we Włoszech, złożonej na zaproszenie króla Wiktora Emanuela m. Jest zatem mało prawdopodobne, by Führer już następnego dnia, i to wczesnym rankiem, przebywał w okolicach Meseritz. Z przebiegiem budowy Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty Hitler raczej zapoznał się więc 12 maja.

Jego adiutant lotniczy, wówczas kapitan Nicolaus von Below, po latach wspominał, że do tej inspekcji doszło w maju 1938 roku, nie wymieniając konkretnej daty. Napisał jednak, że wodzowi Trzeciej Rzeszy towarzyszyli: generał Walther von Brauchitsch naczelny dowódca wojsk lądowych i generał Otto Wilhelm Forster z Inspektoratu Saperów i Fortyfikacji.

„Hitler oglądał wszystko bardzo dokładnie i z zainteresowaniem napisał Below. Jego milczenie przy tej inspekcji było przygnębiające. Wszystkie te urządzenia były przestarzałe, nadziemne kopuły schronów uzbrojone były tylko w karabiny maszynowe. Tym nie można było zatrzymać żadnych czołgów. Długo też nie trwało, jak Hitler z Brauchitschem i Forsterem odsądził się nieco od swej świty i zdenerwowany usilnie ich na coś namawiał. Późniejsze rozmowy z Hitlerem pozwoliły mi zrozumieć jego przerażenie. Na podstawie dawnych meldunków Blomberga myślał, że w międzyrzeczu Odry i Warty chodzi o nowoczesne do pewnego stopnia urządzenia obronne”.



Jeden ze schronów bojowych grupy warownej „Scharnhorst”. Ten leżący w pobliżu szosy z Kaławy do Wysokiej schron w maju 1938 roku oglądał Adolf Hitler.

Fot. Leszek Adamczewski

„W czasie przeprowadzonej wizytacji piszą J.E. Kaufmann i R. Jurga w pracy *Twierdza Europa* Hitler uznał, że było to ogromne marnotrawstwo sił i środków, przede wszystkim dlatego, że dwanaście połączonych tunelami GW [grup warownych] wyposażono jedynie w lekkie uzbrojenie. Faktycznie zaplanowano kilka dużych baterii pancernych, które miały być zamontowane w schronach typu A składających się z trzech osobnych bloków; każdy z nich wyposażony byłby w wieżę z pojedynczą armatą kalibru 105 milimetrów. Projektowano zbudowanie siedmiu takich baterii w sektorze centralnym, który miał również mieć cztery podobne baterie haubic 150 mm”.

Wspomniany przez Nicolausa von Belowa feldmarszałek Werner von Blomberg od końca stycznia 1933 roku do pierwszych dni lutego 1938 był ministrem zrazu do spraw Reichswehry, a później wojny w rządzie Hitlera. I to on w końcu października 1935 roku wraz z generałem Forsterem oprowadzał Führera po terenie, gdzie rozpoczynała się budowa potężnego pasa umocnień, wzorowanego na francuskiej Linii Maginota. Ów front ufortyfikowany, przebiegający od Warty na północy, do Odry na południu, od okolic Schwerina a/Warthe (Skwierzyny) po rejon Züllichau (Sulechowa), miał chronić terytorium Rzeszy na głównym berlińskim kierunku natarcia... Wojska Polskiego. Tak, Wojska Polskiego, bo fortyfikacje międzyrzeckie, jak umownie się je dzisiaj nazywa,

rozpoczęto budować ze strachu przed Polakami.

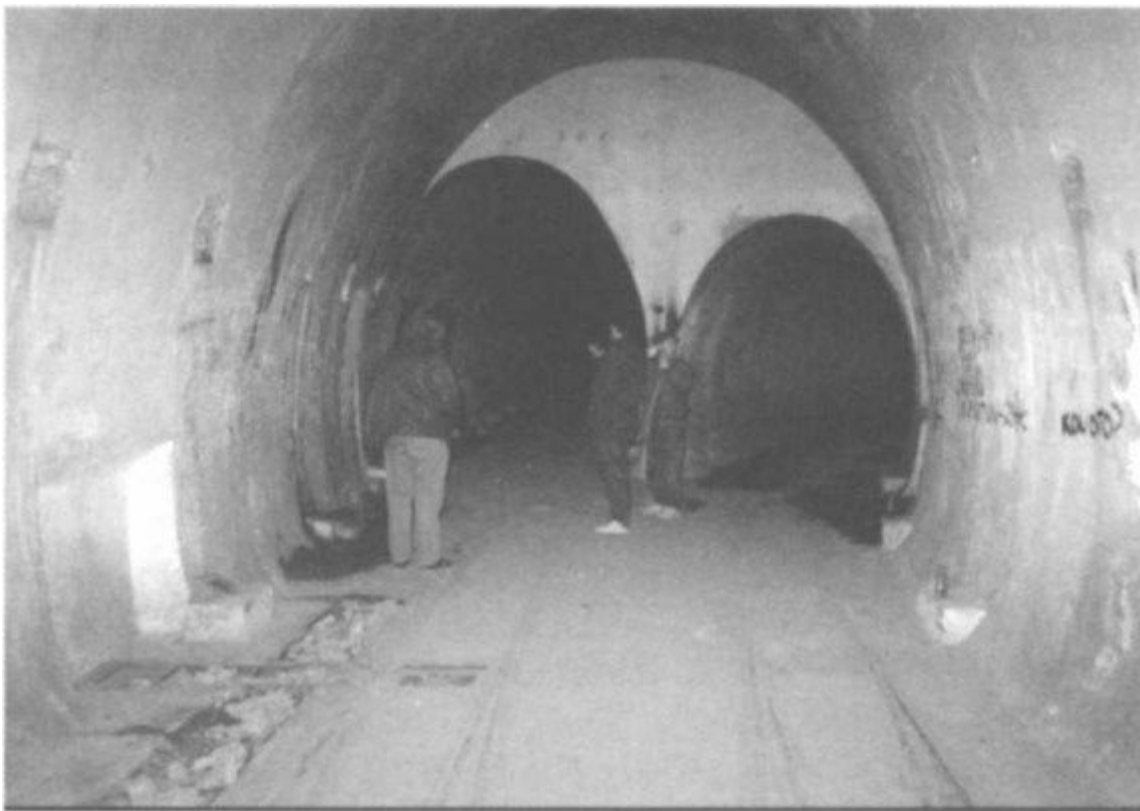
Ale w maju 1938 roku Wielkoniemiecka Rzesza już się Polski nie obawiała. To Europa zaczynała naprawdę bać się Hitlera i jego agresywnej polityki. Wszak kilka tygodni wcześniej Niemcy wchłonęły niepodległą Austrię, a cztery miesiące później rozpoczął się finał rozgrywki, której celem była niepodległa Czechosłowacja.

Rzucając wyzwanie Europie, Hitler nie zamierzał kryć się w fortyfikacjach. Przyszłą wojnę wyobrażał sobie jako działania szybkich jednostek zmotoryzowanych, w tym pancernych, a także lotnictwa. I stąd też wkrótce po inspekcji fortyfikacji międzyrzeckich wydał decyzję o przerwaniu wszelkich inwestycji w rejonie Meseritz. Za ogromne sumy, które od kilku lat pochłaniała budowa Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty, można byłoby wyekwipować i uzbroić kilka dywizji. To przemawiało do wyobraźni Hitlera. Inspektorat Saperów i Fortyfikacji protestował, ale na nic to się zdało. Führer był nieubłagany.

W swej monografii wioski Hochwalde Leonhard Hoffmann cytuje nawet słowa Hitlera, który po inspekcji systemu korytarzy podziemnych i schronów bojowych centralnego odcinka fortyfikacji międzyrzeckich miał się o nich wyrazić:

„Bezwartościowe pułapki na myszy, bez siły ognia, z jedną lub dwiema malutkimi wieżyczkami z karabinami maszynowymi. To twierdza, która służy do konserwowania przeciwników walki”.

Nie wiemy, skąd Hoffmann wziął ten cytat, ale Hitler rzeczywiście tak myślał. I tak mógł powiedzieć.



System podziemny Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry-Warty to ponad 32 kilometry tuneli i komór. Do dziś wzbudza on podziw fachowców. Hitler nazwał go pogardliwie „pułapką na myszy”.

For Leszek Adamczewski

Tej gigantycznej budowy nie można było przerwać z dnia na dzień. Ostatecznie stanęło na tym, że wykonawcy skoncentrują się na pracach wykończeniowych obiektów mocno zaawansowanych w budowie, co dla Inspektoratu Saperów i Fortyfikacji było wygodnym pretekstem do skrytego kontynuowania budowy. Dowiedział się o tym Hitler i zareagował błyskawicznie. W trybie natychmiastowym zwolniono generała Forstera z zajmowanego przezeń stanowiska, a kierownictwo budowy przejęła Organizacja Todta z kategorycznym poleceniem natychmiastowego zakończenia inwestycji.

Adolf Hitler okazał się wyjątkowo mściwym człowiekiem. Nie zapomniał o generale Forsterze i zlekceważeniu polecenia przerwania budowy fortyfikacji międzyrzeckich. Po pierwszych niepowodzeniach w wojnie ze Związkiem Radzieckim, dawny szef Inspektoratu Saperów i Fortyfikacji, który objął następnie podrzędne stanowisko dowódcze w oddziałach liniowych, został przez Hitlera po raz drugi zdymisjonowany. Przeżył jednak wojnę.

Przerywając budowę fortyfikacji międzyrzeckich, musiano wcześniej wykonać interesujący nas drobny fragment systemu podziemnego, który kilka lat później władze hitlerowskie przekształciły w ogromny skarbiec.

O tym, co w nim ukryto oraz jak doszło do jego odkrycia przez Armię Czerwoną, będzie mowa na następnych stronach. Udało się nam bowiem dotrzeć do nierzadko bardzo szczegółowych relacji i utajnionych lub zapomnianych do niedawna dokumentów, które uzupełnią naszą wiedzę o ten mało znany epizod z ostatnich miesięcy drugiej wojny światowej w Europie.

Spróbujemy również w labiryncie ciągnących się kilometrami tuneli odszukać ten fragment systemu podziemnego Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, gdzie Rosjanie znaleźli najprawdziwsze skarby.

Zaufani ludzie NSDAP

Sołacz, willowa dzielnica Poznania. Tu, obok Parku Sołackiego, stoi wyremontowana na przełomie lat 2002/2003 duża willa. W czasach drugiej wojny światowej, gdy ulica ta nosiła nazwę Masurenalle, w tym domu, oznaczonym numerem 6., mieszkał doktor filozofii Siegfried Rühle. Z wykształcenia był jednak historykiem sztuki. Na uniwersytetach w Berlinie i Marburgu studiował nie tylko historię, ale także germanistykę i języki starożytne.

Jak zatem widać, Rühle był człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Dziwi przeto nie tyle może nawet wulgarny język, co rubaszny styl jego obszernej pracy *Ein Museum baut auf*, zamieszczonej w wydawanym w okupowanym Poznaniu czasopiśmie „Wartheland” (1941 nr 1). W tym antypolskim artykule roi się od określeń w rodzaju „świński chlew” czy „głupi są ci Polacy”.

Rühle urodził się 19 października 1887 roku w Gdańsku. Po studiach, w 1914 roku zgłosił się ochotniczo do wojska i służył w stopniu podporucznika jako obserwator w eskadrze myśliwskiej. Po pierwszej wojnie światowej przez pięć lat pracował jako nauczyciel w Gimnazjum Miejskim w Danzigu, by w 1926 roku zostać kustoszem w utworzonym w tym właśnie roku Państwowym Muzeum Historii Gdańska (Staatlichen Landesmuseum für Danziger Geschichte), gdzie był bliskim współpracownikiem dyrektora tej placówki Ericha Keysera. Na krótko przed wybuchem kolejnej wojny światowej został zastępcą dyrektora. Przez trzynaście lat pracował w Pałacu Opatów w Gdańsku-Oliwie, gdzie owo muzeum miało swą siedzibę.

Pracując w Gdańsku i będąc uznanym znawcą jego dziejów, Rühle poznał prezydenta Senatu Wolnego Miasta Arthura Greisera. I Greiser o nim nie zapomniał, gdy z woli Adolfa Hitlera został namiestnikiem Rzeszy na ziemiach Wielkopolski, Kujaw i części Mazowsza formalnie włączonych do Niemiec jako zrazu Okręg Rzeszy Posen, nieco później przemianowany na Kraj Warty (Reichsgau Wartheland). Doktor Rühle objął dyrekcję Muzeum Cesarza Fryderyka w okupowanym Poznaniu. Międzywojenne Muzeum Wielkopolskie wróciło zatem do nazwy KaiserFriedrich

Museum, którą ta placówka nosiła w czasach zaborów. Dla porządku dodajmy w tym miejscu, że identyczną nazwę nosiło też muzeum w Berlinie.



Willa na poznańskim Solaczu przy ulicy Małopolskiej. Podczas okupacji hitlerowskiej w willi tej mieszkał doktor Siegfried Rühle, dyrektor Kaiser-Friedrich Museum.

Fot. Leszek Adamczewski

„Gdy na początku października 1939 roku, po zakończeniu działań wojennych, wróciłem się do pracy w Muzeum Wielkopolskim, które znowu nazywało się KaiserFriedrich Museum opowiadał w grudniu 1995 roku Przemysław Michałowski, wówczas emerytowany pracownik Muzeum Narodowego w Poznaniu, obecnie już nieżyjący doktor Siegfried Rühle akurat przejmował od Nikodema Pajzderskiego obowiązki komisarycznego wtedy jeszcze dyrektora. Rühle miał wówczas około pięćdziesięciu lat. Przyjechał z Gdańska. Był człowiekiem, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, uprzejmym. Przywitał się ze mną mile i zachęcił do pracy. Przede wszystkim zależało mu, aby muzeum szybko wróciło do że tak powiem normalności. Poleciał spakowane przez nas tuż przed wojną zbiory wyjąć ze skrzyń i powiesić na swych dawnych miejscach. Wkrótce jednak zmieniłem zdanie o nowym dyrektorze, ponieważ sekretarka dała mi do przeczytania napisany przez Rühlego protokół, w

którym przedstawiał stan, w jakim zastał muzeum. Był to antypolski paszkwil. Do dzisiaj pamiętam zdanie, w którym Rühle stwierdzał, że wprawdzie w muzeum był elektroluks, ale Polacy nie umieli się nim posługiwać.



Pałac Opatów w Gdańsku-Oliwie. W latach międzywojennych znajdowało się tu Państwowe Muzeum Historii Gdańska (Staatlichen Landesmuseum für Danziger Geschichte), w którym pracował doktor Siegfried Rühle.

Fot. Leszek Adamczewski

Po dwóch tygodniach porzuciłem więc pracę. Po prostu któregoś dnia nie poszedłem do muzeum i aż do lutego 1945 roku moje nogi nie przekroczyły progu gmachu muzeum przy alejach Marcinkowskiego. Wkrótce dowiedziałem się, że dyrektor Pajzderski został aresztowany i przewieziony do Fortu VII”.



W śródmieściu okupowanego Poznania. Kadry z nazistowskiego filmu propagandowego.

Zdjęcia z archiwum Pawła Piętkiewicz

Ostatniego przedwojennego dyrektora Muzeum Wielkopolskiego Nikodema Pajzderskiego gestapowcy zamordowali 6 stycznia 1940 roku w obozie koncentracyjnym (Konzentrationslager Posen) urządzonym w tym starym forcie pruskich fortyfikacji Poznania.

KaiserFriedrich Museum było w okupowanym Poznaniu nie tylko zwykłą placówką

muzealną. Z jednej strony gromadziło ono dzieła sztuki rabowane z wielu wielkopolskich kolekcji prywatnych, kościołów i lokalnych muzeów, z drugiej zaś było placówką w swej działalności wystawienniczej eksponującą głównie nazistowskie treści propagandowe, chociaż jak zauważył profesor Czesław Łuczak w jednej z prac o Kraju Warty zorganizowano tu także kilka ekspozycji o bezspornych walorach artystycznych, choćby wystawę niektórych dzieł Wita Stwosza w 1941 roku i prac plastyków fińskich w 1944 roku.

Siegfried Rühle uważany był za zaufanego człowieka czołowych nazistów. Jesienią 1984 roku o czym będzie jeszcze mowa tygodnik „Die Zeit” pisał o nim jako o człowieku Martina Bormanna, sekretarza Adolfa Hitlera i szefa Kancelarii NSDAP. A z biegiem czasu, gdy na „dworze” Führera zaczęły maleć wpływy choćby marszałka Rzeszy Hermanna Göringa czy ministra do spraw uzbrojenia i amunicji Alberta Speera, reichsleiter Bormann stał się najpotężniejszym człowiekiem nazistowskich Niemiec. I jeśli prawdą jest, że doktor Rühle był jego człowiekiem, to skromnemu dyrektorowi poznańskiego muzeum można było powierzyć nawet największe sekrety Trzeciej Rzeszy.



Arthur Greiser, namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i miejscowy gauleiter NSDAP, spotyka się z niemiecką ludnością jednego z wielkopolskich miasteczek.

Zdjęcie z archiwum autorów

Natomiast w opinii hitlerowskich władz Kraju Warty inna nominacja kadrowa okazała się niewypałem. Dyrekcja Pruskiego Tajnego Archiwum Państwowego w Berlinie-Dahlem na pierwszego dyrektora Reichsarchiv Posen, utworzonego na bazie międzywojennego Archiwum Państwowego w Poznaniu, powołała archiwistę wrocławskiego, doktora Hermanna Golluba. Do okupowanego Poznania przyjechał on 27 października 1939 roku i chyba nie w pełni zrozumiał swą „cywilizacyjną misję na odzyskanych ziemiach niemieckiego Wschodu”.

Po latach historyk, profesor Marian Wojciechowski, wspominał tamte czasy i swego ojca Zygmunta, pisząc między innymi: „Udało się Ojcu bezpieczne jak się okazało ulokowanie jego biblioteki. Przejął ją w depozyt (Depositum Wojciechowski) doktor Hermann Gollub, znany Ojcu sprzed wojny archiwista wrocławski, wówczas dyrektor Reichsarchiv Posen. Gollub powiedział: «Po wojnie bibliotekę Pan sobie odbierze». Tak też się stało. Gollub był dyrektorem archiwum poznańskiego do 1943 roku, potem poszedł na front Zmarł w 1958 roku. Jego następcą wyrzucił wszystkie polskie depozyty (śladem Ojca poszło jeszcze kilku profesorów poznańskich) z

archiwum na Górze Przemysława do dolnego kościoła Świętego Michała przy ulicy Stolarskiej”.

Marian Wojciechowski dodał, że ów kościół spłonął podczas walk o Poznań zimą 1945 roku, ale biblioteka jego ojca ocalała. Zagięły tylko zbiory dotyczące historii sztuki i pierwsze wydanie *Mein Kampf* Adolfa Hitlera.

Naprawdę pożar ogarnął kościół Świętego Michała podczas amerykańskiego bombardowania Poznania w drugi dzień Zielonych Świątek, 19 maja 1944 roku. Spłonęło wówczas kilka milionów książek skonfiskowanych Polakom w Kraju Warty, bez ładu i składu złożonych w górnym kościele, w tym liczące około 200 000 woluminów zbiory biblioteki Archiwum Archidiecezjalnego. Książki złożone w dolnym kościele ocalały.

Marian Wojciechowski popełnił również drugi błąd. Otóż doktor Hermann Gollub był dyrektorem Reichsarchiv Posen tylko do marca 1941 roku. Został odwołany z tego stanowiska po denuncjacji niemieckiego pracownika archiwum o dobrym traktowaniu Polaków.



Obecne Muzeum Narodowe w Poznaniu, podczas wojny Kaiser-Friedrich Museum.

Fot. Leszek Adamczewski



Niemiecka widokówka przedstawiająca Kaiser-Friedrich Museum (z prawej) w okupowanym Poznaniu.

Widokówka ze zbiorów Powie Prętkiewicz

Ciekawe, że fanatyczni hitlerowcy postawili podobny zarzut latem 1940 roku doktorowi Siegfriedowi Ruhlemu, o czym jeszcze wspomnimy. Dyrektora KaiserFriedrich Museum wybronił gauleiter Greiser, Gollub musiał odejść. Jednocześnie dyrektor generalny Pruskiego Tajnego Archiwum Państwowego wysłał pisma do podległych mu archiwów znajdujących się na ziemiach włączonych do Rzeszy. Otrzymali je doktor Ulrich Wendland, szef archiwum gdańskiego i nowy dyrektor Reichsarchiv Posen, przybyły z Królewca doktor Erich Sandow. Naczelnny szef z Berlina pouczył ich, aby „informacje o sprawie, a także udzielanie rad ograniczyć do minimum w kontaktach z Polakami oraz unikać rozmów i gestów, które mogłyby być interpretowane jako przyjazne wobec Polaków”.

Doktor Erich Sandow nie zagrzał długo miejsca w Poznaniu. Po dziesięciu miesiącach urzędowania na stanowisku dyrektora Reichsarchiv Posen został zastąpiony przez berlińskiego archiwistę, doktora Ericha Weisego. Od początku okupacji do końca 1941 roku Weise był dyrektorem archiwów dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa.

O doktorze Weise krążą różne opinie, nie zawsze prawdziwe. Na pewno nie był Polakożercą, ani nawet fanatycznym nazistą. Swego dyrektora dobrze poznał kustosz Adam Kaletka, jeden z nielicznych Polaków, których Niemcy pozostawili w

Reichsarchiv Posen. W jego opinii, Weise był typowym archiwistą, doceniającym wartość wszystkich starych dokumentów i czynił wiele, by nie uległy one zniszczeniu.

Jak się później okazało, obaj dyrektorzy Rühle i Weise rzeczywiście zrobili wiele, aby ocalić unikatowe skarby kultury.

Doktor Erich Weise przebywał jeszcze w Warszawie, gdy ludzie odpowiadający za zabezpieczenie dóbr kultury zgromadzonych w okupowanym Poznaniu otrzymali poważne ostrzeżenie. Pierwsze i ostatnie. Oto w nocy z 8 na 9 maja 1941 roku na stojące przy ulicy Śniadeckich budynki mieszkalne spadła bomba o sporej sile rażenia.

Jeden budynek został całkowicie zmieciony z powierzchni ziemi, dwa stojące obok zostały zniszczone mniej więcej w połowie, a kilkanaście innych doznało znacznych uszkodzeń. W sporej części miasta z okien wypadły szyby” wspominała ponad pół wieku później Zdzisława Krystek, która tę majową noc spędziła w pobliżu wybuchu bomby, w budynku na narożniku ulic Głogowskiej i Śniadeckich, gdzie „zakluczone drzwi zostały siłą podmuchu wyrwane i rzucone w głąb mieszkania”.

Krystek użyła współczesnych nazw obu ulic, które wtedy nazywały się: Glogauerstrasse i Herderstrasse.

W sporządzonym 9 maja raporcie inspektora Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa SS mowa jest o 2730 zabitych, wśród których miało być 18 Niemców. Według władz wojskowych, w tę noc zginęło 46 osób. Historykom tych liczb nie udało się zweryfikować,

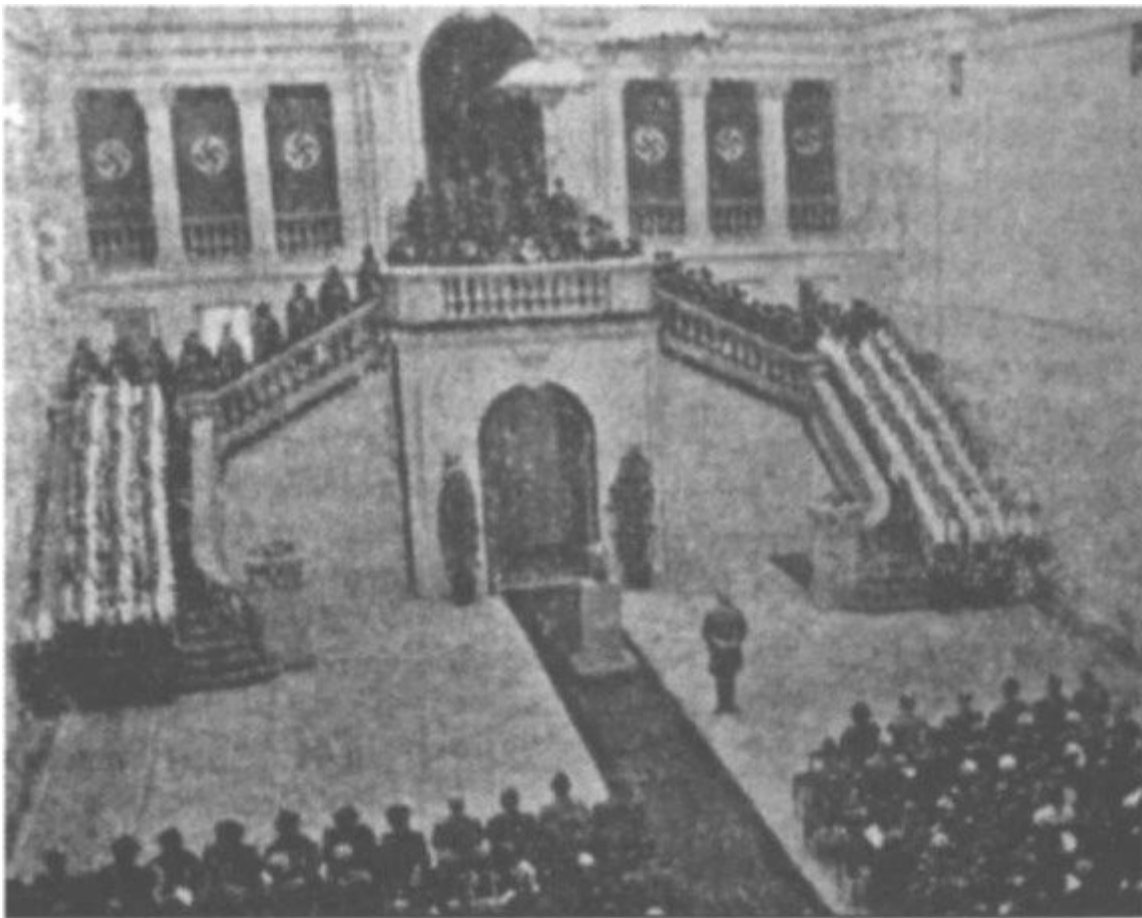


Otwarcie Kaiser-Friedrich Museum w okupowanym Poznaniu 21 stycznia 1940 roku odbyło się z charakterystyczną dla nazistów „pompą”. Przybyli namiestnik Rzeszy w Kraju Warty Arthur Greiser i szef samorządu Warthelandu Rudolf Schulz.

Reprodukcja zdjęcie z czasopiśmie „Ostdeutscher Beobachter”

ale większość z nich jest zgodna, że zginęło zaledwie 3 Polaków, a pozostali uznani przez inspektora za Polaków byli volksdeutscheami. Natomiast Zdzisława Krystek twierdziła, że w zniszczonych budynkach, po wcześniejszym wysiedleniu z nich Polaków, mieszkali głównie Niemcy nadbałtyccy.

Był to przypadek, ostrzeżenie czy może nieudana próba zniszczenia jakiegoś ważnego obiektu w Posen? zastanawiano się w następnych dniach w Urzędzie Namiestnika Rzeszy Kraju Warty, starając się wyjaśnić cel zrzucenia na miasto przez samolot Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii tylko jednej bomby.



Podczas otwarcia Kaiser-Friedrich Museum w jego głównej sali zgromadzili się najważniejsi przedstawiciele niemieckiej ludności okupowanego Poznania, dygnitarze NSDAP, członkowie SS i SA, oficerowie Wehrmachtu.

Reprodukcja zdjęcie z dziennika „Ostland-Poste”

Wśród kilku hipotez, które wysunięto w tej sprawie, jedna jest wielce prawdopodobna. Wiele wskazuje, że by! to przypadek. Tej bowiem majowej nocy lotnictwo brytyjskie bombardowało Frankfurt nad Odrą. Uciekając przed ogniem artylerii przeciwlotniczej i myśliwcami, jeden z bombowców mógł się zapędzić aż nad Posen i tu zrzucić swój śmiertelny ładunek. Ale nie można też wykluczyć, że załoga jednego z brytyjskich bombowców otrzymała zadanie specjalne. Przy okazji bombardowania Frankfurtu miała zniszczyć jakiś ważny cel w Poznaniu. Budynki mieszkalne przy Herderstrasse nie były nim na pewno.

Nie ulega wątpliwości, że przypadek ten by) rzeczywiście ostrzeżeniem dla władz Kraju Warty. Mieszkający w Posen Polacy w najbliższej przyszłości nie będą gwarancją naszego bezpieczeństwa tak eksplozję pojedynczej bomby zrozumiano w Urzędzie Namiestnika Rzeszy. Greiser nie zlekceważył tego sygnału i polecił, by w Posen

zbudowano gęstą sieć schronów przeciwlotniczych. I to one uratowały wiele istnień ludzkich, gdy trzy lata później i to miasto stało się celem dwóch wielkich bombardowań amerykańskich.



Resztki dawnego Zamku Królewskiego w Poznaniu na Górze Przemysła (wcześniej Przemysława). W latach 1939–1945 miało tu swą siedzibę Reichsarchiv Posen, a wcześniej polskie Archiwum Państwowe.

Fot. Lucjan Adamczewski

Wróćmy do postaci dyrektora KaiserFriedrich Museum. Doktor Siegfried Rühle obracał się w środowisku muzealnym pełnym intryg, zawiści i sporów kompetencyjnych. Próby jego odwołania z dyrektorskiego stanowiska podejmowali współpracownicy z muzeum, profesor Hans Schlieff hauptsturmführer SS i jednocześnie pełnomocnik do spraw zabezpieczenia niemieckiego mienia kulturalnego w Kraju Warty oraz Rudolf Schulz szef samorządu Warthelandu, formalny zwierzchnik Rühlego. Zapewne po stanowczej interwencji Greisera, dano spokój Rühlemu, który na swym stanowisku utrzymał się do końca hitlerowskich rządów w Poznaniu.

Od 1943 roku dyrektor rozpoczął przygotowania do jubileuszu pięćdziesięciolecia KaiserFriedrich Museum, zapominając chyba, że przez dwadzieścia międzywojennych

lat działało ono jako placówka polska Muzeum Wielkopolskie.

Nie, na pewno nie zapomniał. W czasopiśmie „Wartheland” (1941 nr 1) Rühle nazwał to muzeum o czym już wspomnieliśmy „świńskim chlewem”, a zgromadzone tam dzieła kultury polskiej „kiczem” lub „świństwem”.

W 1894 roku, 37 lat po powstaniu Muzeum Starożytności Polskich i Słowiańskich, tego typu placówkę utworzyły w Poznaniu władze pruskie. Było to Landesmuseum für die Provinz Posen. W 1904 roku uzyskało ono reprezentacyjną siedzibę, zmieniając jednocześnie nazwę na KaiserFriedrich Museum. Okazały eklektyczny gmach, przeznaczony specjalnie na jego zbiory, zaprojektowany został przez architekta Karla Hinckeldeyna.

Ten stojący w centrum Poznania monumentalny budynek odegrał mało dzisiaj znaną rolę, gdy na przełomie jesieni i zimy 1918 roku Wielkopolska zrzuciła jarzmo pruskie. Powstała 11 listopada tegoż roku niepodległa Polska nie obejmowała bowiem ziem zaboru pruskiego. Tam nadal trwała Rzesza Niemiecka, wprawdzie pokonana w wojnie światowej, ale nadal groźna. Gdy 3 grudnia 1918 roku za zgodą rządu Prus zebrał się w Poznaniu Sejm Dzielnicowy, demokratycznie wybrany wśród ludności polskiej zaboru pruskiego i skupisk Polonii w Niemczech, w gmachu KaiserFriedrich Museum rozmieszczono karabiny maszynowe. Niemcy liczyli się z tym, że Sejm Dzielnicowy ogłosi oderwanie Wielkopolski od Rzeszy. Nic takiego jednak nie nastąpiło i do walk nie doszło. Wybuchły one prawie miesiąc później, 27 grudnia. Gmach muzeum znalazł się wówczas na pierwszej linii frontu Powstania Wielkopolskiego, stając się pierwszą i przez kilka dni najważniejszą polską placówką powstańczą, przez ulicę Nową (obecnie Paderewskiego) sąsiadującą z Bazarem, gdzie od 26 grudnia mieszkali światowej sławy pianista polski Ignacy Jan Paderewski z żoną i członkowie towarzyszącej mu brytyjskiej misji wojskowej. To ich, a zwłaszcza Paderewskiego, pobyt w formalnie nadal niemieckim Poznaniu był iskrą, która eksplodowała wybuchem antyniemieckiego powstania.

Dosłownie w pierwszych jego minutach grupa powstańców z Polskiej Organizacji Wojskowej zaboru pruskiego wtargnęła do pustego gmachu KaiserFriedrich Museum. Nieco wcześniej ktoś zauważył, że do budynku Niemcy wnieśli jakieś podejrzane pakunki. Bramę muzealną otworzył wytrychem Aleksander Ratajczak. W KFM

powstańcy jak pisał jeden z nich, Jan Kąkolewski „znaleźli ciężki kulomiot [karabin maszynowy przyp. autorzy], coś około 30 karabinów i kilka tysięcy naboju. [...] Nie ulegało wątpliwości, że tajemniczy magazyn broni stworzyli Niemcy i coś brzydkiego planowali”.

Już w piątek, 27 grudnia 1918 roku, w późnych godzinach popołudniowych w gmachu muzeum zakwaterował oddział wywiadowczo wykonawczy, magazynowano też broń i, a może przede wszystkim, chroniono sąsiadujący z KFM Bazar. „Celem ewentualnego odparcia przypuszczalnego ataku Niemców od strony Prezydium Policji, umieściliśmy nasz karabin maszynowy w muzeum, w pierwszym oknie od ulicy Nowej na pierwszym piętrze. Umożliwiłoby to nam przeprowadzenie ewentualnego ostrzału, w razie natarcia Niemców na Bazar od strony placu Wolności”, czyli ówczesnego placu Wilhelma pisał w 1983 roku uczestnik tych wydarzeń Zygmunt Poplewski.

„Ostatnim dniem naszego zakwaterowania w muzeum czytamy w innym miejscu wspomnień Poplewskiego był dzień 5 stycznia 1919 roku. W nocy z 5 na 6 stycznia samochodem, na którym umieściliśmy nasz ciężki karabin maszynowy, gotowy do strzału, wyjechaliśmy na Ławicę”. A właściwie do podpoznańskiej wtedy wsi Ławica, gdzie znajdowało się obsadzone jeszcze przez Niemców lotnisko i koszary stacji lotniczej Flieger Ersatz Abteilung Nr 4. Po zdobyciu tych obiektów nad ranem, 6 stycznia, powstańcy do KFM już nie wrócili. Wkrótce Polacy przejęli tę placówkę kulturalną, przemianowując ją na Muzeum Wielkopolskie.

Dzisiaj trudno ustalić, czy doktor Siegfried Rühle znał powyższe fakty z dziejów KFM podczas pierwszych dni Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. W szczególności na pewno nie. I nie zamierzał ich przypominać podczas obchodów 50. rocznicy KaiserFriedrich Museum. Już w połowie 1943 roku Rühle zaplanował cykl imprez jubileuszowych, które miały odbywać się jesienią 1944 roku i zimą 1944/1945. A także pomyślał o funduszach na różne przedsięwzięcia rocznicowe. Dyrektor liczył zwłaszcza na sponsorów, członków powołanego przez siebie stowarzyszenia Zjednoczenie Przyjaciół KFM, do którego wstąpiło wielu prominentnych Niemców z Kraju Warty.

Oprawę naukową jubileuszu miały zapewnić dwa przedsięwzięcia: cykl wykładów i wydawnictwo *Festschrift*. Do obu jako wykładowców i autorów artykułów Rühle zaprosił

znanych niemieckich historyków sztuki z czołowych ośrodków akademickich Rzeszy. Analizując tę listę nazwisk, fachowcy od razu zwrócili uwagę, że zabrakło na niej profesora Ottona Kletzla. Ten Niemiec sudecki, absolwent uniwersytetów w Pradze, Monachium i Lipsku, docent Uniwersytetu Wrocławskiego, był dyrektorem Instytutu Badań nad Sztuką Uniwersytetu Rzeszy (Reichsuniversitat) w okupowanym Poznaniu i specjalizował się w tak zwanej sztuce wschodnioniemieckiej. Byłoby naturalne, że szef uniwersyteckiego instytutu historii sztuki będzie współpracował z organizatorami jubileuszu muzeum w tym samym mieście. Tymczasem Rühle nie cenił Kletzla. I go do współpracy nie zaprosił.

Im bardziej zbliżała się 50. rocznica utworzenia KaiserFriedrich Museum, tym więcej mnożyło się trudności. Wszak sytuacja militarna, w jakiej znalazła się Rzesza w 1944 roku, nie sprzyjała świętowaniu. Na cele cywilne w Niemczech brakowało już wszystkiego. Przez rok Siegfried Rühle starał się na przykład o przydział papieru na druk okolicznościowego wydawnictwa, a gdy wreszcie go otrzymał, mocno okrojony w stosunku do zamówienia, dyrektor muzeum nazwał przygotowywaną publikację „tak zwaną Księgą pamiątkową”, co oznaczało, że w końcu uda się wydać nie to, co sobie wymarzył.



Odbudowany kościół Świętego Michała (w głębi), który został częściowo zniszczony 29 maja 1944 roku podczas nalotu amerykańskiego na ówczesny Posen.

Fot. Leszek Adamczewski

Wprawdzie w piątek, 29 grudnia 1944 roku, Rühle wystąpił do drukarni po korekcie i poprawkach ostateczną wersję wydawnictwa jubileuszowego, jednak nigdy się ono nie ukazało. Tak zwane odbitki „szczotkowe” poszczególnych stron tej publikacji strawił ogień podczas walk o Poznań, a odlane w ołowiu wiersze okolicznościowych artykułów przetopiono, by od 16 lutego 1945 roku mógł ukazywać się „Głos Wielkopolski”, pierwsza polska gazeta w objętym jeszcze walkami mieście. Wszak hitlerowska załoga Cytadeli ostatniego punktu oporu w Festung Posen skapitulowała dopiero o świcie 23 lutego.

Nie tylko papierem Rzesza nie dysponowała. Przez kilka miesięcy Rühle korespondował z zarządami fabryk porcelany w Chodzieży, Miśni, Berlinie i Wiedniu w sprawie zaprojektowania przez artystów i wyprodukowania pamiątkowej plakietki porcelanowej. W końcu dość stanowczo wytłumaczono dyrektorowi, że w czasach wojny totalnej nie wolno zajmować się takimi bzdurami.

Obchody pięćdziesięciolecia Muzeum Cesarza Fryderyka zostały odwołane, chociaż

jeszcze jesienią 1944 roku, gdy Rosjanie stali już nad Wisłą, Rühle planował, że na początku następnego roku kilkunastu uczonych niemieckich wygłosi wykłady.

Z perspektywy Londynu

Wybiegliśmy w czasie aż do ostatnich tygodni wojny. Cofnijmy się zatem do roku 1941. Gdy w piątek, 10 stycznia tegoż roku, do okupowanego Poznania przyjechali z Berlina korespondenci prasy zagranicznej, którzy reprezentowali gazety i czasopisma zarówno sojuszników Trzeciej Rzeszy, jak i państw neutralnych, między innymi Wioch, Japonii, ZSRR, Hiszpanii, Węgier, Szwecji, USA i Szwajcarii, w mieście zatarto już ślady polskości, a organizatorzy tej „wycieczki” pokazali dziennikarzom tylko to, co chcieli pokazać. Nie zawieźli ich do Fortu, gdzie Polacy byli więzieni, torturowani i mordowani. Nie zaprowadzili do okręgowego urzędu gestapo, by pokazać cele z aresztowanymi przez policję polityczną i pokoje, gdzie ich przesłuchiowano.

Okupowane przez Niemców ziemie polskie zostały bowiem otoczone szczelnym kordonem, także informacyjnym. O tym, co działo się w Generalnym Gubernatorstwie oraz na ziemiach włączonych do Rzeszy, w tym w Wielkopolsce, świat wiedział niewiele. Z dużym opóźnieniem do Londynu czy później Waszyngtonu docierała przez państwa neutralne prasa niemiecka, w tym wydawane w GG gazety polskojęzyczne.

Czasami zdarzały się wyjątki, jak właśnie owa „wycieczka” korespondentów zagranicznych, z których część przemyciła w swych opublikowanych tekstach nieco nieskażonych hitlerowską propagandą informacji z za kordonu. Niemniej dziennikarze nie zobaczyli trudnego do opisanego terroru i przeróżnych szykan, egzekucji, wypędzeń i ciężkiej pracy ponad siły niedożywionych Polaków. Bo tak ujmując w dużym skrócie wyglądał codzienny, szary dzień w wojennym Posen.

Niektóre wiadomości przemycali krążący między okupowaną Polską a Londynem kurierzy, ale najczęściej ich informacje dotyczyły spraw związanych z funkcjonowaniem struktur państwa podziemnego. Wśród przywożonych przez nich informacji były też zaszyfrowane meldunki wywiadowcze. Podobne informacje nadawano do Londynu przez zakonspirowane radiostacje.

A jednak, w ekstremalnych warunkach okupacji hitlerowskiej, przez wspomniany kordon przedostawały się również informacje dotyczące rabunku skarbów kultury, a

rząd Rzeczypospolitej na wychodźstwie traktował tę sprawę nadzwyczaj poważnie. We władzach polskich zajmował się tym profesor Karol Estreicher (1906-1984).

Absolwent historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie był pracownikiem naukowym tej uczelni. W sierpniu 1939 roku ewakuował z Krakowa do Sandomierza słynny ołtarz Wita Stwosza z kościoła Mariackiego. Niestety, Niemcy odnaleźli i wywieźli ów ołtarz do Rzeszy. I to właśnie doktorowi Estreicherowi dane będzie po drugiej wojnie światowej odszukać ten skarb i osobiście przywieźć go z Norymbergii do Krakowa. Ale zasługi profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w ratowaniu polskich dóbr kultury są dużo większe.

Po tragedii wrześniowej Karolowi Estreicherowi udało się przedostać do Francji, gdzie opiekował się ewakuowanymi z Polski dziełami sztuki. W latach 1940-1945 w stopniu majora Wojska Polskiego kierował biurem rewindykacji polskiego mienia kulturalnego przy rządzie RP w Londynie. Był współtwórcą i aktywnym członkiem Komisji Vauchera (Paula Vauchera Commission), międzysojuszniczej organizacji alianckiej gromadzącej dokumentację dotyczącą rabunku skarbów kultury między innymi również w Polsce.

W drugiej połowie 1944 roku w Londynie Karol Estreicher wydał (na prawach rękopisu) pracę *Cultural losses of Poland (Straty kultury polskiej pod okupacją niemiecką 1939-1944 wraz z dokumentami grabieży*, Kraków 2003). Jest to biorąc pod uwagę warunki odcięcia od kraju, w jakich powstał ten katalog *Strat kultury polskiej* dzieło unikatowe. I chociaż wiele informacji zawartych w tym katalogu zweryfikowano negatywnie, gdy po wojnie dotarto choćby do niemieckich dokumentów wielkiej grabieży, to jednak praca Estreichera do dziś jest kopalnią wiedzy przede wszystkim o zasobach polskich instytucji i zbiorów prywatnych sprzed wybuchu drugiej wojny światowej.

We wstępie do swej pracy Estreicher pisał między innymi:

„W Niemczech mniej więcej od roku 1933 w różnych instytucjach dla badań słowiańskich i w seminariach uniwersyteckich zaczęto coraz bardziej interesować się Polską, jej kulturą, jej instytucjami naukowymi i zbiorami. Z Wrocławia i Królewca, ale także z Berlina, Marburga, Heidelbergi, a nawet z Rygi zaczęli zjeżdżać do Polski uczeni niemieccy, którzy pod pozorem przyjaznej współpracy naukowej zbierali informacje i orientowali się w zadaniach, jakie hitleryzm przed nimi stawiał.

Pamiętamy wszyscy dobrze wizyty owych uczonych niemieckich. Książka niniejsza dostarcza wystarczającej ilości dowodów, że rabunek w Polsce był metodyczny, przygotowany przez uczonych, którzy Polskę znali”.

Karol Estreicher wymienia następnie kilkanaście nazwisk uczonych niemieckich, z których część pod pozorem zbierania materiałów do pracy naukowobadawczej lub książek przyjeżdżała do międzywojennej Polski, przygotowując się w ten sposób do wielkiego rabunku skarbów kultury. Byli wśród nich między innymi profesor Dagobert Frey z ówczesnego Breslau (Wrocławia), profesor Karl Heinz Clasen z Königsbergu (Królewca), doktorzy Kai i Joseph Muhlmannowie. W tym doborowym towarzystwie grabieżców z tytułami naukowymi pojawia się też nazwisko dobrze znanego nam już doktora Siegfrieda Ruhlego z Gdańska.

Już wtedy, w połowie 1944 roku, doktor Karol Estreicher zwrócił uwagę na fakt niezwykle ważny. Pisał: „O ile wiem, żaden głos niemieckiego specjalisty, ani w Niemczech, ani za ich granicami, nie podniósł się przeciw rabunkom, jakie miały wzbogacić muzea prywatne nazistów, nowe muzeum w Linzu, zbiory w Norymberdze, Królewcu, Wrocławiu i w Berlinie”.

Jeśli nawet część znających okrutną prawdę Niemców w zaciszu własnego sumienia lub w gronie najbliższych przyjaciół potępiała w latach wojny zbrodnie nazizmu, a niektórzy wręcz odważyli się wystąpić przeciwko Hitlerowi (co zaowocowało choćby nieudanym zamachem w „Wilczym szańcu” 20 lipca 1944 roku), to wojenną grabież dóbr kultury powszechnie uważano za coś normalnego. Nie tylko zresztą w hitlerowskich Niemczech...

Obszerny ułożony w kolejności alfabetycznej spis *Strat kultury polskiej* Estreichera otwiera Antonin w przedwojennym województwie poznańskim. Na następnych stronach pojawiają się krótsze lub dłuższe hasła: Gniezno, Gołuchów, Poznań i nazwy innych miejscowości, które znalazły się w granicach Kraju Warty. Najcenniejsze dzieła sztuki, które do 1939 roku zdobyły muzea, kościoły i kolekcje prywatne w tych właśnie miejscowościach, ewakuowano. Akcja ta miała charakter tajny. W okupowanym Poznaniu, poza wąskim gronem pracowników KaiserFriedrich Museum i Reichsarchiv Posen oraz kilku wysokiej rangi urzędników z nazistowskich władz Kraju Warty, nikt o niej nie wiedział. I nie ma w tym nic dziwnego. We wszystkich państwach, także

demokratycznych, plany ewakuacji skarbów kultury na wypadek niebezpieczeństwa (wojny, klęsk żywiołowych) są osłonięte ścisłą tajemnicą.

A jednak w państwie Hitlera, gdzie przestrzeganie różnych tajemnic posunięto aż do granic absurdu, o celu ewakuacji dóbr kultury z Poznania dowiedzieli się niektórzy Polacy zatrudnieni zwłaszcza w Reichsarchiv Posen. Nie znali oni wprawdzie wielu szczegółów, ale wiedzieli jedno bezcenne archiwalia trafiły do bunkra należącego do systemu fortyfikacyjnego, zbudowanego przez Niemców wzdłuż linii Odry. Więcej, wiedzieli też, iż do tego bunkra wywożono również cenne dzieła sztuki z sąsiadującego z Reichsarchiv Posen KaiserFriedrich Museum. Wprawdzie ów bunkier o czym będzie mowa na następnych stronach tej książki okaże się tylko uzupełnieniem kilku pobliskich żelbetowych komór ukrytych głęboko pod ziemią, ale polscy pracownicy niemieckiego archiwum dobrze zapamiętali kierunek ewakuacji skarbów kultury.

O tym podziemnym skarbcu Karol Estreicher nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Stąd też przy przedstawianiu wojennych losów poszczególnych skarbów kultury często ograniczał się do stwierdzenia, że ich los nie jest znany. Jak w przypadku skarbcza katedry gnieźnieńskiej.

„Skarbiec katedralny pisał Estreicher zawierał wiele cennych średniowiecznych naczyń liturgicznych wykonanych z metali szlachetnych. [...] Stan obecny: Ukryty latem 1939 r. (razem z najcenniejszymi przedmiotami z biblioteki kapitulnej) w klasztorze Dominikanów w Lublinie. Po zajęciu Lublina przez Niemców, gestapo odnalazło kryjówkę i skonfiskowało wszystkie zbiory. Los skarbów nieznan”.

Gwoli ścisłości dodajmy, że nieco inaczej ten okres dziejów skarbcza katedralnego przedstawił w książce Zygmunta Roli *Tajemnice katedry gnieźnieńskiej* ksiądz kanonik Bolesław Dzierwa, dyrektor Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej, mówiąc:

„W listopadzie 1939 roku gestapo zamknęło katedrę, wywożąc najcenniejsze przedmioty do KaiserFriedrich Museum w Poznaniu i do



Karol Estreicher (na zdjęciu przy kompletowaniu odnalezionego w 1945 roku ołtarza Wito Stwosza z krakowskiego kościoła Mariackiego) podczas wojny w dalekim Londynie dokumentował także losy poznańskich skarbów kultury.

Zdjęcie z archiwum autora



Cenne monstrancje i inne unikatowe zabytki ze skarbcza katedry gnieźnieńskiej.

Fot. Leszek Adamczewski

Berlina. Zostały potem ukryte w kopalni soli w Grasleben niedaleko Brunszwiku, skąd wróciły do Gniezna, z niewielkimi stratami”.

O tym, jaki był los zabytków ze skarbcza katedry gnieźnieńskiej, będzie jeszcze mowa.

Wróćmy jednak do *Strat kultury polskiej* Estreichera. W pracy tej nie mogło

zabraknąć Gołuchowa i znajdującego się tam Muzeum Książąt Czartoryskich, które „zawierało 5000 eksponatów: dzieł sztuki, przedmiotów o wartości kulturalnej i historycznej, kilkaset obrazów tworzących bardzo cenną kolekcję”. Dalej czytamy, że „znajdujące się w gołuchowskim zamku eksponaty ze starożytnego Wschodu obejmowały dzieła egipskie, chaldejskie, fenickie, greckie, etruskie, rzymskie i kartagińskie, takie jak bogata kolekcja greckich i fenickich waz



Zamek w Gołuchowie, gdzie do 1939 roku znajdowało się prywatne Muzeum Książąt Czartoryskich.

Por. Leszek Adamski

z VII w. p.n.e., kolekcja figurek z terakoty (głównie greckich oraz pochodzących z Azji Mniejszej), wyroby garncarskie, w tym dwa bardzo cenne naczynia chaldejskie (4000 lat p.n.e.)”.

W Londynie udało się Estreicherowi ustalić, że „najcenniejsze przedmioty, w tym skarbiec rodziny Czartoryskich oraz cenna gablota rycin, zostały ukryte latem 1939 r. w rezydencji Książąt Czartoryskich w Sieniawie. Zostały one jednak odnalezione i rozgrabione przez niemieckich żołnierzy we wrześniu 1939 r. Wszystkie dzieła polskie pozostające w muzeum zostały na miejscu zniszczone. Niemcy skonfiskowali również i wywieźli do Poznania kolekcję greckich waz, antyczne i renesansowe terakoty oraz meble. Eksponaty, które tuż przed wojną zostały przeniesione do Warszawy i tam

ukryte przez osoby prywatne, zostały odnalezione przez Niemców, skonfiskowane i umieszczone w Muzeum Narodowym w Warszawie".

Hasło „Poznań” zajmuje w pracy Estreichera ponad trzydzieści stron i zaczyna się od przedstawienia przedwojennych zbiorów Archiwum Archidiecezjalnego. Potem mowa jest o Archiwum Państwowym, w tym następujące zdania: „Stan obecny: Archiwum zostało przejęte przez władze niemieckie. Dyrektorem został doktor Gollub z Wrocławia, ale zachowano część byłego personelu. Taki sam los spotkał bydgoski oddział archiwum. Jeżeli chodzi o zmiany w materiale archiwalnym składowanym tutaj, to wiadomo jedynie, że część archiwum wojewódzkiego przeniesiono do Poznania, z czego najcenniejsze były archiwum oraz biblioteka kapituły gnieźnieńskiej”.

Estreicher przedstawia również zasoby poszczególnych bibliotek poznańskich (Archidiecezjalnej, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Raczyńskich i Uniwersyteckiej) oraz muzeów. Rzecz jasna, autor *Strat* najwięcej miejsca poświęcił Muzeum Wielkopolskiemu, którego zbiory przed wybuchem wojny liczyły około 100 000 eksponatów: od obrazów i rzeźb, przez rzemiosło artystyczne i numizmatykę, na zbiorach archeologicznych skończywszy. O ówczesnym stanie muzeum Estreicher pisze między innymi: „Zarekwirowane przez władze niemieckie polskie dzieła sztuki zostały usunięte, a polska kolekcja etnograficzna skonfiskowana. Taki sam los spotkał polskie obrazy z XIX wieku oraz kolekcję wykopalisk z Biskupina”.

Nie wszystkie informacje zamieszczone w *Stratach kultury polskiej* były pełne czy aktualne. W czasie gdy Estreicher pisał swą pracę, dyrektorem Reichsarchiv Posen od ponad dwóch lat był już doktor Erich Weise, a wymieniony w katalogu doktor Hermann Gollub został o czym była już mowa usunięty z archiwum nie tyle nawet za przyjazny, co poprawny stosunek do Polaków. A tego w Kraju Warty, rządzonego twardą ręką przez Arthura Greisera, nie tolerowano.

Dzisiaj nie da się ustalić, skąd Estreicher czerpał informacje o losach polskich skarbów kultury pod okupacją niemiecką. Zapewne łatwiej było je uzyskać z Generalnego Gubernatorstwa niż na przykład z Kraju Warty, co wyraźnie widać w *Stratach kultury polskiej*. Bodaj w jednym tylko miejscu swej pracy Estreicher wskazał źródło informacji. Była nim *Krakauer Zeitung*, która pisała o magazynie książek

skonfiskowanych Polakom, urządzonym w poznańskim kościele świętego Michała.

Mimo tych czy innych zastrzeżeń, które dzisiaj można zgłaszać do pracy Karola Estreichera, trzeba przyznać, że podczas wojny udało mu się ustalić wyjątkowo wiele. Nas jednak interesować będzie to, o czym przebywający w Londynie szef biura rewindykacji polskiego mienia kulturalnego przy rządzie RP się nie dowiedział.

Bezcenne archiwalia oraz dzieła sztuki z Gniezna, Gotuchowa i Poznania trafiły pod ziemię nieco ponad sto kilometrów na zachód od stolicy Kraju Warty.

Kierunek Hochwalde

W 1942 roku Wielkoniemiecka Rzesza znajdowała się u szczytu swej potęgi. Wszak w końcu roku poprzedniego Hitler odważył się wypowiedzieć wojnę nawet Stanom Zjednoczonym Ameryki.

W końcu lata, tegoż 1942 roku duży samochód ciężarowy wraz z przyczepą firmy Hartwig zatrzymał się w samym środku znanej nam już wioski Kalau. Stąd powinien skierować się do Hochwalde (Wysokiej), ale trwało dobrą chwilę, zanim kierowca wypatrzył drogowskaz.

To już niedaleko. Tylko kilka kilometrów odezwał się siedzący obok kierowcy mężczyzna w cywilnym ubraniu, w którego klapę marynarki wpięty był znaczek członka NSDAP. Był to zaufany pracownik poznańskiego KaiserFriedrich Museum.

Samochód ruszył brukową drogą do pobliskiej wioski Hochwalde. Było czwartkowe popołudnie 3 września 1942 roku.

Tylko kilkanaście osób wiedziało, co wiozła ciężarówka Hartwiga. Wśród skrzyń i pakunków nie było złota. Były za to skarby kultury o wartości co najmniej kilku milionów ówczesnych dolarów...

Kilka miesięcy wcześniej do gabinetu Arthura Greisera w Urzędzie Namiestnika Rzeszy wprowadzono 55letniego mężczyznę. Chociaż z różnych okazji lubił on paradować w mundurze SA, na rozmowę z namiestnikiem Rzeszy w Kraju Warty i gauleiterem NSDAP włożył cywilny garnitur.

Pozdrawiam gdańszczanina powiedział Greiser, witając się z gościem i ruchem ręki wskazał mu stojące przed biurkiem krzesło.

Gościem gauleitera był doktor Siegfried Rühle, który przyszedł porozmawiać z namiestnikiem Rzeszy o zbiorach muzealnych. Szczegółów rozmowy nie znamy i nigdy nie poznamy. Wszystko jednak wskazuje, że Rühle zwrócił uwagę namiestnika, iż bezcenne skarby kultury muszą zostać ewakuowane z Poznania, który w każdej chwili mogą zbombardować alianci. Wystarczy jedna bomba i po części skarbów (już wtedy przechowywanych w różnych miejscach Poznania) pozostanie popiół. By zaś nie

zostać posądzonym o defetyzm, Rühle być może podał mu znane przykłady z Berlina i Breslau (Wrocławia), gdzie w tymże 1942 roku rozpoczęto ewakuację najcenniejszych dzieł sztuki, archiwaliów i zbiorów bibliotecznych na prowincję.

Ambitny Greiser chciał być lepszy od swych brunatnych kamratów i w tej dziedzinie. Nie jakieś wiejskie klasztory, kościoły i plebanie, nie leżące na uboczu pałace i zamki należy wybrać na miejsce ewakuacji poznańskich skarbów. Od wojskowych słyszał wszak o potężnych fortyfikacjach w okolicach Meseritz, a więc już poza granicami Kraju Warty, ale stosunkowo blisko Poznania, bo w odległości zaledwie 120 kilometrów. Któryś z generałów Wehrmachtu opowiadał namiestnikowi o ciągnących się kilometrami podziemiach tychże fortyfikacji, teraz już całkowicie bezużytecznych. To będzie to!

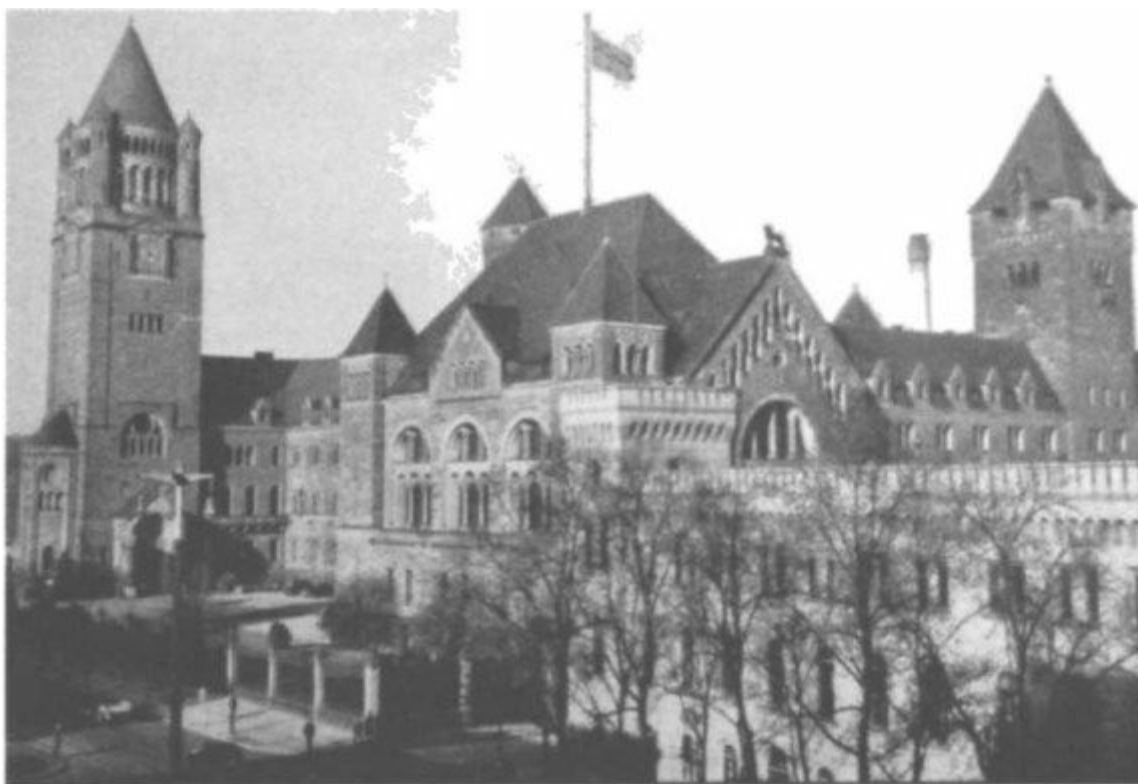
Oprócz wojskowych najwyższego szczebla i czołowych działaczy NSDAP, niewielu Niemców wiedziało o istnieniu tego, co dzisiaj nazywamy Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym. Wprawdzie 22 lutego 1940 roku władze hitlerowskie pokazały niektóre obiekty fortyfikacji międzyrzeckich, w tym eksperymentalną grupę warowną „Ludendorff” koło wioski Althofchen (Stary Dworek), niedaleko Skwierzyny, akredytowanym w Berlinie attache wojskowym państw sojuszniczym i neutralnych, ale fakt ten nie został odpowiednio nagłośniony przez propagandę nazistowską. Niemcom chodziło bardziej o efekt psychologiczny u swych zachodnich sąsiadów, zwłaszcza Francji, którzy wkrótce mieli stać się kolejnymi ofiarami agresywnej polityki Hitlera. Pokazując zaś wojskowym dyplomatom obiekty forteczne, a więc siłą rzeczy o charakterze obronnym, władze nazistowskie chciały uśpić ich czujność. Proszę zdawały się mówić wydaliśmy tyle pieniędzy na budowę potężnych fortyfikacji i nie mamy agresywnych zamiarów.

Greiser obiecał więc Rühlemu, że wykorzystując swe wpływy w Berlinie załatwi tę sprawę i przynajmniej najcenniejsze eksponaty z KaiserFriedrich Museum będzie można umieścić w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich. I słowa dotrzymał.

Żelbetowe umocnienia Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty podlegały Inspekcji Umocnień Wschodnich (Inspektion der Ostbefestigungen), która miała swą siedzibę w okupowanym Poznaniu przy Tannenbergrasse 14, a administrowała nimi placówka FestungsDienststelle w Zielenzig (Sulęcinnie). W końcu sierpnia 1942 roku

gościła ona dyrektora Ruhlego i trzech jego współpracowników o nazwiskach Dehio, Ruth i Wohlfeil.

W podróż służbową w okolice Meseritz i Zielenzig wybrali się 31 sierpnia. Zwiedzili podziemne pomieszczenia przeznaczone na magazyny dóbr kultury, a później konferowali między innymi z majorem Boinem z Inspekcji Umocnień Wschodnich. Następnego dnia dyrektor Rühle sporządził w Poznaniu dokument zatytułowany „Aktenvermerk”



Pocesarski Zamek w Poznaniu Arthur Greiser wybrał na swoją reprezentacyjną siedzibę. Stało się to za zgodą Adolfa Hitlera, który polecił przebudować ten monumentalny gmach na swoją wschodnią rezydencję.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piętkiewicza

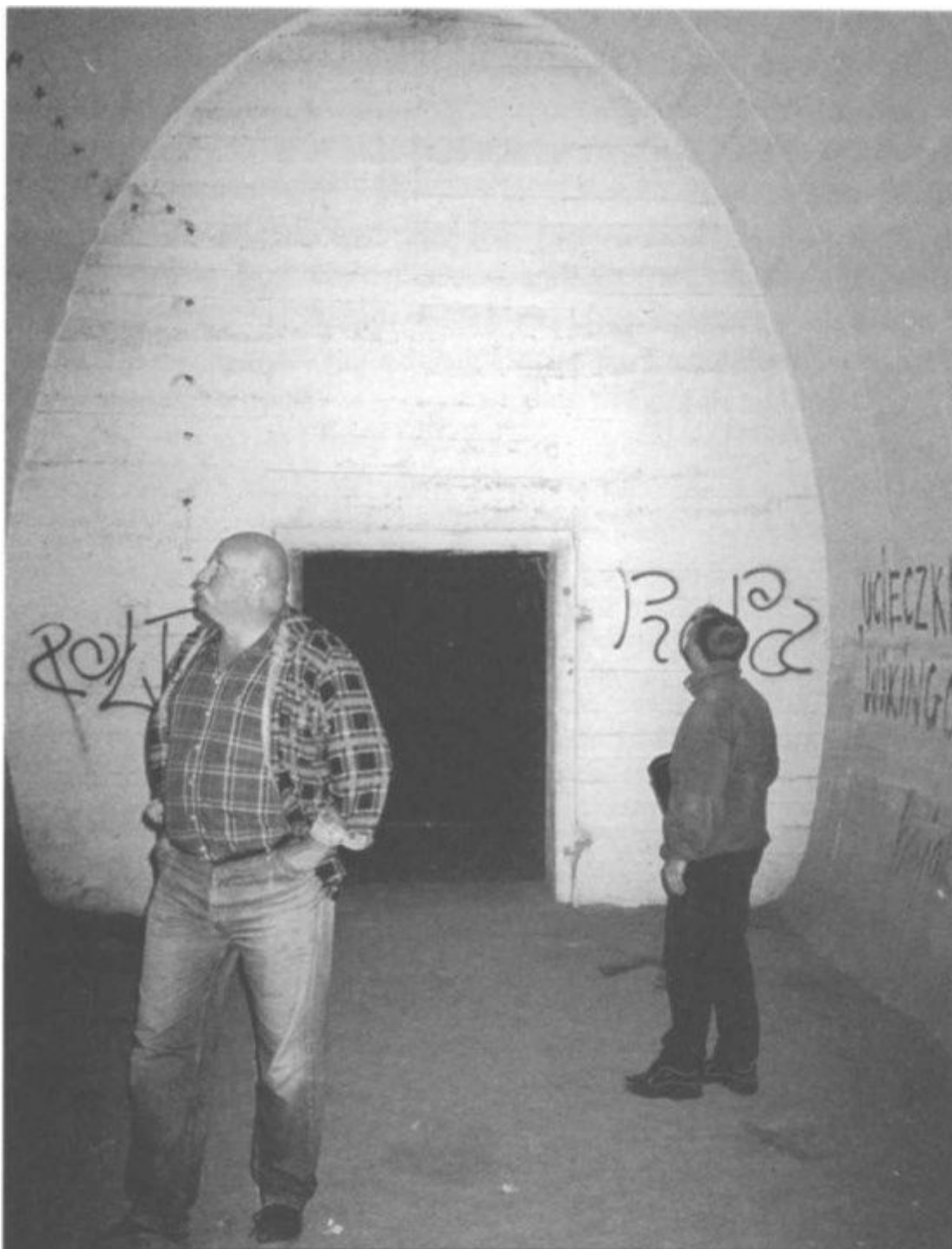
(Adnotacja do akt), który faktycznie był protokołem uzgodnień w sprawie transportu skarbów kultury do magazynów podziemnych.

„Major Boin czytamy w tym dokumencie zobowiązał wszystkich uczestników podróży do zachowania tajemnicy oraz zażądał, aby transportem zajmowali się jedynie Niemcy. Tylko przy pakowaniu i załadunku mogą pracować Polacy. Kierowca ciężarówki, który przywiezie dzieła sztuki aż na rampę przeładunkową, także musi być

Niemcem. Przy przeładunku z ciężarówki na kolejkę wąskotorową powinni pracować również tylko niemieccy pakowacze względnie strażnicy. Ponieważ wyjaśniłem, że firma Hartwig nie ma tak wielu niemieckich pracowników oraz że również ja [czyli Rühle] nie znam wielu niemieckich strażników, dlatego też zaproponowano, aby umieścić tam oddział 1012 żołnierzy pod dowództwem sierżanta, który przeprowadzi przeładunek dzieł sztuki z ciężarówek do kolejki wąskotorowej oraz wyładunek z kolejki do pomieszczeń”.

Uczestnicy narady uzgodnili, że przeładunkiem zwożonych z Poznania skarbów zajmować się będą żołnierze ze stacjonującego w Meseritz batalionu numer 477. Jednocześnie ustalono, że wszyscy pracownicy KaiserFriedrich Museum, którzy wezmą udział w transportach dzieł sztuki do fortyfikacji międzyrzeckich „muszą być jak najdokładniej sprawdzeni, czy są godni zaufania”.

Ustalono również, że w okolicach Meseritz pozostanie jeden z pracowników poznańskiego muzeum. Codziennie będzie on doglądał zgromadzonych w podziemiach skarbów kultury. Problemem okazało się tylko dojście do magazynów. Znajdujące się w ich pobliżu zejście stromymi schodami jest zamknięte czytamy w „Adnotacji do akt”, przeto „konieczne będzie korzystanie z dróg dojazdowych, poprzez które dzieła sztuki wwożone będą kolejką wąskotorową. Ponieważ z kolejki można korzystać tylko okazjonalnie, poleca się panom, którzy mają pracować w bunkrze, a w szczególności panu Ruth, używanie roweru. Rower dla pana Ruth winno zapewnić muzeum. Pan Ruth na czas pracy nad dziełami sztuki zostanie zakwaterowany w Lehrerbildungsanstalt Paradies”, czyli w placówce kształcenia nauczycieli w Gościkowie Paradyżu.



**Wejście do jednej z komór amunicyjnych baterii pancernej numer 5 w podziemiach fortyfikacji między-
rzecznych, gdzie od jesieni 1942 roku przechowywano część ewakuowanych z Poznania skarbów kultury.**

Fot. Leszek Adamczewski

Pierwszy transport eksponatów muzealnych trafił do magazynów podziemnych o czym była już mowa 3 września 1942 roku. Potem były następne, także bezcennych archiwaliów z Reichsarchiv Posen. Również dyrektor Erich Weise potrafi! zadbać o powierzone jego pieczy zbiory.

Na podstawie zachowanych dokumentów niemieckich udało się odtworzyć przebieg zwożenia poznańskich skarbów muzealnych do magazynów w systemie podziemnych fortyfikacji międzyrzeckich. Otóż najpierw był telefon z Poznania do majstra fortecznego (Wallmeister) o nazwisku Lobe, którego informowano o dacie przyjazdu kolejnego transportu. Lobe z kolei na wyznaczony dzień zamawia! żołnierzy z batalionu w Meseritz. Być może, bo dokumenty nie mówią o tym wprost, w dniu przyjazdu transportu potwierdzano telefonicznie, że samochód lub samochody akurat wyjeżdżają ze stolicy Kraju Warty. Biorąc pod uwagę odległość i stan dróg oraz niezbyt dużą prędkość przeciążonego samochodu, powinien on dotrzeć do Hochwalde po czterech godzinach jazdy. Zresztą w cytowanej tu „Adnotacji do akt” zapisano, że pierwszy transport ze skarbami wyjedzie z Posen o godzinie dziesiątej i dotrze do Hochwalde o drugiej po południu. Jakby nie liczyć, wychodzą cztery godziny.

Majster Lobe z żołnierzami czekał na transporty z Poznania na rampie przeładunkowej w pobliżu Obozu Północnego (Lager Nord), koło Hochwalde. Owa rampa w 1942 roku znajdowała się w miejscu, gdzie później zbudowano halę produkcyjną dla zakładów lotniczych Schachtelhalm, które w drugiej połowie następnego roku urządzono koło Wysokiej, przede wszystkim w podziemiach MRU. Ruina tej hali stoi do dziś koło wjazdu A64 do systemu podziemnej fortyfikacji międzyrzeckich.

Im Raum 11 wurde die Kiste Nr. 9 "Litzmannstadt" mit dem Altarbild geöffnnet. Diese Kiste war während des Transportes bei der Einfahrt beschädigt worden. Es stellte sich heraus, daß das Bild selbst keinen Schaden erlitten hat und wohlerhalten ist. Die Kiste wurde repariert und von neuem geschlossen. Auch in diesem Raum ist die Luft wieder trockener geworden - Feuchtigkeit 78 %. Alle abgestellten Möbel sind in gutem Zustande.

Erwin Wohlfeil

3. 9. 43.

Fragment kolejnego sprawozdania z kontroli podziemnych komór ze skarbami kultury. Pod tym dokumentem podpisał się kustosz KFM Erwin Wohlfeil.

Dokument z archiwum Powiatu Piętnowiec

Tam następował przeładunek skrzyń na wagoniki kolejki wąskotorowej, które lokomotywka akumulatorowa ciągnęła kilka kilometrów w głąb podziemi, zrazu na wschód, a później na południe do magazynów urządzonych w komorach amunicyjnych nieukończonej baterii pancernej numer 5.

W zachowanych dokumentach można przeczytać, że placówka FestungsDienststelle przekazała na potrzeby obu poznańskich instytucji muzeum i archiwum komory numer 8 i 9 oraz 11,12 i 13.

W „Adnotacji do akt” z 14 grudnia 1942 roku, sporządzonej po kontroli zmagazynowanych w podziemiach skarbów, czytamy między innymi: „Na obrazach, które przekazał Gauleitung, pan Wohlfeil stwierdził ślady zaczynających się uszkodzeń z powodu wilgoci. Higrometr, który ponownie tam powieszono, wykazał, że wilgotność powietrza wynosi 85 procent. Po natychmiastowej naradzie postanowiono zrezygnować z tego bunkra”. Ów bunkier był komorą amunicyjną numer 8.

Trzy dni później dyrektor Rühle sporządził kolejną notatkę z kontroli przeprowadzonej 16 grudnia 1942 roku. Mowa w niej o przeniesieniu depozytu z komory numer 8 do 12. „Przeniesienie przebiegło bez najmniejszych przeszkód. Pan Wohlfeil w mojej obecności przeczyścił obrazy, które zostały przekazane muzeum przez Gauleitung; oczyścił je delikatnie z kurzu i drobinek pleśni i spryskał je w celu dalszego zabezpieczenia” napisał Rühle.

Prawie pół roku od wysiania w okolicy wioski Hochwalde pierwszego transportu skarbów, 18 lutego 1943 roku doktor Siegfried Rühle pisał do FestungsDienststelle: „Ponieważ Muzeum Cesarza Fryderyka z polecenia gauleitera i namiestnika Rzeszy w Okręgu Rzeszy Kraj Warty ma do umieszczenia dalsze dzieła sztuki w znanych pomieszczeniach, które są zabezpieczone przed bombardowaniami, wnioskuje o przeznaczenie kolejnych komór amunicyjnych na ten cel i proszę o przekazanie Muzeum Cesarza Fryderyka komory amunicyjnej numer 10, znajdującej się obok komory numer U, którą Muzeum Cesarza Fryderyka już dysponuje. Proszę jednocześnie o zamocowanie drzwi i zainstalowanie 3 grzejników”.

Już 25 lutego placówka FestungsDienststelle, pismem podpisanym przez kapitana Dybilasza, poinformowała KaiserFriedrich Museum, że przekazuje komorę amunicyjną numer 10 na jego potrzeby, dodając, że „zarówno przyłączenie 3

grzejników, jak i zamocowanie drzwi zostanie zlecone do wykonania. To ostatnie zostanie załatwione, ale potrzeba na to trochę czasu”.

Rzeczywiście, zamontowanie drzwi trwało długo, bo oto leży przed nami inny dokument niemiecki. Z kolejnej notatki dyrektora Rühlego można się także dowiedzieć, że do magazynów podziemnych w fortyfikacjach międzyrzeckich latem 1943 roku trafiły również zbiory łódzkie.

Łódź, w 1940 roku przemianowana na Litzmannstadt, była nie tylko największym miastem Kraju Warty, ale także jednym z największych ośrodków miejskich Wielkoniemieckiej Rzeszy, do której jako oddzielną prowincję jesienią 1939 roku włączono Reichsgau Wartheland. Według danych z końca 1941 roku zamieszczonych w spisie największych miast Trzeciej Rzeszy Litzmannstadt z 748 000 mieszkańców zajmowała pozycję 6., gdy tymczasem Posen stolica Kraju Warty z 299 000 mieszkańców uplasował się na pozycji 25.



Dawny wjazd A64 do systemu podziemnego MRU. Tą drogą przewożono skarby kultury w wagonikach kolejki wąskotorowej do baterii pancernej numer 5.

Fot. Leszek Adamczewski

Wśród łódzkich Niemców nikt jednak nie miał wątpliwości, że najważniejsze decyzje dotyczące rejencji łódzkiej i miasta Litzmannstadt zapadały w Posen, w

Urzędzie Namiestnika Rzeszy Kraju Warty i w Gauleitungu NSDAP, czyli w okręgowej siedzibie partii hitlerowskiej.

26 września 1942 roku, podczas uroczystego otwarcia w Litzmannstadt Muzeum Prehistorii (Museum für Vorgeschichte) któryś z przybyłych z Posen dygnitarzy lub muzealników wygadał się, że właśnie rozpoczęto ewakuację najcenniejszych dzieł sztuki z Muzeum Cesarza Fryderyka do magazynów podziemnych. Już ta informacja wystarczyła Wernerowi Ventzkiemu, nadburmistrzowi Litzmannstadt, by w Urzędzie Namiestnika Rzeszy podjąć starania o objęcie podobną ochroną skarbów łódzkich.

Ventzki argumentował, że łódzkie muzea są skarbnicami zbiorów zabytków materialnych niemieckiego dziedzictwa kulturalnego.

W międzywojennej Łodzi znajdowało się wiele instytucji i placówek gromadzących dobra kultury: archiwa, biblioteki i muzea. Miejskie Muzeum ArcheologicznoEtnograficzne posiadało 4000 na ogół cennych eksponatów. Miejskie Muzeum Historii Sztuki zawierało galerię obrazów polskich, a także akwarele, rysunki i grafiki od drugiej połowy XVIII do początków XX wieku. Ponadto, na krótko przed wybuchem wojny Karol Eisert przekazał muzeum cenną kolekcję obrazów włoskich, flamandzkich, holenderskich i polskich mistrzów. Oprócz tego w Łodzi znajdowały się wartościowe kolekcje prywatne: Hirszberga, Kotkowskiego i Poznańskiego.

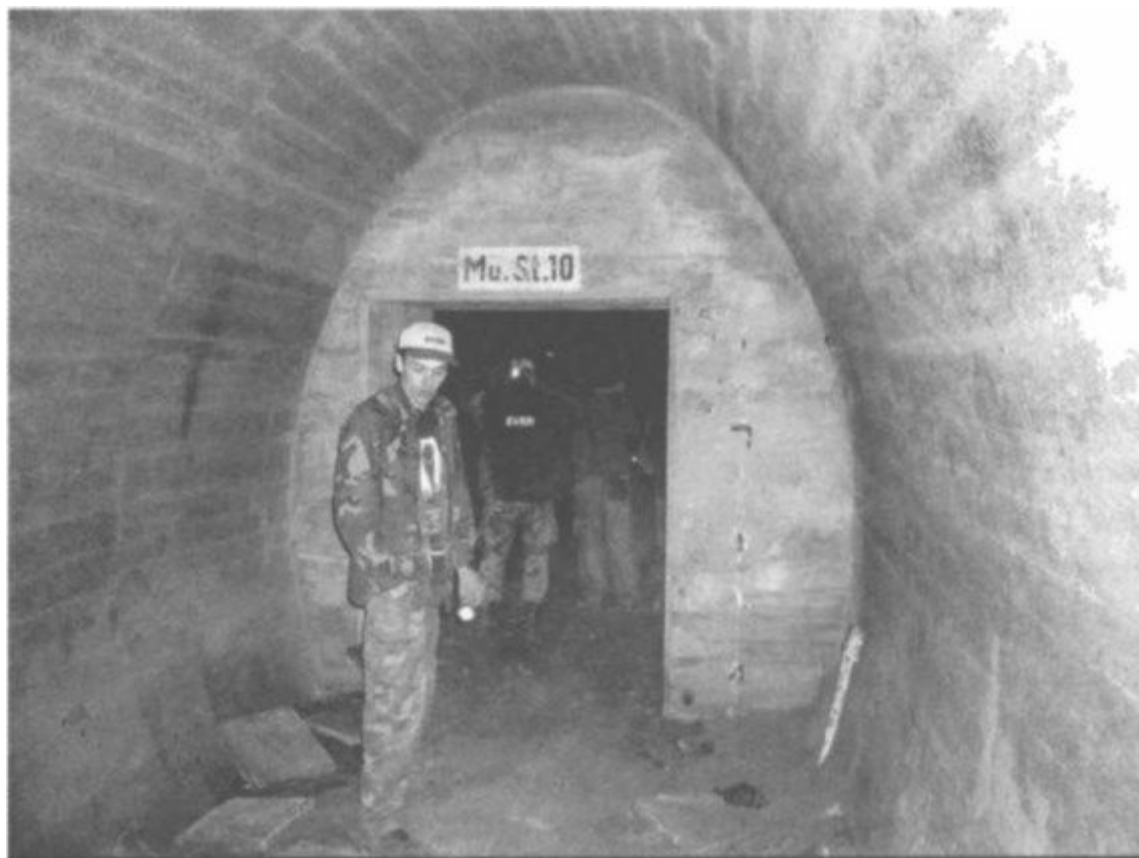
Po zajęciu Łodzi przez hitlerowski Wehrmacht skonfiskowano wszystkie eksponaty muzealne, zbiory biblioteczne i archiwalia. Część zbiorów, zwłaszcza bibliotecznych, zniszczono. Podobny los spotkał też te zabytki, których autorami byli Żydzi.

Zbiory prehistoryczne, cenne obrazy i tym podobne zabytki Niemcy zgromadzili w dwóch placówkach: we wspomnianym Muzeum Prehistorii oraz w Muzeum Miejskim (Städtischen Museum). I właśnie o ochronę tych zbiorów zabiegał w Poznaniu Werner Ventzki. Cel ten udało mu się osiągnąć na krótko przed odwołaniem z urzędu nadburmistrza, co nastąpiło 23 sierpnia 1943 roku.

Dziesięć dni wcześniej najcenniejsze zbiory z łódzkich muzeów zawieziono do podziemnych magazynów w fortyfikacjach międzyrzeckich.

Pożółkła ze starości kartka maszynopisu wyjaśnia wiele, chociaż nie wszystko. To kolejna „Aktenvermerk”, czyli „Adnotacja do akt” sporządzona 14 sierpnia 1943 roku przez maszynistkę dyrektora Siegfrieda Rühlega pod jego dyktando i przez niego

podpisana. Notatka dotyczy „wizyty kontrolnej w zabezpieczonych przed bombardowaniem pomieszczeniach Muzeum Cesarza Fryderyka”.



Widoczny na zdjęciu numer komory amunicyjnej w podziemiach baterii pancernej numer 5 pojawia się w wielu dokumentach z lat drugiej wojny światowej, przechowywanych w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Fot. Robert Fręckowski

Był piątek, 13 sierpnia 1943 roku. Spod gmachu KaiserFriedrich Museum wyjechały w kierunku Meseritz przynajmniej dwa samochody ciężarowe, na które załadowano skrzynie z dobrami kultury. Z załącznika do notatki Rühlego wiemy, że tego dnia do fortyfikacji międzyrzeckich przetransportowano między innymi pięć skrzyń z malarstwem z Muzeum Cesarza Fryderyka oznaczonych numerami od 24 do 28, dwanaście skrzyń z obrazami i zabytkami prehistorycznymi z muzeów łódzkich, cztery skrzynie z przedmiotami srebrnymi i cynowymi, które zostały „zapakowane przez pana Stempla" oraz jedną paczkę czasopism o sztuce „dla pana Franza Maya”.

Artysta malarz Franz May był kustoszem w Muzeum Cesarza Fryderyka, a kim był wspomniany Stempel, nie udało nam się ustalić. Prawdopodobnie był pracownikiem

jednego z łódzkich muzeów, ponieważ owe „przedmioty srebrne i cynowe” do Posen przyjechały z Litzmannstadt.

Minikonwój ciężarówek poprzedzał samochód osobowy dyrektora Rühlego, który zaprosił doń swego pracownika Erwina Wohlfeila oraz niejakiego Bausta, reprezentującego nadburmistrza Litzmannstadt. Transport ten dotarł w pobliże wioski Hochwalde, gdzie żołnierze z Meseritz przeładowali skrzynie na wagoniki kolejki akumulatorowej, która zawiozła dobra kultury do podziemnych komór baterii pancernej numer 5.

„Transport przebiegł bez zakłóceń” napisał doktor Rühle. „Kontrola, którą przeprowadził pan Wohlfeil, nie wykazała żadnych uszkodzeń. Poziom wilgotności był zadowalający”. Wilgotność dodajmy sprawdzono we wspomnianych komorach podziemnych.

Z załącznika do „adnotacji” Rühlego wiemy też, że korzystając z pobytu w podziemnych magazynach, skontrolowano również niektóre z przywiezionych wcześniej skrzyń, między innymi tę z napisem „Dom” (*der Dom* to katedra, a więc w skrzyni tej znajdowały się jakieś skarby z katedr gnieźnieńskiej lub poznańskiej, albo z obu tych świątyń) oraz luźno stojące obrazy z Gauleitungu NSDAP Kraju Warty. Dokument nie precyzuje, jakie to były obrazy: autentyczne dzieła sztuki, czy może propagandowe dziełka nazistowskich artystów. Bo i takie jak się okaże magazynowano w podziemnym skarbcu w fortyfikacjach międzyrzeckich.

Pobyt w okolicach Meseritz przedstawiciele Muzeum Cesarza Fryderyka wykorzystali też na rozmowy z nadinspektorem Heinischem z FestungsDienststelle w Zielenzig w sprawach związanych z kontynuacją składowania dóbr kultury w podziemnych magazynach. „Pan H. napisał Rühle w swojej notatce obiecał zadbać w szczególności o to, by komora amunicyjna numer 10, która została przekazana do dyspozycji muzeum, otrzymała drzwi, które miano przenieść z komory numer 8, z której używania zrezygnowano”.

Sprawa owych drzwi ciągnęła się jak wynika z innych dokumentów przez co najmniej pół roku. W kolejnych pismach już się nie pojawia. Zapewne nadinspektor Heinisch słowa dotrzymał.

Po przekazaniu KaiserFriedrich Museum komory numer 10, muzeum oraz

Reichsarchiv Posen dysponowały komorami oznaczonymi numerami od 8 do 13 i te numery pojawiają się w kolejnych pismach z FestungsDienststelle. Z „Adnotacji do akt” Rühlego z 14 sierpnia 1943 roku wiemy jednak, że z użytkowania komory numer 8 zrezygnowano. Nie wiadomo też, czy użytkowano również komorę numer 13, której lokalizacji w podziemnym labiryncie nieukończonych baterii pancernych numer 5 nie udało się nam ustalić. Skądinąd z innego dokumentu niemieckiego, a mianowicie: „Zestawienia twierdz i pozycji [obronnych] do przeniesienia produkcji zbrojeniowej” (Zusammenfassung der Festungen und Stellungen für Verlagerung der Rüstungsfertigung) z 14 kwietnia 1944 roku, wiemy, że na potrzeby niemieckich instytucji kulturalnych przekazano cztery komory, zwane tam pomieszczeniami. Pod pozycją numer 9 „Zestawienia” umieszczono Hohlgangsystem im OderWarthe Bogen, czyli system podziemny Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Według dokumentu, podziemia te mają 32,5 kilometra długości i 75 416 metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. W rubryce dotyczącej pomieszczeń oddanych na „pozostałe cele”, sporządzający dokument napisał: „Cztery pomieszczenia zajęte przez Tajne Archiwum Państwowe i Muzeum Cesarza Fryderyka z Poznania”. Były to najprawdopodobniej komory numer 9,10,11 i 12.

W Muzeum Narodowym w Poznaniu zachowały się też sporządzone tuż po wojnie spisy obrazów „wywiezionych z Muzeum Wielkopolskiego na teren forteczny w powiecie sulęcińskim (Kalau)”. Jeden z takich spisów dotyczy roku 1943. Pozycje od 1 do 136 obejmują malarstwo obce, od 137 do 144 malarstwo polskie. Wśród tych ostatnich zabytków wymieniono *Portret własny* Jana Piotra Norblina, który to obraz nie odnalazł się do dziś. Wśród licznych obrazów zagranicznych artystów odnotowano namalowany w 1882 roku obraz Claude’a Moneta *Plaża w Pottmühle*. Będzie o nim jeszcze mowa.

Wkrótce nastąpiło coś, czego Greiser i jego współpracownicy, ale także Rühle i Weise się obawiali. Ale obaj dyrektorzy jednocześnie wiedzieli, że w minionych miesiącach zrobili chyba wszystko, by się przygotować na taki właśnie dzień.

Gdy w pogodną niedzielę wielkanocną, 9 kwietnia 1944 roku, do Posen zbliżały się eskadry amerykańskich „latających fortec” B17, od prawie dwóch lat najcenniejsze dzieła sztuki i archiwalia znajdowały się ponad sto kilometrów na zachód od Poznania

ukryte głęboko pod ziemią, chronione dodatkowo grubą warstwą żelbetu.

Władze hitlerowskie zainteresowały się opuszczonymi fortyfikacjami międzyrzeckimi nie tylko w celu wykorzystania rozległych podziemi na magazyny skarbów kultury. Od pamiętnej nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 roku, gdy Brytyjczycy zbombardowali supertajny ośrodek broni raketowej w Peenemiinde na wyspie Usedom (Uznam), niemiecki przemysł zbrojeniowy zaczął stopniowo schodzić pod ziemię. Także tu, w okolicy Meseritz, kolo wioski Hochwalde, przeniesiono jedną z takich fabryk, zajmującą się remontami silników lotniczych.

Znany nam już Leonhard Hoffmann w swej monografii wioski Hochwalde pisał, że do pobliskiego systemu korytarzy podziemnych z Berlina Genshagen zostały przeniesione zakłady zbrojeniowe Schachtelhalm GmbH.

„Produkcja pisał Hoffmann ograniczała się tylko do części lotniczych, między innymi silników do myśliwców firmy FockeWulf. Nakaz pracy w tych podziemnych zakładach otrzymała moja siedemnastoletnia siostra. O zakresie produkcji można wnioskować tylko na podstawie liczby tam zatrudnionych 1200 członków załogi. Ponadto pracowali tam rosyjscy jeńcy wojenni”.

Pracowali tam również polscy robotnicy przymusowi, co wynika z obszernego materiału dowodowego, swego czasu zgromadzonego przez byłą Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze. Będzie o tym jeszcze mowa.

Fabryka Schachtelhalm funkcjonowała tuż obok podziemnych magazynów depozytowych, gdzie złożone były skarby kultury ewakuowane przez Niemców z Poznania. Funkcjonowała aż do przełamania umocnień międzyrzeckich przez Rosjan w końcu stycznia 1945 roku.

Ucieczka doktora Zimmermanna

Gdy ogłoszono antydatowany dekret Adolfa Hitlera z 8 października 1939 roku o utworzeniu Reichsgau Posen, gnieźnieńscy Niemcy triumfowali. Oto Gnesen, już 11 września zajęte przez Wehrmacht, wraca do Rzeszy. Trudne czasy nastały nie tylko dla polskich mieszkańców, ale także dla materialnych pamiątek świadczących o przeszłości miasta, w którym zaczęła się polska państwowość.

„Gnesen musi być znowu niemieckie” w końcu grudnia 1939 roku powiedział Arthur Greiser w rozmowie z Julusem Theodorem Lorenzenem. Ten nadburmistrz Bremerhaven przyjechał do okupowanej Wielkopolski, by zrazu w Kaliszu szerzyć „niemiecką misję cywilizacyjną na Wschodzie”. W końcu lutego 1940 roku z woli Greisera Lorenzen objął urząd nadburmistrza Gniezna i funkcję miejscowego kreisleitera NSDAP.

Niemców kły w oczy budynki na Wzgórzu Lecha, a zwłaszcza zabytkowa katedra. Zanim w 1942 roku Niemcy zamienili ją na salę koncertową, zrabowali część wyposażenia świątyni, a resztę zniszczyli. Taki los spotkał także stojący przed katedrą pomnik Bolesława Chrobrego.

Nazistowskich grabieżców szczególnie zainteresował znany nam już ze *Strat kultury polskiej* Karola Estreichera skarbiec katedralny, jeden z najbogatszych w międzywojennej Polsce. Przez wieki gromadzono w nim między innymi kielichy, monstrancje, relikwiarze, złote pierścienie biskupie, krzyże ołtarzowe i lichtarze.

Na zabytki gnieźnieńskie ostrzyli sobie zęby berlińscy muzealnicy. Z późniejszego dokumentu niemieckiego wynika, że na przykład unikatowymi kielichami z Trzemeszna, które dzisiaj są ozdobą Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej, zainteresował się profesor Robert Schmidt ze Schlossmuseum w Berlinie, jeden z najaktywniejszych w pierwszych latach wojny grabieżców skarbów kultury. Kielichy wywieziono do Berlina.

Arthur Greiser nie zamierzał tego tolerować. Doktor Siegfried Rühle otrzymał polecenie ściągnięcia do Posen tych zabytków z Kraju Warty, a więc i skarbów

gnieźnieńskich, które w pierwszych latach wojny wywieziono w głąb Rzeszy jako lupy wojenne. W tym dziele swoiście pojętej rewindykacji Rühlego wspierał autorytet Greisera. Kielichy trzemeszeńskie wróciły nad Wartę. Na krótko.

W tym miejscu wróćmy do pamiętnych dni września 1942 roku, gdy do komór podziemnych baterii pancernej numer 5 trafił pierwszy transport skarbów kultury z okupowanego Poznania. Dyrektor Siegfried Rühle kuł wtedy żelazo, dopóki było gorące i kilka dni później wystosował pismo do Inspekcji Umocnień Wschodnich. Nosi ono datę 11 września 1942 roku. Informował, że większość dzieł sztuki została już przeniesiona jak napisał „na polecenie Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu do bunkra koło Hochwalde w powiecie Meseritz, ale okazało się, że to pomieszczenie nie wystarczy na zmagazynowanie wszystkich dzieł sztuki”.



Schron bojowy numer 701 zbudowano poza systemem podziemnym MRU. Ale i tu przechowywano poznańskie zabytki, przede wszystkim archeologiczne.

Fot. Leszek Adamczewski

„Na moją prośbę pisał dalej pan nadinspektor Blume byt tak uprzejmy i pokazał mi schron bojowy [Panzerwerk] 701 koło Starpel”. Informował, że ów bunkier „posiada różnego rodzaju pomieszczenia, które nadawałyby się do zmagazynowania jeszcze niezabezpieczonych dzieł sztuki. Ponieważ te pomieszczenia są strzeżone, wentylowane i ogrzewane, nadają się one doskonale na przeniesienie do nich

najbardziej wartościowych dzieł sztuki. Wnioskuje niniejszym o przekazanie tych 4 lub 5 pomieszczeń w schronie bojowym 701 koto Starpel i proszę o rozpoczęcie procedury przydzielenia tych pomieszczeń w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu".

Schron bojowy numer 701, wraz z obiektami 702 i 703 tworzy! grupę warowną „Komer”, zlokalizowaną niedaleko miasteczka Liebe nau, czyli dzisiejszej Lubrzy, kilka kilometrów na południowy wschód od miejscowości Starpel, w pobliżu jeziora PacklitzSee (Paklicko Wielkie). Grupa „Komer” leżała więc już poza systemem podziemnym fortyfikacji międzyrzeckich, chociaż była integralną częścią Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty.

W tym samym mniej więcej czasie władze Kraju Warty pomyślały o zabezpieczeniu najcenniejszych zbiorów utworzonego w Posen Landesamt für Vorgeschichte (Urzędu Krajowego do spraw Prehistorii). Kierownictwo tej pseudonaukowej placówki, której zadaniem jak napisał Bernard Piotrowski w pracy *W służbie rasizmu i bezprawia* było „zacieranie wszelkich śladów polskich osiągnięć z dziedziny archeologii”, objął doktor Walter Kersten, sprowadzony do okupowanego Poznania z tak zwanej starej Rzeszy. Podstawą zbiorów muzeum Landesamt für Vorgeschichte, urządzonego w gmachu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, były zasoby Działu Przedhistorycznego Muzeum Wielkopolskiego. Skomasowano tu także zbiory Zakładu Antropologii Uniwersytetu Poznańskiego i Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie oraz książki zrabowane z bibliotek wielkopolskich, w tym także prywatnych, między innymi z mieszkania ukrywającego się przed Niemcami wybitnego uczonego archeologa, profesora Józefa Kostrzewskiego.

I właśnie do doktora Waltera Kerstena dyrektor Siegfried Rühle wysłał 11 września 1942 roku pismo „w sprawie przeniesienia wartościowych przedmiotów kolekcjonerskich do pomieszczeń znajdujących się w umocnieniach wschodnich kolo Meseritz”. Informował go, że wprawdzie w obiekcie pancernym, a miał na myśli PzW 701, duże pomieszczenie podziemne zajęło już KaiserFriedrich Museum, ale znajduje się tam jeszcze pięć położonych obok siebie pomieszczeń o wymiarach 4 na 6 metrów i wysokości 3 metrów, które jak pisał „nadają się szczególnie dobrze na przyjęcie przedmiotów zabytkowych, ponieważ obiekt ten jest stale strzeżony, wentylowany i ogrzewany, przez co jest zupełnie suchy. Proszę o wiadomość, czy w tych

okolicznościach chce pan przenieść te wartościowe przedmioty kolekcjonerskie do pomieszczeń tego obiektu bojowego”.



W skrzynce z Trzemeszna, zdeponowanej w schronie 701, znajdowały się widoczne na zdjęciach kielichy Dąbrówki i (z prawej) kielich świętego Wojciecha.

Fot. Leszek Adamczewski

Kersten chciał i część zbiorów Landesamt für Vorgeschichte wkrótce trafiła do schronu 701. Dziwi tylko jedno. Rühle pismo do Kerstena wysłał tego samego dnia, co pismo do Inspekcji Umocnień Wschodnich, w którym dopiero prosił o rozpoczęcie procedury przydzielenia pomieszczeń w schronie bojowym 701. Musiał więc być pewny, że je otrzyma i z góry najlepsze pomieszczenia zarezerwował dla placówki, którą sam kierował.

14 grudnia 1942 roku dyrektor Rühle sporządził kolejną „Adnotację do akt”, która różni się od innych tym, że pod tym dokumentem swój podpis złożył nie tylko dyrektor KaiserFriedrich Museum. Podpisał go również Erwin Wohlfeil. Jest to jak wynika z nagłówka dokumentu „raport z kontroli przeprowadzonej 9.12.42 z dr. Kerstenem i panem Wohlfeilem”. Ta trzyosobowa delegacja obejrzała pomieszczenia podziemne schronu numer 701, a następnie Rühle z Wohlfeilem pojechali do znanych nam już

komór w podziemiach baterii pancernej numer 5, kontrolując tam poziom wilgotności powietrza i temperaturę. Była o tym mowa w poprzednim rozdziale. Właśnie wtedy podjęto decyzję o rezygnacji z komory numer 8.

Wróćmy do PzW 701. Jak wynika z „Adnotacji do akt”, dyrektor Landesamt für Vorgeschichte obejrzał pomieszczenie magazynowe, w którym złożone były skrzynie z zabytkami prehistorycznymi. „W tym samym pomieszczeniu czytamy dalej znajdują się również skrzynie z KFM, zawierające złote i srebrne przedmioty. Przy okazji złożono tam także drewnianą skrzynkę z najbardziej wartościowymi kielichami z Tremessen [Trzemeszna], które swego czasu prof. Schmidt ze Schlossmuseum w Berlinie osobiście mi przekazał. Kontrola wykazała, że składnica dzieł sztuki nie została naruszona. Niektóre szczególnie wrażliwe przedmioty metalowe, które dr Kersten złożył poza skrzyniami, nie wykazały żadnych szkód spowodowanych wilgocią. Złożenie skrzyń z KFM powinno odbyć się przy następnej okazji w już przekazanym nam do dyspozycji pomieszczeniu, które jednocześnie skontrolowaliśmy”.

We wspomnianej przez dyrektora KFM drewnianej skrzynce znajdowały się między innymi dwa kielichy mszalne z XH i XIII wieku, zwane kielichami Dąbrówki oraz czasza w kształcie kubka z agatu dzieło mistrzów bizantyjskich z X wieku, zwana kielichem świętego Wojciecha.

Tradycja mówi w marcu 2007 roku ksiądz Jarosław Bogacz, dyrektor Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej łączy czaszę z osobą świętego Wojciecha. Prawdopodobnie kubek ten cesarz Otton m ofiarował Bolesławowi Chrobremu wraz z innymi naczyniami podczas Zjazdu Gnieźnieńskiego. Podstawa kielicha jest nieco późniejsza. Pochodzi z przełomu XII i XIII wieku, bo ma typowo romańską formę. Zaś oprawa czaszy jest dziełem lokalnych warsztatów z osiemnastego stulecia.



Krzyż ołtarzowy i lichterze, które Niemcy wywieźli do schronu 701, są dzisiaj ozdobą Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej.

Fot. Leszek Adamczewski

Ze zbiorów muzeum Landesamt für Vorgeschichte wyselekcjonowano kolekcję zabytków ze złota i srebra, której towarzyszyła kolekcja cennych przedmiotów ze wspomnianego muzeum warszawskiego skarb monet rzymskich z Boroczyc, złota biżuteria z Kercza na Krymie, złota zawieszka z Ławek oraz złote monety z Konarzewa i w 1943 roku przekazano do skarbcza poznańskiej filii Banku Rzeszy. Zabytki te wiosną następnego roku zostały stamtąd wycofane i 15 maja 1944 roku oddane pod opiekę doktorowi Kurtowi Zimmermannowi, kierownikowi... Zakładu dla Starców w Schrimm, czyli w leżącym niedaleko Poznania Śremie. W kierowanym przez Zimmermanna zakładzie zdeponowano też archiwum, księgi inwentarzowe i część księgozbioru Landesamt für Vorgeschichte.

Gdy 19 stycznia 1945 roku doktor Zimmermann pospiesznie wyjeżdżał ze Śremu, pozostawił ten depozyt na miejscu. Do słownego samochodu załadował tylko przechowywaną w prywatnym mieszkaniu walizkę z najcenniejszymi zabytkami, które oddano mu pod opiekę. I odjechał w siną dal. Kilka dni później Śrem zajęli Rosjanie.

Prowadzone po wojnie poszukiwania Kurta Zimmermanna spęły na niczym. A szukano go w Polsce i w okupowanych przez aliantów Niemczech. I dopiero na początku lat pięćdziesiątych XX wieku z mroku dziejów wyłoniło się widmo zapomnianego przez wszystkich kierownika niemieckiego Zakładu dla Starców w okupowanym Śremie. Otóż władze Republiki Federalnej Niemiec poinformowały urząd Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą, że w zbiorach Preussischen KulturBesitz w Berlinie znajdują się zabytki archeologiczne, które prawdopodobnie pochodzą z Poznania. To otworzyło drogę do spóźnionej o prawie pół wieku rewindykacji.

Dwudziestego trzeciego września 1992 roku na Zamku Królewskim w Warszawie odbyło się uroczyste przekazanie władzom polskim złotego jak nazwała prasa niemiecka skarbu. Porównania spisów sporządzonych przez Niemców w czasie okupacji z tym, co odzyskaliśmy w 1992 roku, wskazują, że wśród zwróconych zabytków były również te wywiezione ze Śremu przez Zimmermanna.

Ale na co w 1998 roku zwracał nam uwagę Marek Chłodnicki z Muzeum Archeologicznego w Poznaniu niemieckie spisy zabytków archeologicznych nie są pełne, zawierają liczne błędy, a podczas przepakowań zbiory się przemieszały, o czym świadczy choćby fakt, że wśród zwróconych przez Niemców przedmiotów są również zabytki, które nie figurują na żadnej ze sporządzonych w latach okupacji list. Na dobrą sprawę, nie wiadomo do końca, co naprawdę przekazano Zimmermannowi na przechowanie, a co trafiło do schronu numer 701. Jak się później okazało, muzeum Landesamt für Vorgeschichte złożyło tam piętnaście dużych skrzyń i jedną małą skrzynkę. Leżały tam one jeszcze wczesną jesienią 1944 roku.

Sprawozdanie kustosza Maya

Ta rozpadająca się ze starości książeczka to wydany w 1960 roku przewodnik turystyczny Pawia Dzianisza i Janusza Umińskiego *Szlak piastowski. Województwo bydgoskie*. Sporo miejsca, wraz z całostronicowym zdjęciem, poświęcono w tym przewodniku Lubostroniowi na Pałukach. To dowód, że już wtedy turystom polecano to miejsce, a przede wszystkim przepiękny pałac Skórzewskich, w którym wówczas mieścił się dom Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Lubostroński pałac przetrwał czasy, gdy w Polsce niezbyt dbano o tego typu zabytki, w dość dobrym stanie. Ale i tu nie uniknięto błędów i dewastacji. Na przykład pałacową kaplicę w czasach FWP zamieniono na... klubokawiarnię, nie tylko przebijając jedną ze ścian, ale również farbą olejną zamalowując (i to kilkoma warstwami) stare freski. Skala takich dewastacji nie była jednak zbyt duża.

A wszystko zaczęło się w drugiej połowie XVIII wieku, gdy Fryderyk hrabia Skórzewski po raz pierwszy ujrzał kupioną przez jego ojca Franciszka, zagubioną wśród nadnoteckich łąk, wieś Pilatowo w dobrach łabiszyńskich. Do tego stopnia zauroczył go malowniczy krajobraz tych okolic, że postanowił tu właśnie zbudować rodową siedzibę. Propozycję zaprojektowania i zbudowania pałacu otrzymał wybitny architekt doby stanisławowskiej Stanisław Zawadzki, który wcześniej wzniósł dwa inne wielkopolskie pałace w Dobrzycy o Smielowie. W pierwszym z wymienionych mieszkała siostra hrabiego Fryderyka, Aleksandra Augustynowa Gorzeńska. Stąd też dobrze był mu znany i ten pałac, i talent Zawadzkiego.

Budując pałac w Lubostroni, Zawadzki wzorował się na słynnym dziele Andrei Palladia Villa Rotunda pod Viceną i pałacu Merliniego w warszawskiej Królikami. Powstał tu pałac na rzucie kwadratu z trzykondygnacyjną rotundą pośrodku, przykrytą kopułą na wysokim tamburze, którą od końca XIX wieku zdobi rzeźba Atlasa dźwigającego kulę ziemską. Intencją Fryderyka było zaś to, by jego pałac stał się ostoją myśli patriotycznej i skarbnicą pamiątek narodowych, gdzie funkcje mieszkalne nie są najważniejsze. Przeto też w pałacu nie było i nie ma kuchni. Posiłki donoszono z

oficyny.

Do budowy i dekoracji pałacu Skórzewski zatrudnił wielu polskich artystów, którzy wcześniej tworzyli w Dobrzycy i Śmiełowie. W 1800 roku budowla była gotowa, chociaż dekoracja wewnątrz trwała jeszcze przez sześć kolejnych lat. Na portyku frontowym hrabia Fryderyk polecił umieścić napis *Sibi, Amidhae et Posteris MDCCC* (Sobie, Przyjaciołom i Potomnym 1800), a poniżej cytat z Wergilego *Hic segura quies et nescia fellare Vita* (Tu bezpiecznie przed niebezpieczeństwami życia).

Pod kopułą sali rotundowej umieszczony został fryz przedstawiający antyczny pochód ofiarny, a poniżej cztery płaskorzeźby. Widać na nich królową Jadwigę rozmawiającą z wielkim mistrzem krzyżackim Konradem von Jungingenem w Inowrocławiu w 1396 roku, klęski Krzyżaków pod Piowcami w 1331 roku i pod Koronowem w 1410, oraz króla Prus Fryderyka Wielkiego oglądającego plany nowych śluz Kanału Bydgoskiego. Posadzka sali rotundowej została misternie ułożona we wzory z różnokolorowego drewna. W jej środku umieszczono wizerunek Orła i Pogoni.



Pałac w Lubostroniu jest jednym z najcenniejszych zabytków na Pałukach.

Fot. Leszek Adamczewski

W pałacu zachowały się stare piece kaflowe, ale nie ma w nim skarbów kultury.

Obrazy, porcelana i zbiory biblioteczne po drugiej wojnie światowej już do Lubostronia nie wróciły.

Oto historia tej grabieży.

Hrabina Maria Skórzewska z Radziwiłłów, która w latach międzywojennych rezydowała w pałacu w Lubostroni, była matką Zygmunta Skórzewskiego. Ten, 13 czerwca 1927 roku w Paryżu, poślubił księżniczkę Leontynę Radziwiłł, córkę księcia Michała. Wprawdzie państwo młodzi zamieszkali w podgnieźnieńskim Czerniejewie, ale do nich należały także dobra labiszyńskie z zabytkowym pałacem w Lubostroni.

Te rodzinne powiązania pozwolą nam zrozumieć treść pism, które wiosną 1941 roku krążyły między Berlinem a Poznaniem i innymi miastami Kraju Warty. Wszak na terenie Warthelandu, w rejencji inowrocławskiej, znalazły się dobra labiszyńskie z pałacem w Lubostroni, który przemianowano na LettowVorbeck.

Dwanaście lat przed wybuchem wojny, w 1927 roku, hrabina Maria gościła w Lubostroni prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Podziwia! on wspaniałą architekturę pałacu, jego bogate zbiory dzieł sztuki i cenną kolekcję pamiątek narodowych. Prezydent nocował też w pałacu, gdzie ku zgorszeniu gościnnej hrabiny otoczony był tajniakami, którzy czuwali nad jego bezpieczeństwem i spokojem. Rok później rozporządzeniem prezydenta RP Mościcki uznał pałac w Lubostroni za zabytek.

Jego niemiecka nazwa pojawi się w sporządzonym 7 października 1940 roku raporcie untersturmführera (podporucznika) SS Johannes W. Dettenberga, który napisał: „Pałac LettowYorbeck i inne pałacyki [w oryginale jest „und anderen Schlössern”, co również można przetłumaczyć jako zameczki przyp. autorzy] w Kraju Warty posiadają nieprawdopodobne ilości dzieł sztuki”. A Dettenberg widział sporo, ponieważ esesmana o takim nazwisku, obecnym przy rabunku polskich skarbów kultury, wspominali gospodarze innych świeckich oraz kościelnych obiektów zabytkowych na terenie Kraju Warty.



Fragment sali rotundowej pałacu Skórzewskich w Lubostroniu.

Fot. Leszek Adamczewski

Kaiser Friedrich-Museum

Landesmuseum
des
Reichsgaues Wartheland
Lagebuch-Nr. 1055, 43, 11/1837

Dojen/den 16. Oktober 1943.

Wilhelmstraße 9
Strom 1102

An den
Reichsstatthalter im Wartheland, PKL 1943
- Abteilung III -

Posen.
Felix Dahn-Platz.

Betr.: Kunstgegenstände auf dem Gute Lettow-Vorbeck.
Bezug: Schreiben des HSh-SS-u. Polizeiführers, Inspekteur
der Sicherheitspolizei u. des SD vom 6.8.43 109/43 Ad/We.
u. hiesiges Schreiben vom 3.9.43 Nr. 995/43, W.

Unter dem 23-ten August d.J. übersandten Sie mir ein Schreiben des Inspektors der Sicherheitspolizei und des SD in Sachen der Sicherstellung von Kulturgütern auf dem Reichslandgut Lettow-Vorbeck, Kreis Altburgund.

Das Kaiser Friedrich-Museum hat bereits den größten Teil der wertvollen Kunstgegenstände übernommen und zur bombensicheren Unterbringung von dort fortgeschafft. Einige Möbel, Silbersachen und Bilder, die gleichfalls musealen Wert haben, konnten nicht fortgebracht werden und wurden in einem Raum zusammengestellt, wo sie eingeschlossen stehen. Der Schlüssel dieses Zimmers befindet sich in der Gestapo in Hohensalza. Eine Nachfrage in Lettow-Vorbeck ergab, daß die Kunstgegenstände auch eben noch ordnungsgemäß dort stehen und sich unter Verschluss befinden.

Der Abtransport, der für Ende September vorgesehen war, mußte hinausgeschoben werden; da dem Kaiser Friedrich-Museum wegen der Kriegsverhältnisse nur ein stark zusammengeschmolzener Mitarbeiterstab zur Verfügung steht, die meist kränklich oder alt sind, so ist es oft nicht möglich, außer der laufenden Arbeit im Museum auch im übrigen Gaugebiet die anfallenden Arbeiten beschleunigt durchzuführen. Sobald sich eine Möglichkeit bietet, wird die Verpackung und der Abtransport aus Lettow-Vorbeck erfolgen.

Der Direktor:



To pismo w sprawie skarbów z pałacu w Lubostroniu z 14 października 1943 roku dyrektor Siegfried Rühle przesłał do Urzędu Namiestnika Rzeszy w Kroju Warty.

Dokument z archiwum Pawła Piątkiewicza

W książce *Semper recte. Z dziejów rodu Skónewskich* Ryszarda Nowickiego czytamy: „We wrześniu 1939 roku hrabina Maria przebywała w Lubostroniu. Zdołała część cennych skarbów gromadzonych w rezydencji zamurować w starej oficynie, jednak po

kilku miesiącach okupanci odszukali złote i srebrne przedmioty”. Hrabiny nie było już wtedy w Lubostroniu. W październiku 1939 roku od niemieckiego zarządcy majątku otrzymała polecenie opuszczenia pałacu. Po krótkim pobycie w Czerniejewie i Rogowie wyjechała do Krakowa, gdzie zmarła 10 stycznia 1944 roku.

Wiosną 1941 roku skarbami z pałacu w LettowVorbeck zainteresowały się najwyższe władze Trzeciej Rzeszy. Wszystko wskazuje, że osobą, która wywołała tę sprawę, był sam reichsführer SS i szef policji niemieckiej Heinrich Himmler. W jego imieniu pilotował ją Centralny Urząd Ziemski przy reichsführerze SS jako komisarzu Rzeszy do spraw umacniania niemczyzny. Do Arthura Greisera skierowano pismo w sprawie wyjaśnienia własności dzieł sztuki z pałacu Lettow Vorbeck, powiat AltBurgund (Szubin), które przekazano do Kaiser Friedrich Museum w Posen.

26 kwietnia 1941 roku w specjalnym piśmie Greiser wydał dyrektorowi Siegfriedowi Rühlemu dyspozycję, jak ma traktować dzieła sztuki z pałacu lubostrońskiego. Zostały one pozostawione w poznańskim muzeum jako „trwale wypożyczenie”. Natomiast pismem z 3 maja poinformowano Centralny Urząd Ziemski przy reichsführerze SS, że te zabytki wzięto w komis, dodając, iż własność hrabiego Skórzewskie go nie została jeszcze uchylona. To, co najważniejsze, znajduje się jednak w następnych zdaniach pisma: „Hrabina Skórzewska jest jedyną córką księcia Michaela Radziwiłła z powiatu Ostrowo [Ostrów Wielkopolski]. Jest możliwe, że w spisie rzeczy przekazanych do KaiserFriedrich Museum w Posen znajdują się zabytki będące posagiem księżniczki Radziwiłł”.

Gdy doda się, że jej ojciec, który zresztą z córką od lat nie utrzymywał żadnych kontaktów, był zdrajcą i renegatem, uważając się za Niemca, sprawa się wyjaśnia. Najprawdopodobniej mieszkający koło Berlina książę Michał Radziwiłł, który w 1939 roku podostrowski Antonin podarował Adolfowi Hitlerowi, dotarł do Himmlera lub kogoś z jego najbliższego kręgu i upomniał się o dzieła sztuki, które do majątku Skórzewskich wniosła w posagu jego córka Leontyna.

Więcej pism w tej sprawie nie zachowało się, ale nazwa LettowVorbeck pojawia się jeszcze w innych dokumentach archiwalnych. Są to dwa pisma z marca 1943 roku, z których dowiadujemy się, że w pierwszych miesiącach okupacji konfiskatę dzieł sztuki na rzecz poznańskiego KFM przeprowadziła placówka gestapo w Hohensalza

(Inowrocławiu). Owo „zabezpieczenie” jak czytamy w jednym z tych pism dotyczyło tylko najbardziej wartościowych przedmiotów.

Na początku sierpnia 1943 roku inspektor Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa SS poinformował wyższego dowódcę SS i policji w Kraju Warty, że w pałacu LettowVorbeck pozostało jeszcze sporo przedmiotów o charakterze muzealnym. Ten, a był nim wówczas obergruppenführer SS i generał policji Wilhelm Koppe, zaalarmował Urząd Namiestnika Rzeszy, który poprosił dyrektora Rühlego o wyjaśnienia. Szef KFM w piśmie z 3 września poinformował urząd Greisera, że z opracowanej listy dóbr kultury rzeczywiście nie wszystko przywieziono do Posen. „Ponieważ chodzi o przedmioty muzealne dużej wartości, które mogłyby być zniszczone podczas bombardowań, wskazane jest, by jak najszybciej trafiły one do muzeum. W drugiej połowie września do Lettow-Vorbeck wybiera się przedstawiciel muzeum, który zapakuje i przetransportuje te dzieła” napisał Rühle.

Ale tego zobowiązania dyrektor KFM nie wykonał. Czternastego października 1943 roku w piśmie do Urzędu Namiestnika Rzeszy tłumaczył, że z powodu trwającej wojny ma on do dyspozycji tylko ludzi starych i schorowanych, którzy potrzebni są w samym muzeum przy Wilhelmstrasse w Posen. Jednocześnie zapewnił, że jak tylko nadarzy się okazja, to dzieła sztuki zostaną wywiezione z LettowVorbeck.

Do takiej okazji doszło pod koniec pierwszej dekady grudnia 1943 roku. Do LettowVorbeck udał się kustosz KFM, artysta malarz Franz May, który trzynastego tegoż miesiąca sporządził sprawozdanie z tej podróży. Píše, że do Lubostronia dotarł 8 grudnia w południe i do wieczora zwiedzał pałac. Znalazł w nim 280 obrazów, które w bardzo złym stanie zgromadzono w bibliotece. Do Poznania zabrał tylko drobną ich część, które to obrazy opisał w 22 pozycjach swego sprawozdania.

May napisał też, że wśród zgromadzonych w LettowVorbeck książek szukał grafik. „Zauważyłem dodał tajemniczo że duża część zbiorów została przewieziona do nieznanego mi miejsca”. Według Maya, w pałacu były jeszcze meble i inne wartościowe przedmioty, ale „z cennej ceramiki, która rzekoma miała się tam znajdować, niczego nie znalazłem”. Uwagę kustosza KFM zwróciły natomiast ramy bezwartościowych jego zdaniem obrazów. I część tych ram również wywiózł do Poznania. „Praca nad zabezpieczaniem obrazów trwała 2 dni i 9 tego [grudnia] wróciłem do Posen. *Heil*

Hitler!” to ostatnie słowa ze sprawozdania Maya.



Niemcy przy srebrnym sarkofagu świętego Wojciecha.

Czternastego grudnia dyrektor Rühle poinformował urząd Greisera o wizycie Franza Maya w LettowVorbeck i złożonym sprawozdaniu z podróży, uznając tym samym sprawę za zakończoną.

Skarby z Lubostronia dzieliły wojenny los z innymi zrabowanymi w Kraju Warty zabytkami, które z woli Arthura Greisera przekazano do KaiserFriedrich Museum. Po wojnie nie wróciły one na Pałuki.

Od czasu do czasu odwiedza nas mieszkający w Australii Leon Skórzewski opowiadał nam w październiku 2007 roku Andrzej Budziak, dyrektor pałacu w Lubostroniu. Zamarzyło mu się, by niektóre obrazy z Lubostronia, które obecnie znajdują się w zbiorach różnych muzeów jako depozyty, wróciły do pałacu Skórzewskich. Na przykład w Muzeum Narodowym w Poznaniu znajduje się około 3000 zabytków z Lubostronia.

Gdy w 1945 roku Polacy weszli do lubostrońskiego pałacu, zobaczyli podziurawioną przez radzieckie naboje karabinowe rzeźbę Atlasa. Miała ona według dyrektora

Budziaka 27 takich otworów. Zobaczyli też puste sale pałacowe.

Tymczasem z cytowanego sprawozdania kustosa Maya jednoznacznie wynika, że w grudniu 1943 roku do KFM przywiózł on tylko część pozostałych w lubostrońskim pałacu skarbów. Te, które uważał za wartościowe. A co stało się z resztą? W 1944 wywieźli je gdzieś Niemcy? A może w 1945 roku wpadły w ręce czerwonarmistów? Nie znamy odpowiedzi na te pytania.

W ostatnich miesiącach hitlerowskich rządów w Wielkopolsce, na Kujawach i Ziemi Łódzkiej kustosz Franz May i inni pracownicy Kaiser-Friedrich Museum odwiedzali lokalne muzea, pałace i kościoły, szukając pozostałych tam jeszcze zabytków o dużej wartości artystycznej i materialnej. Odwiedzali również magazyny, gdzie Niemcy zgromadzili dzieła sztuki wcześniej skonfiskowane ludności polskiej i żydowskiej. I tak na początku czerwca 1944 roku May był w powiecie kościańskim, miesiąc później wraz z historykiem sztuki doktorem Esche odwiedził powiat gostyński, a na początku listopada powiat szamotulski. W dniach 19-20 września przedstawiciele KFM skarbów kultury szukali w powiecie kaliskim.

Do sensacyjnego odkrycia doszło tydzień później, gdy w dniach 26 i 27 września 1944 roku wysłannicy dyrektora Rühlego przebywali w powiatach: gnieźnieńskim i wrzesińskim. Dopiero podczas tej inspekcji znaleźli oni ukryte przez Polaków słynne Drzwi Gnieźnieńskie, wykonane około 1175 roku za panowania Mieszka III Starego w nieznanym miejscu.

O wojennych losach tego unikatowego arcydzieła romańskiej sztuki odlewniczej milczą historycy. Zdaniem gnieźnieńskich księży, w latach 1939-1945 Drzwi nie opuściły Gniezna, podobnie jak srebrny sarkofag świętego Wojciecha, który przechowywano w sejfie oddziału Banku Rzeszy w Gnesen. Tymczasem profesor Czesław Łuczak w pracy *Dzień po dniu w okupowanej Wielkopolsce i ziemi łódzkiej (Kraj Warty)* pod datą 6 grudnia 1944 roku napisał: „Władze niemieckie poinformowały w urzędowej korespondencji, że wywozły do Miśni w Saksonii część gnieźnieńskich zabytków, między innymi Drzwi Gnieźnieńskie, tablicę nagrobną arcybiskupa Jakuba Swinarskiego, gotycką Madonnę z XVI wieku, srebrny sarkofag świętego Wojciecha”.

Znając z własnego doświadczenia trudności z precyzyjnym przetłaczeniem na polski treści „urzędowej korespondencji” niemieckiej, nie możemy wykluczyć, że w

dokumencie, który czytał profesor Łzak, w iście ezopowym języku informowano tylko o przewidywanym wywozie wymienionych zabytków do Meissen (Miśni). Ksiądz Jarosław Bogacz, dyrektor Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej, twierdzi, że Niemcy rzeczywiście przygotowywali taką ewakuację, ale do niej nie doszło. Zabrakło czasu.

Profesor Czesław Łuczak zmarł w sierpniu 2002 roku i nie powie nam, jaki dokument na ten temat czytał. A we wspomnianej książce nie ma przypisu odsyłającego czytelników do źródła tej informacji.

Wagon do Grasleben

24 kwietnia 1944 roku do dyrektora Rühlego zatelefonował nadinspektor Blume z Inspekcji Umocnień Wschodnich. Nie miał dobrych wiadomości dla niemieckich muzealników. Można domniemywać, że Blume zatelefonował też z identyczną wiadomością do poznańskiego Reichsarchiv lub do nadzorującego jego pracę Tajnego Pruskiego Archiwum Państwowego w Berlinie-Dahlem. Jak wynika ze sporządzonej jeszcze tego dnia „Adnotacji do akt”, Blume oznajmił Rühlemu, że w sprawie wykorzystywania komór podziemnych w fortyfikacjach międzyrzeckich na magazyny skarbów kultury nie zapadła jeszcze żadna ostateczna decyzja. „Tymczasem jednak nie jest możliwe zwożenie dalszych dzieł sztuki” streścił Rühle ten fragment rozmowy w swej „Adnotacji do akt”. I dodał, że Blume poinformował go, iż w tej sprawie należy skontaktować się z Berlinem albo z radcą krajowym o nazwisku Otto, albo z pułkownikiem Roosem z Nacelnego Dowództwa Wojsk Lądowych „i tam zapytać, czy magazynowanie w tych pomieszczeniach będzie nadal możliwe i czy możliwe będzie dalsze zwożenie dzieł sztuki”.

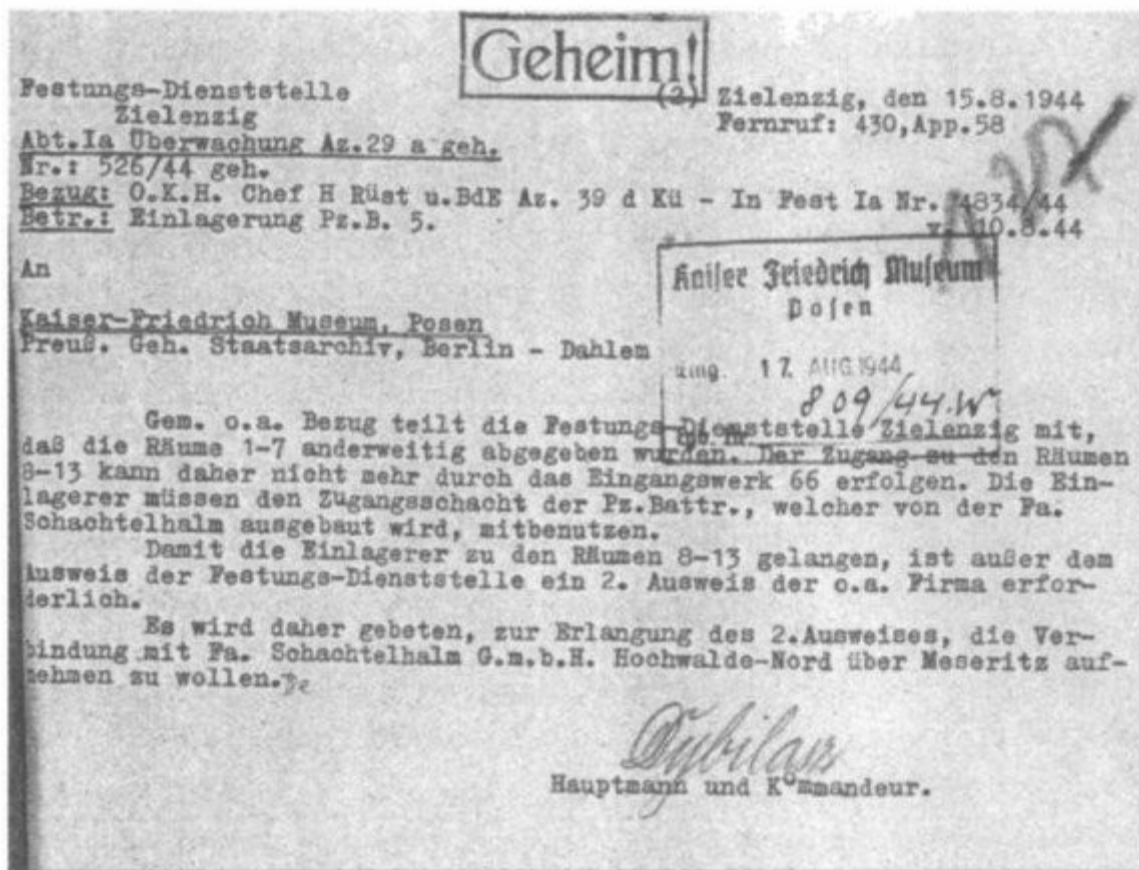
Niespełna cztery miesiące później, bo 7 sierpnia 1944 roku, placówka FestungsDienststelle w Zielenzig (Sulęcín) w piśmie do Kaiser Friedrich Museum podpisanym przez kapitana Dybilasza poinformowała, że z przyczyn wojskowych do obiektów Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty nie będą przyjmowane kolejne transporty. „Trzeba się liczyć także napisał Dybilasz z koniecznością opróżnienia pomieszczeń. W tym przypadku odpowiednio wcześniej zostanie przysłane zawiadomienie”.

Telefon Blumego do Rühlego miał bezpośredni związek z decyzją podjętą 8 marca 1944 roku przez Hitlera, który zmienił swe wcześniejsze poglądy. W wydanym tego dnia rozkazie Führer stwierdzał: „Obszary umocnione mają wypełniać te same zadania co dawne twierdze.

Mają przeszkodzić wzięciu przez wroga w posiadanie owych rozstrzygających operacyjnie rejonów. Mają pozwolić się osaczyć i przez to związać możliwie duże sity

wroga. Mają przez to stworzyć przestanki do sukcesów, przeciwnatarć”.

Nie ulega wątpliwości, że rozkaz Hitlera dotyczy! przede wszystkim fortyfikacji zachodnich, ale gdy w lipcu 1944 roku Armia Czerwona podczas swej letniej ofensywy wdarta się do środkowej Europy, zbliżając się do Warszawy, Naczelne Dowództwo Wehrmachtu pomyślało także o fortyfikacjach wschodnich. A wśród nich przede wszystkim o nieukończonych budowach Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty.



To pismo z placówki Festungs-Dienststelle w Zielenzig (Sulęcinie) informowało dyrekcję Muzeum Cesarza Fryderyka i Pruskiego Tajnego Archiwum Państwowego w Berlinie-Dahlem o zmianie procedury dojść do podziemnych komór z poznańskimi skarbami w fortyfikacjach międzyrzeckich.

Dokument z archiwum Państwa Pruskiego

Właśnie w lipcu podjęto w Berlinie decyzję o wznowieniu przerwanych kilka lat wcześniej prac budowlanych na centralnym odcinku fortyfikacji międzyrzeckich. I stąd pismo z Festungs-Dienststelle z 7 sierpnia z lekko tylko zawołowaną groźbą konieczności opróżnienia komór podziemnych ze skarbów kultury.

O losach podmiędzyrzeckich magazynów instytucji kulturalnych Kraju Warty od

tego dnia decydowało już tylko wojsko, które ze zrozumiałych względów zainteresowane było dalszym funkcjonowaniem w części fortyfikacji zakładów lotniczych Schachtelhalm GmbH, ale już nie złożonymi tu skarbami.

W zbiorach archiwalnych Muzeum Narodowego w Poznaniu znajduje się jeszcze jeden dokument. Jest to wysłane z Zielonog 15 sierpnia 1944 roku pismo placówki FestungsDienststelle opatrzone gryfem „Geheim!” i podpisane również przez kapitana Dybilasza. Informuje on Muzeum Cesarza Fryderyka w Poznaniu i Pruskie Tajne Archiwum Państwowe w Berlinie-Dahlem, że „pomieszczenia 17 zostały oddane. Dojście do pomieszczeń 813 nie może odbywać się dalej przez wejście 66. W celu składowania należy korzystać z szybu wejściowego baterii pancernej, który został zbudowany przez firmę Schachtelhalm. Aby dostać się do pomieszczeń 813 trzeba okazać dokument wydany przez FestungsDienststelle oraz drugi dokument wydany przez powyższą firmę. Proszę, celem otrzymania drugiego dokumentu, nawiązać kontakt z firmą Schachtelhalm GmbH HochwaldeNord koło Meseritz”.

Po uważnej analizie treści obu pism z FestungsDienststelle można dojść do wniosku, że niemieckim instytucjom kulturalnym z okupowanego Poznania przekazano nowe podziemne pomieszczenia magazynowe oznaczone numerami od 1 do 7. Gdy zważy się fakt, że w podziemiach baterii pancernej numer 5 znajdowały się komory oznaczone tymi numerami, wniosek nasuwa się sam. Zmagazynowane skarby kultury należało przenieść do nowych pomieszczeń oddalonych kilkaset metrów od dotychczasowych.

W takim razie, dlaczego w piśmie z 15 sierpnia 1944 roku kapitan Dybilasz dwukrotnie zwraca uwagę na dojście do pomieszczeń oznaczonych numerami od 8 do 13 i jednocześnie pomija te z numerami od 1 do 7? Pisząc o wymaganych dokumentach, wymienia bowiem tylko te pierwsze pomieszczenia, a przecież do znajdujących się w tej baterii pancernej sąsiednich komór potrzebne byłyby te same dokumenty. W piśmie z FestungsDienststelle nie ma o tym mowy. Czyżby pomieszczenia 17 znajdowały się w zupełnie innym miejscu systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich?



Stacja w Staropolu, skąd 17 października 1944 roku wywieziono do Grasleben część skarbów kultury przechowywanych w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich, głównie w schronie 701.

Fot. Leszek Adamczewski

W połowie sierpnia 1944 roku losy Wielkoniemieckiej Rzeszy Adolfa Hitlera były już właściwie przesądzone. Armia Czerwona dotarła do Wisły, wojska aliantów zachodnich wyzwalały Francję. Wcześniej, bo już 5 czerwca, zajęto Rzym. Hitler liczył jeszcze na skłócenie aliantów i rozbicie koalicji. Liczył też na Wunderwaffe, ową „cudowną broń”, która miała zmienić niekorzystny dla Niemiec przebieg wojny. Na początku września w kierunku Londynu i Paryża wystartowały pierwsze rakiety V2 uzbrojone w głowice bojowe. W ramach „projektu uranowego” Rzeszy trwały też prace nad bronią atomową. W Gottow, na południe od Berlina, grupa niemieckich fizyków skupionych wokół Kurta Diebnera i Waltera Gerlacha, pracujących dla SS, skonstruowała reaktor jądrowy, w którym na przełomie lat 1944/1945 doszło do krótkotrwałej reakcji łańcuchowej. Pozwoliło to na wyprodukowanie prymitywnych ładunków nuklearnych malej mocy, z których dwa w marcu 1945 roku Niemcy próbnie odpalili na poligonie koło Ohrdrufu w Turynii.

Na przełomie lata i jesieni 1944 roku Niemcy przygotowywały się zatem do nowej

fazy wojny. Ostatniej, chociaż słowo to inaczej rozumiano w Kwaterze Głównej Führera i inaczej w kwaterach dowódców wojsk alianckich. W tym też czasie do świadomości wielu Niemców dotarło, że wkrótce działania bojowe przeniosą się na ich terytorium, w znaczeniu ziem tak zwanej starej Rzeszy. Zresztą już w połowie października 1944 roku Armia Czerwona tę granicę przekroczyła, na krótko zajmując południowowschodnie powiaty Prus Wschodnich: Gołdap (Gołdap) i Gumbinnen (Gąbin). Tym samym wojna dotarła tam, skąd wyszła. Do Niemiec.

Nieco wcześniej, bo na początku września, w Berlinie zapadła decyzja o ewakuacji dóbr kultury przechowywanych w fortyfikacjach międzyrzeckich w głąb Niemiec. Podczas rozmów z udziałem przedstawiciela rządu Rzeszy w randze sekretarza stanu w resorcie kultury, dyrektorów muzeów berlińskich i dyrektora Siegfrieda Rühlego ustalono, że zbiory te z okolic Meseritz trafią do podziemnych wyrobisk kopalni soli w Grasleben w środkowych Niemczech.

W pierwszej kolejności doktor Rühle polecił opróżnić z zabytków schron numer 701, grupy warownej „Kómer”, przy czym niemieckie instytucje kulturalne z okupowanego Poznania dysponowały w sumie trzema pomieszczeniami. Jak wynika z „Adnotacji do akt” z 23 września 1944 roku, w pierwszym z tych pomieszczeń umieszczono „6 skrzyń z kielichami etc., około 74 monstrancje w pojemnikach”. Dlaczego Rühle lub jego ludzie nie potrafili policzyć do stu, pisząc „około 74 monstrancje”, pozostanie ich tajemnicą. W drugim pomieszczeniu znajdowały się „3 skrzynie z kielichami etc. (jedna z nich zawiera cynę), 8 monstrancji (jeden duży krzyż)”. Trzecie pomieszczenie KaiserFriedrich Museum dzieliło z Landesamt für Vorgeschichte. KFM przechowywało tam „12 skrzyń z metalami szlachetnymi + cyna + 1 mała skrzynia (Tremessen)”. Urząd kierowany przez doktora Kerste na w panczerwerku przechowywał „15 dużych skrzyń i 1 małą skrzynkę”.

Trzy tygodnie później, 38 skrzyń z PzW 701 przewieziono na pobliską stację kolejową Starpel, gdzie podstawiono duży wagon towarowy. Rühle polecił załadować do niego także duży krzyż i 82 monstrancje w futerałach. Poza zabytkami prehistorycznymi wszystkie pozostałe eksponaty pochodziły ze skarbców katedralnych, głównie Gniezna, ale także Poznania. Z okazji tej skorzystał także doktor Erich Weise, który z podziemnych komór w baterii panczernej numer 5 przywiózł na

stację w Starpel 30 skrzyń z archiwaliami.

Je też załadowano do wagonu, który opuścił tę stację 17 października 1944 roku, by po czterech dniach dotrzeć na stację Weferlingen koło Grasleben.

O ewakuacji dwóch kolejnych skrzyń z zabytkami gnieźnieńskiego skarbcza katedralnego opowiedział wiele lat po wojnie kierowca Rühlego. Ewakuacja ta jego zdaniem miała nastąpić na przełomie lat 1944/1945. Rzeczywiście, 18 października 1944 roku, a więc dzień po wyjeździe wspomnianego wagonu ze Starpel, dyrektor KFM poinformował zarząd kopalni w Grasleben, że, jedna mała skrzynka z zabytkami z Tremessen została zabrana z pancerwerku 701 przez dr. Rühlego do Posen i ma być przez wymienionego osobiście zawieziona do Grasleben”. A więc Rühle zamierzał skontrolować warunki magazynowania skarbów z Kraju Warty w tej kopalni i omówić z jej dyrekcją możliwości zdeponowania tam kolejnych zabytków z KFM.

Czy Rühle pojechał do Grasleben, historia milczy. Mało to jednak prawdopodobne. Zapewne dyrektora KaiserFriedrich Museum poinformowano, że opiekę nad skarbami zgromadzonymi w podziemnych wyrobiskach kopalni w Grasleben sprawują wybitni muzealnicy berlińscy i jego, Rühlego, wizyta jest zbędna. Gdy ta informacja dotarła do Poznania, dyrektor KFM odesłał skrzynkę z zabytkami z Trzemeszna do podziemnych magazynów w fortyfikacjach międzyrzeckich, skąd mogła wraz z jakąś inną ze skarbami gnieźnieńskimi zostać zabrana transportem kolejowym, który stację w Paradies opuścił na przełomie lat 1944/1945. Będzie o tym jeszcze mowa.

W każdym razie, po opróżnieniu i zwróceniu wojsku podziemnych komór znajdujących się koło schronu bojowego numer 701, w gestii poznańskich instytucji kulturalnych Kraju Warty nadal były główne magazyny zlokalizowane w podziemiach baterii pancernej numer 5.

Po wyjeździe wagonu do Grasleben rozpoczął się trwający aż do stycznia 1945 roku etap translokacji dóbr kultury przechowywanych w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich. O prowadzonych wówczas działaniach wiemy niewiele. Nie odnaleziono lub celowo zniszczono wiele dokumentów, które w tym czasie krążyły między Poznaniem, Berlinem i placówką FestungsDienststelle w Zielenzig. To najbardziej tajemniczy etap w trwającym od września 1942 roku wykorzystywaniu tych fortyfikacji na magazyny skarbów kultury.

Wiadomo jednak, że po wyjeździe wspomnianego wagonu ze skarbami w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich zostało jeszcze bardzo wiele zabytków, w tym słynna kolekcja antycznych waz gołuchowskich. I te skarby, zgodnie z wrześnieowymi ustaleniami berlińskiej narady niemieckich muzealników z przedstawicielem rządu Rzeszy, Riihle zamierzał przewieźć do Grasleben. Jednak z nieznanych nam powodów zostały one w okolicach Meseritz, z wyjątkiem wspomnianych dwóch skrzyń z Gniezna. Czy pozostałe w podziemiach międzyrzeckich dzieła sztuki i archiwalia powtórzmy to pytanie przeniesiono z komór baterii pancernej numer 5 w inne miejsce systemu podziemnego MRU? Zachowane dokumenty nie wyjaśniają tego jednoznacznie, co rodzi spekulacje o przeniesieniu zbiorów do północnego odcinka systemu podziemnego i zamaskowaniu ich tamże. Twardego dowodu na to jednak nie ma.

Tajemniczy Alfons K.

W strukturach Słby Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej (Staatssicherheitsdienst, czyli Stasi) funkcjonowała utajniona komórka, która zajmowała się poszukiwaniami... Bursztynowej Komnaty. Jeden z oficerów Stasi, Paul Enke, swą pracę przekształcił w pasję. Połknął bowiem bakcyła poszukiwacza tego osiemnastowiecznego unikatowego arcydzieła sztuki barokowej i od tej pory nie istniał dla niego regulaminowy czas słby. Za zgodą zaś przełożonych Enke kontaktował się ze światem zewnętrznym, podając się za doktora prawa i emerytowanego urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych NRD. Formalnie jako poszukiwaczamator, a nie oficer Stasi, Enke napisał książkę *BemsteinzimmerReport Raub, Verschleppung und Suche eines weltbekannten Kunstwerkes*, której pierwsze wydanie ukazało się w Berlinie w 1986 roku.

Z tego właśnie *Raportu o Bursztynowej Komnacie* pochodzi zacytowany niżej fragment, w którym występuje interesujący nas Alfons K.

„Nasz już sędziwy polski rozmówca Alfons K. był podczas okupacji Polski palaczem, a potem kierowcą w muzeum w Posen (Poznań), które faszyci nazwali KaiserFriedrich Museum. 2 maja 1944 roku otrzymał on od dyrektora tego muzeum, dr. Siegfrieda Rühlego polecenie wyjazdu do Königsberga [Królewca]. To pozwolenie policyjne na podróż, które musiał mieć jako Polak, ma jeszcze teraz. W Königsbergu Rühle przejął w prywatnym mieszkaniu emerytowanego dyrektora poczty cenny zbiór numizmatyczny, który został załadowany w trzech wielkich walizkach. Z sąsiedniego pomieszczenia Alfons K. usłyszał rozmowę prowadzoną podczas obiadu o pracy z bursztynu, którą trzeba będzie przewieźć w bezpieczne miejsce. Dr Rühle wyjaśniał, że mógłby coś takiego przejąć. Z różnych strzępów tej rozmowy Alfons K. zrozumiał, że myśli się o tym, by tę pracę umieścić w umocnieniach zwanych WarthaStellung (pomiędzy Posen a Frankfurtem nad Odrą). Jak wiarygodnie wiemy z akt generała oddziałów tej twierdzy, KaiserFriedrich Museum w Posen miało tam rzeczywiście swoje składy depozytowe. Tam też bezpośrednio po powrocie umieszczono

wspomniany zbiór numizmatyczny. Alfons K. nie może dokładnie sobie przypomnieć momentu tego zdarzenia, w każdym razie pamięta, że było dotkliwie zimno, kiedy na przełomie lat 1944/45 przed muzeum [w okupowanym Poznaniu] przybyło kilka wojskowych ciężarówek typu OpelBlitz, których ładunki były szczelnie zapakowane w płachty płótna żaglowego. Kierownik transportu, pewien major, wsiadł z dr. Rühlem do jego słabego mercedesa, a Alfons K. poprowadził tę kolumnę do Meseritz (Międzyrzecz), gdzie dołączył jeszcze oddział żołnierzy. Podczas tej podróży Rühle i major rozmawiali tak cicho, że Alfons K. mógł zrozumieć tylko, że mówi się coś o kopalni soli i jej wentylacji, gdzie miałyby nastąpić zmagazynowanie. I znowu mówiono o pracy z bursztynu.

W pobliżu miejscowości Paradies przewożone ładunki zostały przeładowane na rampie do dwóch wagonów kolejowych. Niektóre skrzynie miały do dwóch metrów długości, a drewno wydawało się być zakonserwowane pokostem, jak również oznaczone numerami i nazwą Königsberg. Podczas tych prac przeładunkowych Alfons K. otrzymał rozkaz wyjazdu do składów w twierdzy, by zabrać zmagazynowany tam zbiór monet, jak również zapakowany w dwóch skrzyniach złoty skarb kościelny, który pochodził z katedry w Gnesen (Gniezno). Kiedy także te skrzynie załadowano, major zamknął drzwi wagonów kolejowych zamkami zaporowymi, a K. przywiózł obu tych panów z powrotem do Posen”.

Zwróćmy uwagę, że Paul Enke nie podał nazwiska kierowcy z poznańskiego Muzeum Cesarza Fryderyka, ograniczając się tylko do pierwszej litery. Ale dwa lata przed wydaniem w NRD *Raportu o Bursztynowej Komnacie*, na łamach wychodzącego w RFN tygodnika „Die Zeit” (nr 47 z 16 listopada 1964) pojawił się ten sam wątek, z tym że autor obszernego artykułu o poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty Karl Heinz Janssen nazwisko kierowcy wymienił.

„O innym konwoju ciężarówek, który opuścił Königsberg w styczniu 1945 roku pisał Janssen opowiedział Polak, Kairis, który w tym czasie zatrudniony był jako kierownik dyrektora KaiserFriedrich Musami w Posen, doktora Siegfrieda Rühlego (był on podobno przyjacielem samego Bormanna). Ciężarówki były załadowane wielkimi skrzyniami. W Posen dołożono do tego kolekcję monet, którą Rühle przywiózł w maju 1944 roku z Königsberga i schował w jednym z bunkrów pod Posen. Na dworcu w

miejsowości Paradies, na wschód od Frankfurtu nad Odrą, skrzynie zostały przeładowane do wagonu kolejowego. Po drodze Polak podsłuchał rozmowę Rühlego z pewnym majorem z Rygi, doktorem Rootem, na temat, czy możliwe byłoby ukrycie Bursztynowej Komnaty w kopalni soli”.



Bursztynowa Komnata na zdjęciu – w oryginale kolorowym – z 1930 roku, wykonanym w Pałacu Jekatierińskim w Puszkynie, koło ówczesnego Leningradu.

Fotografia z archiwum Instytutu Adm. i Socjologii

Kierowca dyrektora Rühlego miał według tygodnika „Die Zeit” nazywać się Kairis, co było zniemczonym zapisem wyjątkowo rzadko występującego wśród Polaków nazwiska Kajrys. Owe zaś bunkry pod Poznaniem, o których w tymże tygodniku pisał Janssen, to byty znane nam już magazyny niemieckich instytucji kulturalnych Kraju Warty, urządzone w wybranych komorach podziemnych Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty. W swej książce, Enke nazwał te fortyfikacje „pozycją warciańską” (WarthaStellung) i napisał, że tam właśnie Rühle zawiózł kolekcję monet z Królewca. Tymczasem, Janssen relację Kaj rysa mocno uprościł, owe magazyny podziemne nazywając bunkrem i lokalizując je gdzieś w pobliżu Poznania, gdy tymczasem fortyfikacje międzyrzeckie znajdowały się w odległości mniej więcej 120 kilometrów na

zachód od stolicy Kraju Warty.

Tyle gwoli wyjaśnienia i doprecyzowania informacji pojawiających się w obu cytowanych wyżej publikacjach.

W swej głośnej w 1984 roku publikacji, wielokrotnie później cytowanej w prasie światowej, Karl Heinz Janssen nie ukrywał, że informacje o tym, co powiedział polski kierowca dyrektora niemieckiego muzeum w Posen, przekazał mu jego współpracownik Georg Stein, a ten z kolei, że otrzymał je z NRD. Ani jednak Janssen, ani Stein nie wiedzieli, że za grupą enerdowskich poszukiwaczy Bursztynowej Komnaty stała osławiona policja polityczna reżimu Ericha Honeckera, czyli Stasi. A przede wszystkim stał Paul Enke, który liczył, że być może czytelnicy „Die Zeit” do relacji Kajrysa dorzucą kolejne ważne dla niego informacje o ewakuacji jakiegoś bursztynowego dzieła sztuki z Królewca przez Poznań na stację w Paradies, która to miejscowość przypomnijmy nazywa się dzisiaj Gościkowo.

Tymczasem w Archiwum Państwowym w Poznaniu znajduje się sporządzony 17 sierpnia 1944 roku spis pracowników poznańskiego KaiserFriedrich Museum. Wśród wielu figurujących nań nazwisk, podzielonych na dwie grupy narodowościowe: Niemców i Polaków, nie ma Kairisa, Kajrysa lub osoby o podobnie brzmiącym nazwisku...

Czyżby zatem Stasi wymyśliła tę postać, by uwiarygodnić jedną z ważniejszych hipotez w swych poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty? Hipotezy, która zakładała ewakuację tego arcydzieła sztuki z Königsbergu do okupowanego Poznania i dalej do miejscowości Paradies, gdzie skarby przywiezione ze stolicy Prus Wschodnich z ciężarówek OpelBlitz przeładowano do dwóch wagonów kolejowych, które pojechały w głąb Niemiec.

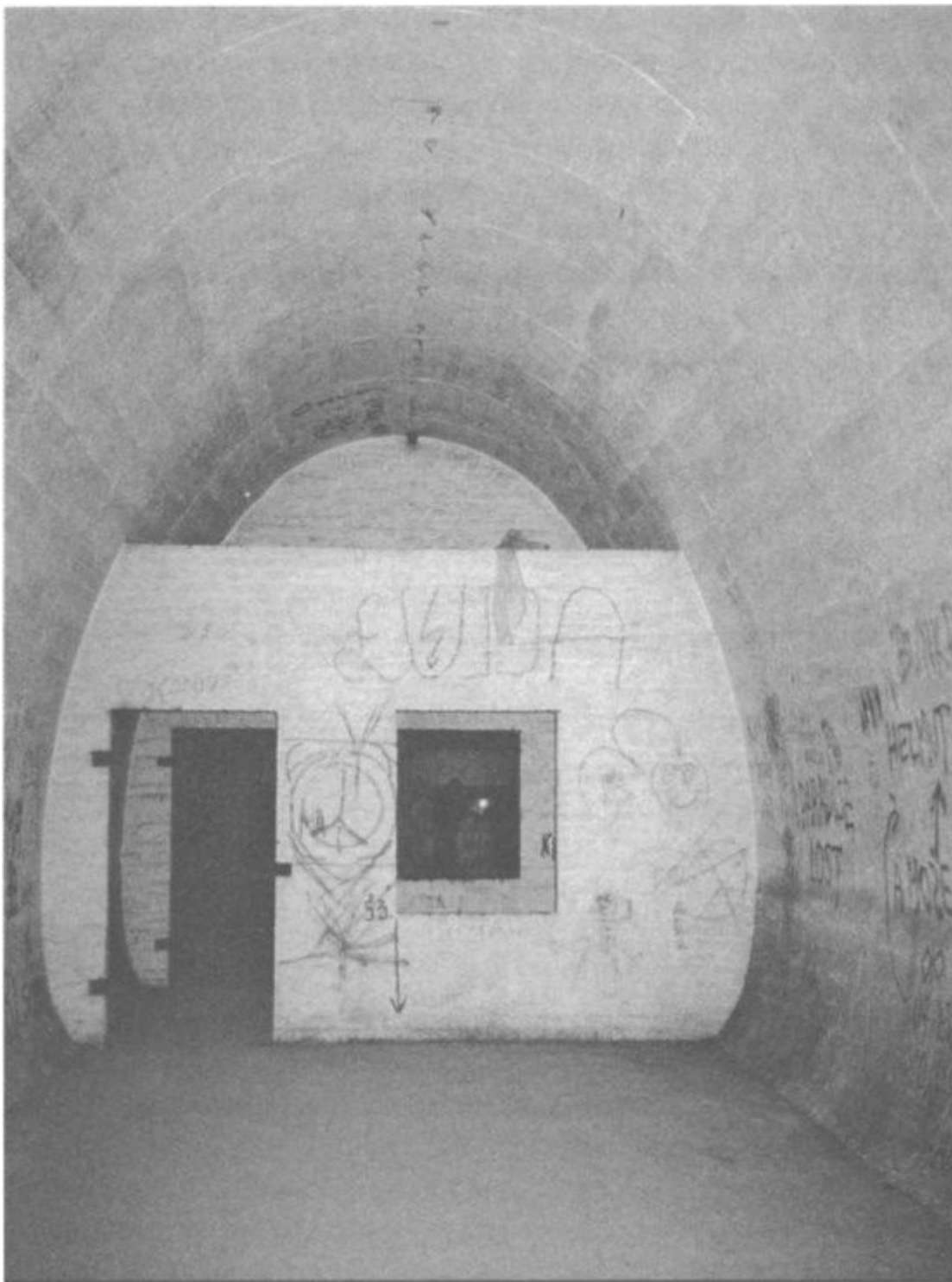
W czasach NRD Gunter Wermusch był lektorem (kimś w rodzaju redaktora w polskich wydawnictwach książkowych) książki Enkego *BemsteimimmerReport*. Po nagłej śmierci Enkego w 1987 roku w Lipsku, upadku muru berlińskiego dwa lata później i zjednoczeniu Niemiec, Wermusch w 1992 roku wydał książkę *Die BemsteinzimmerSaga* (Saga o Bursztyniowej Komnacie), w której obficie korzystał z materiałów Stasi. W jego Sadze pojawiły się też wątki poznańskiego Kaiser Friedrich Museum i jego dyrektora oraz kierowcy Alfonsa Kajrysa, które to nazwisko widniało w niemieckim zapisie

Kairis. Zresztą w tytule jednego z rozdziałów swej książki Wermusch użył nazwiska dyrektora poznańskiego muzeum, nazywając ów konwój ciężarówek OpelBlitz z Królewca „transportem Ruhlego”.



Dawna stacja kolejowa w Paradies, czyli w dzisiejszym Gościkowie koło Międzyrzecza, która pojawia się we wspomnieniach Alfonsa K. Zdjęcie z 1996 roku.

Fot. Leszek Adamczewski



Jedna z podziemnych komór przeznaczonych na depozyty z instytucji kulturalnych Kraju Warty.

Fot. Łuczek Adamczewski

Alfons Kajrys „przeżył” więc i NRD, i jej policję polityczną Stasi. Nazwisko rzekomego kierowcy dyrektora Ruhlego pojawiło się też w obszernej, dwuodcinkowej publikacji „Operation Puschkin”, zamieszczonej pod koniec 2000 roku w tygodniku „Der Spiegel”. O Alfonsie Kajrysie mowa jest w drugim odcinku tej publikacji („Der

Spiegel” nr 49 z 4 grudnia 2000) na stronie 94. Poważny tygodnik niemiecki pokusił się nawet o pewną manipulację, ponieważ nie ma żadnego dowodu, że wagony ze skarbami kultury załadowane w Paradies pojechały do Stettina (Szczecina).

„Kairis czytamy w tygodniku „Der Spiegel” załadował dodatkowo na ten wagon zbiór monet i dwie skrzynie ze skarbami katedralnymi z Gnesen. Następnie ci panowie [chodzi o dyrektora Ruhlego i towarzyszącego mu człowieka w mundurze majora] pojechali z powrotem do Posen. Wkrótce potem siostra Czerwonego Krzyża Ilse Gudden zauważyła na dworcu w Stettinie kilka wagonów kolejowych załadowanych drewnianymi skrzyniami, obrazami i książkami. Nie zapomniała, gdyż był to widok dziwaczny: niekończące się pociągi z umarłymi i śmiertelnie rannymi wyczerpanymi fizycznie uciekinierami, a pośrodku tego apokaliptycznego nieszczęścia pociąg pełen pięknych dzieł sztuki”.

Paul Enke nie zdradził za swego życia, przynajmniej publicznie, nazwiska kierowcy dyrektora poznańskiego muzeum. W tej sprawie najważniejsze pytanie zatem brzmi: Czy Enke w towarzystwie innych oficerów Stasi rozmawia) z kierowcą Ruhlego z czasów okupacji hitlerowskiej? Sprawą zaś ważną, ale drugorzędną jest, czy Alfons K. mówił prawdę i tylko prawdę, czy może nieco fantazjował?

Sięgnijmy jeszcze raz do książki Enkego. W charakterystycznym dla publicystyki NRD stylu ten oficer Stasi pisał:

„Część zrabowanych dzieł, które Rühle nakazał przetransportować na przełomie lat 1944/45, odnaleziono po rozbiciu faszyzmu niemieckiego. Dotyczy to zawartości trzech wagonów kolejowych, znalezionych w trzech różnych saksońskich magazynach dzieł sztuki, którymi opiekował się tam kustosz poznańskiego muzeum, Alexander Grosse. W kopalni soli w AltAussee (Austria) znaleziono 209 obrazów i 6 dywanów, które schował Rühle, a które miały być przeznaczone dla tak zwanego prywatnego zamku Hitlera w Posen.

Prawdopodobnie rozmawiano [w drodze z Poznania do Paradies] o tej kopalni soli, gdyż tam rzeczywiście znajdowały się specjalne urządzenia wentylacyjne. Te transporty, które byty ekspediowane przez Ruhlego, konwojowali kustosze poznańscy dr Ruth (porcelana), dr Asmuth (wyroby artystyczne), dr Stelzer (obrazy) i inspektor muzealny Dehio. Alfons K. jest przekonany, że w dwóch wagonach, przy których

załadowywaniu musiał pomagać, znajdowała się Bursztynowa Komnata. Nie mogliśmy tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć”.

Dodajmy, że w podziemnych wyrobiskach kopalni w AltAussee Bursztynowej Komnaty nie znaleziono, chociaż leżały tam unikatowe dzieła sztuki.

Odpowiedź na pytanie, czy Paul Enke lub inny oficer Stasi rozmawiał z kierowcą Ruhlego, kryje się w spisie pracowników KaiserFriedrich Museum. Rzeczywiście, pojawiają się tam nazwiska wymienione przez Alfonsa K., chociaż nie wszyscy z nich byli doktorami. To można wytłumaczyć niskim w hierarchii pracowników muzeum stanowiskiem Alfonsa K., któremu wydawało się, że wszyscy kustosze byli doktorami. Gwoli ścisłości trzeba dodać, że w spisie pracowników muzeum nie ma doktora Stelzera. Albo Alfons K. po latach pomylił nazwisko, albo co mało prawdopodobne Stelzera zatrudniono już po sporządzeniu spisu.

No i pozostaje sam Alfons K. Kajrys jak się rzekło w spisie nie figuruje. Ale pod pozycją 25. jest wymieniony kierowca samochodu ciężarowego (KraftwagenFührer), którym był A. Kulwitzki, lat 32, wyszczególniony w rubryce „Polen”, czyli wśród polskich pracowników muzeum. Nieco niżej, pod pozycją 35., figuruje pani Kulwitzki, lat 25. Zapewne, ze względu na identyczne nazwisko, ta sprzątaczką (Reinmachefrau) była żoną lub młodszą siostrą kierowcy dyrektora Rühlego.

W świetle odnalezionego w Archiwum Państwowym w Poznaniu dokumentu jedno jest pewne. Alfons K. nie był tworem fantazji enerdowskiej bezpieki. Natomiast zapewne nigdy nie dowiemy się, jak Stasi „wpadła” na Kulwickiego, jeśli rzeczywiście o niego chodzi. W każdym razie w spisie pracowników muzeum nie ma innego kierowcy. Enke pisał, że Alfons K. był już sędziwym człowiekiem. Jeśli założymy, że do spotkania z byłym kierowcą dyrektora KaiserFriedrich Museum doszło na początku lat osiemdziesiątych XX wieku, to miał on wtedy niespełna 70 lat. Gdzie zaś doszło do spotkania? W Polsce, NRD, RFN? W każdym razie Kulwicki przeżył wojnę, zachowując nawet takie drobiazgi, jak policyjne zezwolenie na wyjazd z okupowanego Poznania do Królewca, które pokazał wysłannikom Stasi. To też o czymś świadczy.

No i Kulwicki nie wiedział, że rozmawia z oficerami enerdowskiej bezpieki. Przedstawiali się oni bowiem jako pasjonaciposzukiwacze Bursztynowej Komnaty. O tym, że Paul Enke i jego koledzy byli oficerami Stasi, świat dowiedział się dopiero po

zjednoczeniu Niemiec. Stasi potrafiła też dobrze ukryć swego informatora. Ci, co oglądali akta enerdowskiej bezpieki, natrafili tylko na relację Alfonsa Kajrysa, a nie Kulwickiego.

Czy jednak w świetle wiedzy, którą posiadamy uprawniona jest teza, że Stasi potrafiła dobrze ukryć swego informatora. Wiemy, że Kajrys przekazał Enkemu lub jego towarzyszący wiele prawdziwych informacji o KaiserFriedrich Museum. Wiemy też, że jego nazwisko nie figuruje w spisie pracowników tego niemieckiego muzeum.

Informacji, że Alfons Kajrys lub Kairis mieszkał w okupowanym Poznaniu sprawdzić się nie da. Nie zachowały się na przykład księgi meldunkowe z najbardziej nas interesującego roku 1944, a wcześniejsze, na które natrafiliśmy w zbiorach Archiwum Państwowego w Poznaniu, są tak sporządzone, że bez znajomości adresu poszukiwanej osoby nikogo się nie znajdzie.

Założyliśmy, że zaufany kierowca dyrektora Ruhlego mógł podpisać tak zwaną volkslistę, czyli przyznać się, że w jego żyłach płynie przynajmniej część krwi niemieckiej. W Kraju Warty Arthura Greisera w odróżnieniu od Pomorza Gdańskiego i Górnego Śląska wpis taki było bardzo trudno uzyskać. W wojennym Posen poprzeczkę ustawiono bowiem bardzo wysoko. Wiele wniosków administracja hitlerowska odrzuciła i nie pomagały tłumaczenia zainteresowanych, że ich rodzice do końca 1918 roku byli obywatelami Rzeszy Niemieckiej. Albo że sam zainteresowany wpisem na volkslistę urodził się jako poddany cesarza Wilhelma II.

Jedno wszelako jest pewne. Nazwisko Kajrys lub Kairis nie pojawiło się w powojennych dokumentach komisji rehabilitacyjnej, która rozpatrywała wnioski osób winnych zdrady narodowej i pragnących przywrócenia obywatelstwa polskiego.

W części zaś zachowanych spisów ludności Poznania (dane te dotyczą lat trzydziestych XX wieku) w ogóle nie ma osób noszących nazwiska: Kairis, Kajrys, a nawet Keiris, bo i taką możliwość wzięliśmy pod uwagę.

Wszystko zatem wskazuje, że nazwisko to wymyślili oficerowie Stasi, by ukryć prawdziwą tożsamość ich informatora, najprawdopodobniej właśnie Kulwickiego.

A tak na marginesie tej sprawy dodajmy, że poszukiwacze Bursztynowej Komnaty z enerdowskich słb specjalnych z góry odrzucali hipotezę, która na przełomie XX i XXI wieku przerodziła się w najbardziej prawdopodobną, przez wielu traktowaną wręcz za

pewnik. Otóż hipoteza ta mówi o zniszczeniu tego arcydzieła sztuki przez pijanych czerwonoarmistów po zdobyciu pokrzyżackiego zamku w Königsbergu pod koniec pierwszej dekady kwietnia 1945 roku. Penetrujący w czerwcu zamkowe ruiny członkowie tak zwanej brygady trofiejnej, którą do tej części Prus Wschodnich wysłał Komitet do spraw Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR, natrafili na ślady pożaru i zgłiszczą tego, co mogło być Bursztynową Komnatą. Wprawdzie stuprocentowej pewności Rosjanie nigdy nie uzyskali, ale chyba wszystko wskazuje, iż to arcydzieło sztuki rzeczywiście zostało zniszczone. A jego poszukiwania zarządził później sam Józef Stalin, który chciał, by komnata stała się symbolem tego, co Niemcy zrabowali w ZSRR i dobrze gdzieś ukryli. Jej poszukiwania miały też według Stalina usunąć w cień fakt, że sami Rosjanie pod koniec wojny zrabowali na terytorium Trzeciej Rzeszy i jej państw satelickich setki tysięcy skarbów kultury, w tym te zabytki, które od września 1942 roku składowano w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich. I których pod koniec wojny nie zdążono już ewakuować w głąb Niemiec.

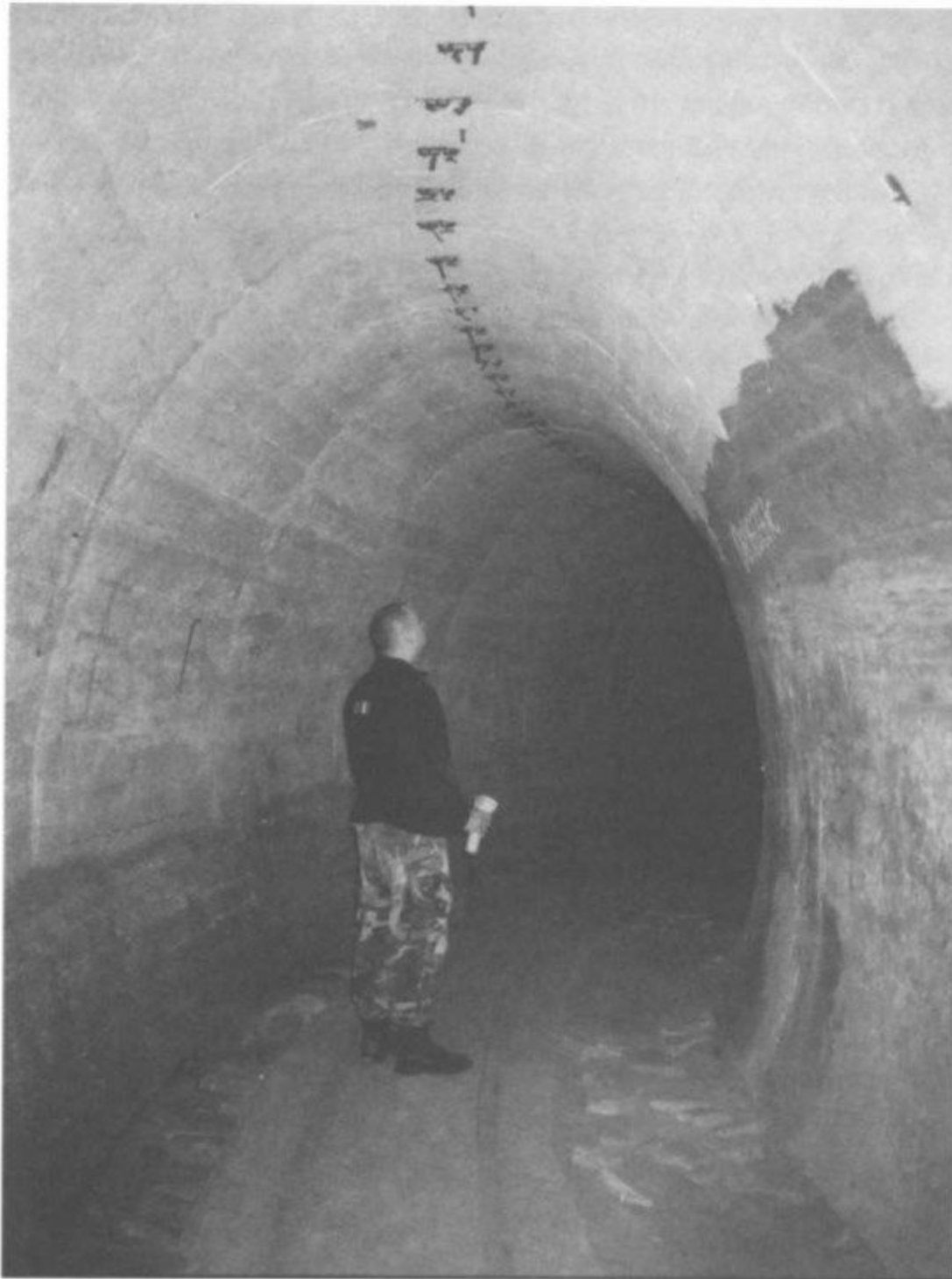
Skrzynie z Królewca

Groźnych pomruków nadciągającego frontu nie mogli nie usłyszeć. Ale do końca nie zdawali sobie sprawy, że czołowe oddziały Armii Czerwonej w błyskawicznym wręcz tempie zbliżają się do ich obozu, urządnego w lesie kilka kilometrów na północ od wioski Hochwalde. Oni, robotnicy przymusowi, rozumowali w takich kategoriach: oto Sowieci wyzwolą obóz i skończy się niewolnicza praca w firmie, którą robotnicy kojarzyli z samochodami Mercedes. To skojarzenie wzięło się zapewne z charakterystycznego logo zakładów Daimlera, który to znak widniał na części podzespołów używanych do produkcji silników lotniczych. Dość powiedzieć, że eksploratorzy penetrujący w końcu XX wieku tereny byłego obozu koło Wysokiej znaleźli tkwiące w ziemi metalowe elementy z logo Daimlera.

Z cytowanej już kilkakrotnie monografii wioski Hochwalde, pióra Leonharda Hoffmanna, wiemy, że zlokalizowane w tej okolicy zakłady zbrojeniowe Schachtelhalm zajmowały się produkcją części lotniczych, między innymi silników do myśliwców FockeWulf.

Gdy w końcu stycznia 1945 roku robotnicy przymusowi z obozu koło Hochwalde oczekiwali wyzwolenia, w berlińskiej Kwaterze Głównej Führera ze znajdującymi się w tej okolicy umocnieniami Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty wiązano inne nadzieje. Że choćby na kilka dni zatrzymają one rozpędzony walec Armii Czerwonej, co się rzeczywiście stało. Kilkudniowe walki na tym silnie ufortyfikowanym terenie pozwoliły Niemcom umocnić swe pozycje na prawym brzegu Odry, w rejonie Frankfurtu i Kustrina (Kostrzyna), tworząc tam tak zwane przyczółki mostowe.

Świadkiem wydarzeń, które 29 i 30 stycznia rozegrały się w obozie koło Hochwalde, był Henryk Nitz z Inowrocławia. Jeszcze w czasach PRL złożył on obszerne zeznanie przed prokuratorem ówczesnej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze.



Tym między innymi tunelem w końcu stycznia 1945 roku – według Henryka Nitza – popędzono robotników w kierunku Boryszyna.

Fot. Leszek Adamczewski

„Niemcy mówili nie spodziewali się szybkiego zajęcia terenu przez Rosjan. Przyjechaliśmy normalnie o godzinie 17 z pracy. Zjedliśmy obiad. Około godziny 19 usłyszeliśmy odgłosy artylerii. Niemcy uciekając, kazali nam schować się do podziemi. Początkowo ukryliśmy się pod barakami. Rano, gdy stwierdziliśmy, że teren został

wyzwolony, opuściliśmy kryjówkę. Przy bramie znajdowali się rozstrzelani Niemcy z komendy obozu i kierownictwa budowy”.

Czerwonoarmiści nie patyczkowali się z pojmanymi Niemcami, zwłaszcza jeśli byli oni ubrani w mundury SS lub nosili odznaki członkowskie NSDAP. Ale tym samym stracili szansę poznania prawdy o tym, co w poprzedzających walki o MRU tygodniach działo się na tym terenie.

O przechowywanych w podziemnych komorach MRU skarbach kultury z Kraju Warty wiemy już sporo. Ale czy w ostatnich tygodniach niemieckich tu rządów do podziemi fortyfikacji międzyrzeckich trafiły jakieś inne skarby? Pogłoski na ten temat krążą od lat, ale nigdy nie znalazły one potwierdzenia w jakichkolwiek dokumentach.

Józef Baliński, inny z Polaków z obozu kolo Hochwalde, zeznał: „W podziemiach znajdowały się również magazyny mundurów lotniczych dla kobiet Luftwaffe. Były to magazyny ewakuowane z rejonu Berlina”. Słowo „również” oznacza, że miały one znajdować się obok zlokalizowanej w podziemiach fabryki lotniczej. O przechowywanych tu skarbach z Kraju Warty nikt z Polaków zatrudnionych w zakładach Schachtelhalm nic, rzecz jasna, nie wiedział.

Henryk Nitz już nic nie powie. Od lat nie żyje. Ale to on w drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku opowiadał o skrzyniach z napisem „Kónigsberg”, które w ostatnich dniach grudnia 1944 roku miały zostać przywiezione pociągiem na stację Paradies i następnie windą zwiezione do podziemi MRU, gdzie zostały ukryte. W skrzyniach miały znajdować się dokumenty z archiwum Sztabu Generalnego.

Wiele wskazuje, że opowieść o skrzyniach z Królewca jest fantazją, o to nie pierwszą, Nitza. To on opowiadał prokuratorowi OKBZH w Zielonej Górze, że w lutym lub marcu 1944 roku zakłady Schachtelhalm zwiedzi) Albert Speer, hitlerowski minister gospodarki wojennej. Tymczasem od stycznia do pierwszych dni maja Speer był obłożnie chory i żadnych zakładów nie wizytował).

Opowieść o skrzyniach z Królewca zrodziła się zapewne po lekturze znanego nam już artykułu Karla-Heinza Janssen o poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty, zamieszczonego w niemieckim tygodniku „Die Zeit” pod koniec 1984 roku. Artykuł ten streściła ówczesna prasa polska, eksponując zwłaszcza wątek o konwoju ciężarówek z Königsbergu, który na przełomie lat 1944/1945 przyjechał do Paradies, gdzie na

tamtejszej stacji przeładowano tajemnicze skrzynie z samochodów do towarowych wagonów kolejowych.

W opowieści Nitza powtarza się nie tylko słowo „Kónigsberg” i czas akcji, ale i stacja w Paradies, gdy tymczasem zakłady Schachtelhalm i firmy pod koniec wojny rozbudowujące fortyfikacje międzyrzeckie korzystały z następnej na linii Międzyrzecz Toporów stacji Starpel.

Wróćmy jeszcze do zeznania Nitza, opisującego wydarzenia z 30 stycznia 1945 roku. „Wieczorem około godziny 18 na teren obozu ponownie weszło wojsko niemieckie i wszystkich spędzono na plac apelowy i barakami [tu w znaczeniu mieszkańców poszczególnych baraków] zagoniono wszystkich do podziemi”. Robotników popędzono tunelami w kierunku baterii pancernej numer 5, gdzie uwolniono ich po trzech dniach. „Opuściliśmy podziemia w rejonie Boryszyna. Znajdowała się tam jeszcze niemiecka załoga” mówił Nitz prokuratorowi OKBZH, ale później, w gronie kolegów z organizacji kombatanckiej, dodawał, że przed opuszczeniem podziemi usłyszeli odgłos silnej eksplozji. To zdaniem Nitza Niemcy wysadzili w powietrze szyb, którym miesiąc wcześniej windą zwieziono do podziemi skrzynie z napisem „Kónigsberg”. Czy aby na pewno?

Poszukiwania skrzyń z Królewca najprawdopodobniej nic nie dadzą. Ich tu po prostu nigdy nie było. To kolejny element legendy związanej z tajemnicami Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Zamknięci w garażach

W sobotę, 20 stycznia 1945 roku, nad poznańskim Zamkiem powiewała jeszcze czerwona flaga z czarną swastyką w białym kole. Było już ciemno, gdy na ośnieżony dziedziniec Zamku zaczęły wjeżdżać samochody zdenerwowanych dygnitarzy nazistowskich Kraju Warty. Na godzinę 18 Arthur Greiser zwołał bowiem kolejną naradę. Jej uczestnicy twierdzili później, że wielu z tych, którzy bywali na podobnych naradach w minionych kilku dniach, teraz się nie pojawiło. Nie wytrzymali napięcia psychicznego ostatnich godzin i porzucając wszystko, w tym czasie uciekali na zachód. Armia Czerwona w błyskawicznym tempie zbliżała się do Poznania.

Co teraz zrobić? szeptali po kątach ci, co przybyli na naradę, nerwowo paląc papierosy.

W końcu otwały się wielkie drzwi.

Der Gauleiter zaanonsował szefa jego partyjny zastępcą Alfred Schmalz.

Greiser powoli wszedł na salę. Popatrzył na obecnych, chociaż myślami pewnie był już gdzie indziej.

Moi panowie, w ciągu jednego, najpóźniej dwóch dni Rusek będzie w Posen powiedział cichym, zmęczonym głosem. Pozostawiam tu dzieło mego życia. Nieukończone. Jestem z tym krajem głęboko związany. Mój syn spoczywa w tej ziemi. Rozkaz Führera wzywa mnie do Berlina dla wypełnienia zadania przy reichsführerze SS. Mój zastępca przejmie dowództwo.

Gdy tylko namiestnik Rzeszy Kraju Warty opuścił Zamek, do panicznej ucieczki rzucili się inni nazistowscy prominenci z władz Warthelandu.

Wkrótce po przyjeździe Greisera i jego świty do Frankfurtu nad Odrą, polski robotnik przymusowy Roman Cybichowski będzie świadkiem (i w jakiś też sposób uczestnikiem) tajemniczego zdarzenia, które próbujemy wyjaśnić od połowy lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Co właściwie Cybichowski widział? Tajemniczy konwój samochodów ciężarowych, eskortowany przez żołnierzy z Waffen SS, uciekający przed nacierającą ze wschodu Armią Czerwoną. Tylko tyle i aż tyle.

Gdy 19 lutego 1996 roku wybraliśmy się na swoistą wizję lokalną w miejsca, gdzie 51 lat wcześniej Cybichowski widział tajemniczy konwój SS, świadek nie tylko je rozpoznał, ale swą wcześniejszą relację uzupełnił o trzeciorzędne szczegóły. Wszystko się zgadzało. Ani przez moment nie odnosiliśmy wrażenia, że słyszymy bajkę. Cybichowski przedstawiał fakty tak, jak je zapamiętał, nie siląc się na ich interpretację lub komentarze.

Była późna jesień 1939 roku. Do Arbeitsamtu w miasteczku Meseritz trafił zaledwie piętnastoletni wtedy Roman Cybichowski wraz z grupą innych Polaków, przywiezionych tu z ziem okupowanych.



Przełom stycznia i lutego 1945 roku. Czerwonoarmiści walczą na ulicach w centrum Poznania.

Zdjęcie z archiwum Lecha Adamczewskiego

Na Arbeitsamcie posegregowano nas niczym bydło wspominał Cybichowski w 1995 roku. Mnie przydzielili do gospodarstwa rolnego pani Spliesgart, która z domu nazywała się Łukowska i pochodziła z Poznania. Zabudowania mieszkalno-gospodarcze znajdowały się na samym końcu wsi Hochwalde, której spora część rozłożyła się na dużym półwyspie oblewanym przez wody sporego jeziora.

Przez ponad pięć długich lat wojennych Cybichowski pracował w gospodarstwie pani Spliesgart, przy okazji robót polowych poznając dość dobrze najeżony potężnymi umocnieniami Ufortyfikowany Front Łuku Odry - Warty w okolicach wioski Hochwalde.



Archiwalne zdjęcie wioski Hochwalde (Wysoka) z 1939 roku. Wioska ta w części leży na półwyspie, na jeziorze Paklicko Małe.

Zdjęcie z archiwum Pawła Pątkowicza

Którejś niedzieli w 1943 lub 1944 roku wspominał wówczas Cybichowski wybrałem się do Burschen, jak wtedy nazywał się Boryszyn. Raptem kilka kilometrów z Hochwalde. Na skraju wioski był obóz, gdzie mieszkali Polacy zatrudnieni w berlińskiej firmie Kunz Co Hoch und Tiefbau, o ile dobrze zapamiętałem tę nazwę. Pracujących tu Polaków nadzorowali funkcjonariusze Organizacji Todta. W obozie przypadkowo spotkałem kilku poznaniaków. I od nich dowiedziałem się, że od mniej więcej roku budują tunel w skarpie nad jeziorem Paklicko Małe. A ściślej na zachodnim brzegu jeziora. Na pewno mówił mi o tym starszy mężczyzna, z zawodu chyba stolarz, o nazwisku Jankowski. Pochodził on z Murowanej Gośliny koło Poznania i w

Boryszynie wykonywał szalunki.

W lutym 1996 roku Roman Cybichowski bezbłędnie trafił w miejsce, gdzie 52 lub 53 lata wcześniej rozmawiał z Jankowskim.

Tu nie było żadnego obozu powiedzieliśmy zbyt pewni siebie. Na dostępnych nam wtedy mapach i planach nie zaznaczono bowiem obozu pracy na północnozachodnim skraju Boryszyna. Natomiast takowy obóz zaznaczony był z drugiej strony wioski. Mieszkali tam robotnicy, od połowy 1944 roku zatrudnieni przy rozbudowie południowego krańca systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich.

Tu na pewno był obóz upierał się Cybichowski, wskazując na pole z prawej strony szosy z Boryszyna do niedalekiego Zarzyna. W tym miejscu stały drewniane baraki na podmurówkach. I tu rozmawiałem z poznaniakami zatrudnionymi w firmie Kunz Co Hoch und Tiefbau.

Na wskazanym przez Cybichowskiego polu znaleźliśmy jednak resztki fundamentów po barakach obozu, którego funkcjonowanie w tym właśnie miejscu zostało oficjalnie potwierdzone dwa lata później. Niestety, dotychczas nie udało się natrafić na ślad odległego stąd około 1000 metrów tunelu, który w środku wojny budowali Jankowski i jego koledzy.

Ale był jeszcze ktoś, kto zapamiętał jakąś tajemniczą budowę w tym mniej więcej miejscu.

Miał dziewięć lat, gdy wraz z najbliższymi został wywieziony na roboty przymusowe. Jego rodzice zostali wyrzuceni ze swego gospodarstwa rolnego w Biezdrowie koto Wronek na początku lipca 1940 roku.

Mieli tylko kwadrans na opuszczenie domu i zabranie kilku najbardziej potrzebnych przedmiotów. Dla Czesława Rutkowskiego, jego rodziców, wujka, dwóch siostr i młodszego brata rozpoczęła się cztero i pół letnia poniewierka. Zrazu był opuszczony przez zakonników klasztor we Wronkach, później obozy przejściowe w Poznaniu i Guben, wreszcie Bossen koto Frankfurtu nad Odrą, gdzie wysiedlonych Polaków posegregowano na rodziny i wystawiono na... „przetarg”.

Moją rodzinę opowiadał nam Czesław Rutkowski w ostatnim roku XX wieku wybrał syn właściciela największego gospodarstwa rolnego w Seeren, Herberta Schkiela. I rychło też dotarliśmy pociągiem do stacji w Starpel, skąd furmanką

dojechaliśmy do pobliskiego Seeren.

Właśnie te niemieckie nazwy utrwały się w pamięci Rutkowskiego. I chociaż znał obecne nazwy polskie tych miejscowości, z trudem je sobie przypominał. Gwoli ścisłości dodajmy, że Seeren to Zarzyń.

W Seeren kontynuował Rutkowski przydzielono nam mieszkanie w tak zwanym trojaku i nazajutrz starsi musieli iść do pracy. Ja przez mniej więcej rok nie pracowałem, bo byłem za młody. Później zostałem stangretem Schkiela. Przez trzy lata woziłem go po polach, a było tego coś około 800 hektarów, rozrzuconych w różnych miejscach. W tym rejonie pracowały jakieś ekipy budowlane. Wśród nadzorujących roboty byli funkcjonariusze Organizacji Todta Ślązacy i Niemcy z Wielkopolski, znakomicie znający język polski. Czasami przychodzili do Seeren, wpadali do moich rodziców.

Kiedy to było?

W 1943 roku.

W tym roku Niemcy nie prowadzili żadnych prac inwestycyjnych na terenie Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty, którego budowę o czym już wiemy przerwano tuż przed wybuchem wojny i wznowiono w połowie 1944 roku. Co tu zatem budowano? Czyżby ten świadek historii potwierdzał to, o czym opowiadał nam w 1996 roku Cybichowski.

Gdy z Seeren jeździłem do Burschen, budowano coś między drogą a brzegiem jeziora Paklicko Małe. Prowadzono tam jakieś duże prace ziemne, stały ciężarówki. Ale teren budowy był ogrodzony płotem i trudno było dojrzeć, co tam budują wspominał Rutkowski.

Dzisiaj w tym miejscu niczego nie ma. A może tylko nie widać...

Wojna zbliżała się do końca i czuło się to nawet w Hochwalde, która to wioska leżała po zachodniej stronie głównego pasa umocnień fortyfikacji międzyrzeckich. I właśnie w trzeciej dekadzie stycznia 1945 roku, na krótko przed pojawieniem się w tej okolicy czołowych oddziałów Armii Czerwonej, przez Hochwalde przejechała kolumna niemieckich samochodów ciężarowych. Za kierownicami pojazdów siedzieli esesmani. Również żołnierze z Waffen SS, w białych kombinezonach maskujących i z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi, pilnowali tego, co znajdowało się na platformach

ciężarówek. Ich kierowcy nie znali tych okolic, bowiem w Hochwalde samochody wjechały w ślepią ulicę na półwyspie, wiodącą wprost do jeziora Paklicko Małe.

Bałagan był wtedy straszny wspominał Cybichowski. Samochód osobowy zawrócił tu bez problemów, ale przepełnione ciężarówki na zakorkowanej uliczce miały z tym spore kłopoty. Pamiętam, jak rozryły one drogę. I pamiętam przekleństwa kierowców i eskorty, gdy próbowali wyrwać się z tej pułapki. A wszystko to działo się pod oknami domu pani Spliesgart.

Dwanaście lat później, 6 lutego 1957 roku, do Wydziału Konsularnego Poselstwa (późniejszej ambasady) PRL w szwajcarskim Bemie zgłosił się niejaki Emil Koller. Oświadczył, że jest przedstawicielem osoby, która była w grupie esesmanów pod koniec wojny konwojujących transport złota z Warszawy. „Cały transport liczył 13 samochodów ciężarowych. Wskutek szybkiego posuwania się linii frontu, złoto zostało zakopane, aby nie wpadło w ręce wojsk radzieckich” zanotował Wiesław Nowotko, pracownik Wydziału Konsularnego Poselstwa.

Koller jak wynika z informacji przekazanej do Warszawy wycenił wartość złota na 269 milionów ówczesnych marek zachodnioniemieckich. A były esesman Josef Hager był gotowy wskazać władzom PRL miejsce ukrycia depozytu za 20 procent jego wartości.

Do zachowanych w archiwach dokumentów, które w latach 1957-1960 krążyły w tej sprawie między Bemem a Warszawą, dotarł Robert J. Kudelski i opublikował w książce Zaginiony konwój SS. W połowie 2007 roku tajemnica sprzed lat, którą znali tylko nieliczni dyplomaci i urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL, przestała być tajemnicą. Ale nadal nie wiemy, gdzie by zacytować Nowotkę „złoto zostało zakopane, by nie wpadło w ręce wojsk radzieckich”.

Zawartości trzynastu samochodów ciężarowych nie dało się jednak zakopać w zwykłym znaczeniu tego słowa. Te dobra musiały zostać gdzieś ukryte i dobrze zamaskowane.

Przeglądając notatki z lat 1995-1996 i oglądając filmwideo z wizji lokalnej z udziałem Romana Cybichowskiego, nie udało nam się znaleźć precyzyjnej odpowiedzi, ile minęło czasu od przejazdu ciężarówek przez Hochwalde do wkroczenia do tej wioski czterdziestu, a może pięćdziesięciu żołnierzy z patrolu czerwonoarmistów.

Cybichowski mówił „wkrótce” w znaczeniu, że był to dzień, może dwa lub trzy.



19 lutego 1996 roku. Roman Cybichowski koło ruin dawnych garaży w byłych koszarach Regenwurm-lager koło Kęszycy.

Fot. Leszek Adamczewski

W grupie cudzoziemskich robotników przymusowych, która wieczorem, jednego z ostatnich dni stycznia 1945 roku, przeprowadziła patrol Armii Czerwonej bez jednego wystrzału przez główny pas umocnień fortyfikacji międzyrzeckich, był i Cybichowski, i pracujące w Hochwalde Ukrainki.

- To one - wspominał Cybichowski - dogadały się z Rosjanami. Mówiliśmy im, że w pobliżu wioski jest duży bunkier z uzbrojoną załogą, ale oni nasze ostrzeżenia zlekceważyli. Tęgo pili, trochę plądrowali. Gdy się rozwidniło, załoga bunkra zaczęła strzelać. Rosjanie wycofali się i do Hochwalde wrócili żołnierze niemieccy. Wszystkich robotników cudzoziemskich, w tym i mnie, popędzili do koszar Regenwurm-lager. Po chwili zorientowałem się, że wśród maszerujących leśną drogą ludzi byli także niemieccy mieszkańcy Hochwalde.

Zespół koszarowy Regenwurm-lager znajdował się niedaleko wojskowego

miasteczka, zbudowanego przed wojną koło wioski Kainscht (Kęszyca), kilka kilometrów na północ od Hochwalde.

Zanim Niemcy zamknęli nas wszystkich w garażach kontynuował swe wspomnienia Cybichowski zobaczyłem, że na placu apelowym stały ciężarówki, które wcześniej widziałem w Hochwalde. Niektóre były przykryte brezentami, na platformach innych widać było sporej wielkości skrzynie. Wokół krążyły uzbrojone patrole z Waffen SS, do samochodów nie dopuszczając nawet żołnierzy niemieckich. Gdzieś z boku stał wojskowy samochód terenowy, który wcześniej jechał na czele kolumny. Pamiętam, że na tym samochodzie zamontowane były anteny radiostacji.

Spacerując W lutym 1996 roku wśród ruin dawnych koszar Regenwurmlager, trzy lata wcześniej opuszczonych przez Rosjan z Północnej Grupy Wojsk Federacji Rosyjskiej, i rozpoznając znajome miejsca - garaże i kuchnię - Cybichowski mówił dalej:



Zarzyń, dawny Seeren, gdzie podczas wojny mieszkał i pracował nieletni Czesław Kutkowski, świadek tajemniczej budowy między Zarzyniem a Boryszynem.





Fragment zalanego dworca Otto w północnej części systemu podziemnego MRU, leżącego w pobliżu dzisiejszej Kęszycy Leśnej Fot. Leszek Adamczewski

- Byliśmy zamknięci w garażach. W tej grupie, w której ja się znajdowałem, było około 100 osób: Niemcy, Polacy, Francuzi. Jedni płakali, inni się modlili. Nie można było wyjść za potrzebą, a niektórzy ze strachu dostali rozwolnienia. Potem zlitowano się nad nami i po pięciu, sześciu wypuszczano po kawę. Jakaś grupa dostała nawet chleb. W tym czasie, zza blaszanych drzwi garażów dochodziły odgłosy sporego ruchu na placu koszarowym. Słysząc było warkot zapuszczanych silników, jakieś okrzyki: komendy i przekleństwa. W Regenwurmlager przebywaliśmy dwa, może trzy dni. W końcu Niemcy zaczęli wypuszczać więzionych. Najpierw Francuzów, potem Polaków. Gdy opuszczałem koszary, zostali tam jeszcze cywilni Niemcy. Zostały także ciężarówki. Czy wszystkie? I czy z ładunkiem? Tego nie wiem. Co innego miałem wtedy na głowie. Byłem głodny i marzyłem tylko o jedzeniu...

W poprzednim rozdziale była między innymi mowa i o tym, że w tym samym czasie w ciągnących się kilometrami tunelach systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich Niemcy zamknęli więźniów i robotników przymusowych z obozu pracy znajdującego się w lesie koło Hochwalde. Dla jasności wyводу przypomnijmy zatem słowa jednego z nich, znanego nam już Henryka Nitza z Inowrocławia: „Wieczorem około godziny 18 na teren obozu ponownie weszło wojsko niemieckie i wszystkich spędzono na plac apelowy i barakami zagoniono wszystkich do podziemi”. Nitz dodał, że w podziemiach byli przetrzymywani przez trzy dni. Cybichowski mówił o dwóch, trzech dniach pobytu w zamkniętym garażu.

Na co Niemcom potrzebny był ten czas bez świadków? Na ukrycie tego, co przywiozły ciężarówki to jedyna logiczna odpowiedź. I w tym miejscu można połączyć sprawę opisaną przez Kudelskiego w książce *Zaginiony konwój SS* z tym, co widział Cybichowski. To wprawdzie tylko hipoteza, ale wielce prawdopodobna.

Gdzie zatem Niemcy mogli ukryć jak pisał Kudelski w swej książce „nie tylko sztaby [złota], ale również biżuterię, dzieła sztuki, cenną dokumentację i inne przedmioty'? W grę wchodzi tylko najbliższe okolice dzisiejszej Kęszycy Leśnej, bo taką nazwę nosi obecnie dawne miasteczko wojskowe.

W bezpośrednim sąsiedztwie Kęszycy przebiegają tunele ciągnącego się kilometrami systemu podziemnego MRU, w którym od września 1942 roku Niemcy z Kraju Warty magazynowali najcenniejsze skarby kultury. Ale znane nam komory w baterii pancernej numer 5, oddalone są od Kęszycy o dobre kilka kilometrów. Jeśli Niemcy na skrytkę tego, co przywiózł konwój SS, wybrali podziemia MRU, to w grę mogą wchodzić tylko okolice dworca Otto, w tym być może nigdy nie odkryte po wojnie, a wykonane do 1938 roku fragmenty tuneli podziemnej części planowanej baterii pancernej numer 7, o której będzie jeszcze mowa.

Przetrzymywany w tych samych podziemiach, ale kilka kilometrów na południe od dworca Otto, Henryk Nitz usłyszał huk potężnej eksplozji. Jej odgłos żelbetowe ściany tuneli poniosły niczym drut telegraficzny. Czyżby Nitz słyszał huk wybuchu odcinającego dojście do jakiegoś tunelu, w którym złożono to, co przywiózł konwój SS?

A może na skrytkę poszły górnicze wyrobiska głębinowych kopalń węgla brunatnego. W okolicach Kęszycy tego typu wyrobiska o łącznej długości 1550 metrów dostępnych korytarzy w minionych latach odkryli poszukiwacze z Pomorskiego Klubu Eksploracyjnego. Ponadto zlokalizowali oni kolejne wyrobiska o długości prawie 3000 metrów, do których nie udało im się dostać.

No i pozostaje jeszcze tajemniczy tunel na zachodnim brzegu jeziora Paklicko Małe, o którego budowie opowiadał Cybichowskiemu stolarz Jankowski i którego budowę najprawdopodobniej widział Czesław Rutkowski.

Mimo trwających kilka lat pertraktacji z prawnikami Josefa Hagera, a w końcu także z nim samym, do odkrycia złota nie doszło, chociaż władze PRLu zawarły już w tej sprawie odpowiednią umowę. W niemal ostatniej chwili Hager zamilkł. Zdaniem

polskich dyplomatów akredytowanych w Szwajcarii, został najprawdopodobniej zamordowany.

Byliśmy zamknięci w garażach. W tej grupie, w której ja się znajdowałem, było około 100 osób: Niemcy, Polacy, Francuzi. Jedni płakali, inni się modlili. Nie można było wyjść za potrzebą, a niektórzy ze strachu dostali rozwolnienia. Potem zlitowano się nad nami i po pięciu, sześciu wypuszczano po kawę. Jakaś grupa dostała nawet chleb. W tym czasie, zza blaszanych drzwi garażów dochodziły odgłosy sporego ruchu na placu koszarowym.

Mimo trwających kilka lat pertraktacji z prawnikami Josefa Hagera, a w końcu także z nim samym, do odkrycia złota nie doszło, chociaż władze PRLu zawarły już w tej sprawie odpowiednią umowę. W niemal ostatniej chwili Hager zamilkł. Zdaniem polskich dyplomatów akredytowanych w Szwajcarii, został najprawdopodobniej zamordowany.

Po nitce do skarbcza

Armia Czerwona po raz pierwszy wkroczyła na terytorium Trzeciej Rzeszy wczesną jesienią 1944 roku, tocząc zażarte boje w nadgranicznych powiatach Prus Wschodnich, skąd zresztą wkrótce została wyparta przez Niemców. Takiej możliwości nie było już w styczniu następnego roku, gdy na froncie wschodnim ruszyła gigantyczna ofensywa.

Na pierwszy ogień poszły znowu Prusy Wschodnie, gdzie Rosjanie zgotowali ich mieszkańcom krwawą łaźnię, okrutnie mszcząc się za zbrodnie hitlerowców na ziemiach ZSRR. W drugiej połowie stycznia czołowe oddziały radzieckie dotarły do niemieckiej części Śląska, a w końcu wkroczyły do Brandenburgii.

Wojna wróciła tam, skąd wyszła. Do Niemiec.

Oprócz mordów i gwałtów, czerwonoarmiści rabowali. Rabowali szeregowi żołnierze, zadowolając się zegarkami, jakimś sprzętem gospodarstwa domowego, czasami rowerem, no i przede wszystkim alkoholem. Rabowali oficerowie i generałowie. Ale rabowała także Armia Czerwona w imieniu państwa radzieckiego, ogałając niemieckie miasta i wsie dosłownie z wszystkiego. Do ZSRR wywożono maszyny fabryczne, tabor i urządzenia kolejowe, elektrownie i stacje transformatorowe, nawet konie i bydło.

Wywożono również skarby kultury, ale w pierwszych dniach ofensywy styczniowej nikt specjalnie nie interesował się tego typu dobrami. Bomby i pociski artyleryjskie nie wybierały celów. Raziły budynki mieszkalne, szkoły, dworce kolejowe, koszary, ale także obiekty o charakterze zabytkowym. Płonęły świątynie, muzea, zamki i pałace, często przed podpaleniem splądrowane przez żołnierzy. Widoki czerwonoarmistów wrzucających do ognisk obrazy, stare książki lub zabytkowe meble, albo czyszczących buty płótnami dzieł mniej lub bardziej słynnych mistrzów utrwaliły się w pamięci wielu świadków. W końcu, w Moskwie zdano sobie sprawę, że trzeba ratować to, co ocalało po przejściu frontowego walca. Trzeba również rozumowano odszukać to, co na zajętych terenach Związku Radzieckiego zrabowali i wywieźli do Niemiec faszyci.

15 lutego 1945 roku Borys Filippow, intendent moskiewskiego Teatru

Dramatycznego, siedział na widowni podczas przedstawienia, gdy poinformowano go, że ma natychmiast stawić się w Komitecie do spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR. Filippow poleceniem tym zbytnio się nie przejął, bo dotrwał do końca spektaklu. Gdy wreszcie pojawił się w komitecie, usłyszał:

Jutro pojedziecie na tyły 1. Frontu Ukraińskiego. Będziecie tam konfiskować wszelkie skarby muzealne, cenne książki, wyposażenie teatrów i tym podobne przedmioty. Będziecie tam kierować czteroosobową brygadą, w której będą specjaliści z różnych dziedzin.



Członkowie jednej z brygad trofejnych Komitetu do spraw Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR podczas „zabezpieczania” dóbr kultury najprawdopodobniej na terenie Prus Wschodnich lub polskiego Pomorza.

Kadr z radzieckiego filmu dokumentalnego „W łogowie zwieria”

Całą akcję zorganizowano błyskawicznie. Decyzja w tej sprawie zapadła tuż po konferencji jałtańskiej Wielkiej Trójki. A że wydał ją sam Józef Stalin, nie było żadnych przeszkód, które zwykle mnożyła powolna biurokracja radziecka.

W oficerskie mundury przebrano historyków sztuki, dyrektorów teatrów i muzeów oraz innych urzędników zatrudnionych w instytucjach kulturalnych, kustoszy, nawet muzyków. O pośpiechu towarzyszącym temu przedsięwzięciu niech świadczą tylko te dwie daty: 15 lutego 1945 roku informowano wybrane osoby, że natychmiast mają stawić się w Komitecie do spraw Sztuki, a 21 lutego po krótkim przeszkoleniu pierwsze

kilkuosobowe ekipy tak zwanych brygad trofiejnych były już w drodze na front.

Już 16 lutego Filippow paradował po Moskwie w nowiutkim mundurze podpułkownika Armii Czerwonej, ale wyjazd na front się opóźniał. Podpułkownik poznał też trzech z czterech swych podwładnych: Jewgienija Suszczenkę muzyka z orkiestry symfonicznej oraz historyków sztuki Andrieja Czegodajewa i Siergieja Grigorowa, którzy otrzymali mundury z dystynkcjami majorów. Tą czwartą będzie major Natalia Sokołowa, którą Filippow pozna dopiero kilka tygodni później w Gleiwitz (Gliwicach).

Na początku trzeciej dekady lutego udało się jak później napisał Filippow „znaleźć odpowiedni wagon. Jechaliśmy tylko w towarzystwie trzech ekspertów Komitetu do spraw Przemysłu Papierniczego, którzy mieli w Niemczech demontować fabryki”.

Borys Filippow pozostawił coś w rodzaju pamiątnika z czasów działalności w brygadzie trofiejnej operującej w marcu i kwietniu 1945 roku na tyłach wojsk 1. Frontu Ukraińskiego, głównie w niemieckiej wtedy części Górnego Śląska, ale także w północnej części prowincji dolnośląskiej Trzeciej Rzeszy. Z pamiątnika Filippowa wiemy więc nie tylko o przebiegu rabunku dóbr kultury, ale także o tym, jak w Moskwie tworzone owe brygady.

W podobny sposób jak Borys Filippow, do tychże brygad trafili dwaj inni mężczyźni, których nazwiska będą się często pojawiać na następnych stronach tej książki: Andriej Bielokopytow i Siergiej Sidorow. W archiwach rosyjskich zachował się dokument z 19 lutego 1945 roku w sprawie nadania wysokiego stopnia oficerskiego Bielokopytowowi, dyrektorowi administracyjnemu słynnego moskiewskiego teatru „MChAT”, który w randze pełnomocnika miał faktycznie objąć dowództwo brygady trofiejnej operującej na tyłach dowodzonego przez marszałka ZSRR Georgija Żukowa wojsk 1. Frontu Białoruskiego. W dokumencie tym sprecyzowano też zadania brygady, między innymi poszukiwania w Niemczech przedmiotów o charakterze artystycznym, udział w selekcji trofeów dla radzieckich instytucji kulturalnych oraz ich transportowanie do Moskwy.



Poznań krótko po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej. Czerwonoarmiści pędzą jeńców niemieckich przez ulice centrum miasta. W głębi – zarysy Muzeum Wielkopolskiego i hotelu „Bazar”.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Bielokopytowa podobnie jak Filippowa „awansowano” od razu do stopnia podpułkownika, stopnie majorów zaś otrzymali dwaj eksperci brygady: Aleksij Bielousow i Siergiej Sidorow, w cywilu prominentni urzędnicy Komitetu do spraw Sztuki.

Dziesiątego maja 1996 roku w programie „Zgodnie z prawem zwycięzcy” jednej ze stacji telewizji rosyjskiej wyemitowano nagraną kilka lat wcześniej wypowiedź Andrieja Bielokopytowa.

Pełniłem służbę w jednostkach tyłowych 1. Frontu Białoruskiego jako ekspert do spraw poszukiwań skarbów kultury mówił były szef brygady trofiejej. Nadano nam umowne stopnie oficerskie, a nadzór nad naszą działalnością pełnił Komitet do spraw Sztuki i frontowe dowództwo tyłów. Dysponowaliśmy danymi naszego wywiadu.

Nie posiadając zdjęcia Siergieja Sidorowa, warto niejako w zastępstwie przytoczyć jego krótką charakterystykę autorstwa Richarda Howarda, oficera Wydziału Zabytków,

Sztuk Pięknych i Archiwów armii amerykańskiej. Pochodzi ona z końca 1945 roku, gdy Sidorow już w mundurze podpułkownika Armii Czerwonej współdziałał z amerykańskimi sojusznikami w Berlinie. Otóż zdaniem Howarda Sidorow „w ubraniu cywilnym wyglądałby pewnie jak wszyscy inni, ale w błotniastego koloru mundurze, na którym pobrzękiwały ordery, z nierozłącznym pistoletem, dyndającym na pasie i nieprzeniknionym obliczem, które oficerowie radzieccy profesjonalnie wystawiali na pokaz, musiał on wywrzeć onieśmielające wrażenie” na starych Prusakach, z którymi spotykał się w Berlinie.

Wybiegliśmy jednak w czasie o prawie dziesięć miesięcy. Cofnijmy się zatem do przełomu lutego i marca 1945 roku. Dymiły jeszcze gruzy Cytadeli, ostatniego punktu oporu Niemców w Festung Posen, zdobytej nad ranem 23 lutego. W głodującym mieście szerzył się dyfteryt. Tu i ówdzie leżały jeszcze trupy żołnierzy i cywilów. Gdy je uprzątnięto, w Poznaniu pojawili się korespondenci moskiewskiej „Prawdy”, pułkownicy Wasyl Zolin i Wsiewołod Wiśniewski. Przez kilka dni zwiedzali zniszczone miasto, spotykając się z ludźmi ówczesnej władzy. Czwartego marca na ulice Poznania wrócił tramwaj. Zrazu była to tylko jedna ulica (wtedy marszałka Focha, obecna Głogowska), gdzie na dłóści 2410 metrów uruchomiono pierwszą po wyzwoleniu linię tramwajową.

Tymczasem radziecki komendant wojenny Poznania, pułkownik Nikołaj Smimow, wezwał do siebie przedstawicieli lokalnych władz polskich reprezentujących Rząd Tymczasowy RP i wyraził... zaniepokojenie z niedostatecznego tempa usuwania zniszczeń wojennych.

Smimow musiał wiedzieć, że za kilka dni Poznań zamierzał odwiedzić co też nastąpiło 8 marca prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, który przed uszkodzonym podczas niedawnych walk Zamkiem wraz z generalicją odebrał defiladę Wojska Polskiego. Dzień wcześniej, 7 marca, na ulicy Focha naczelny wódz i minister obrony narodowej, generał broni Michał Rola-Żymierski odebrał defiladę oddziałów 2. Armii Wojska Polskiego.



Czerwonoarmista koło częściowo zniszczonego budynku późniejszego kina „Bałtyk” w Poznaniu, rozebranego na początku XXI wieku.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Poprzedziła ją, odprawiona na pobliskim Rynku Łazarskim przez biskupa Walentego Dymka, połowa msza święta. Wzięli w niej udział oficjalni goście z generałem Żymierskim i tłumy poznaniaków.

W takich okolicznościach, na przełomie zimy i wiosny 1945 roku rozpoczęto swoistą inwentaryzację wielkopolskich skarbów kultury, które zaginęły podczas drugiej wojny światowej. Ich lista była długa, bardzo długa. Wszak w cudem chyba ocalałym gmachu Muzeum Wielkopolskiego jego przedwojenni pracownicy zastali tylko puste sale. Już wtedy wiadano, że najcenniejsze zabytki Niemcy wywieźli z okupowanego Poznania. Znano nawet, chociaż bez szczegółów, kierunki ewakuacji: nadodrzański teren forteczny niedaleko Zielenzig, kopalnia w Grasleben w środkowych Niemczech oraz dwie miejscowości w Saksonii: Grossgrabe i Reinhardtsgrimm.



Czerwonoarmiści nacierają w rejonie Meseritz, czyli Międzyrzecza.

Kadzi z rodzinnej kroniki filmowej

Pracownicy Muzeum Wielkopolskiego nie mogli wiedzieć, że właśnie w tych dniach w mieście, gdzie nadal obowiązywało prawo wojenne, przebywali znani nam już ludzie z brygady trofiejnej, którą na tyły wojsk 1. Frontu Białoruskiego wysłał Komitet do spraw Sztuki. Z jednego zdania późniejszych wspomnień Sidorowa wiemy, że w drodze do Niemiec brygada trofiejna zatrzymała się w Poznaniu. Reszty można się domyślić, biorąc pod uwagę nieco obszerniejsze informacje z pierwszych dni działalności sąsiednich brygad. Tych, które operowały na tyłach 1. Frontu Ukraińskiego (Śląsk) i 2. Frontu Białoruskiego (Pomorze). Wszystkie one zjawiły się w Polsce pod koniec lutego 1945 roku i na początku marca przystąpiły do „pracy”, wkraczając na zajęte przez Armię Czerwoną ziemie Trzeciej Rzeszy. Swe bazy założyły one w Gleiwitz i Danzig. Rosjanie dodajmy uznali Gdańsk za miasto niemieckie.



Tuż po przełamaniu umocnień Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry-Warty czerwonarmiści zainteresowali się potężnymi fortyfikacjami niemieckimi, ale wkrótce zaczną tu szukać skarbów.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Sytuacja brygady Bielokopytowa była nieco inna. Wprawdzie wojska dowodzone przez Żukowa wdarły się na terytorium niemieckie, docierając do Odry i jednocześnie podejmując ataki w kierunku Stettina i Kolbergu (Szczecina i Kołobrzegu), to jednak polski Poznań był nadal jedynym większym miastem na zapleczu 1. Frontu Białoruskiego. I tu na co najmniej kilkanaście dni zatrzymała się brygada dowodzona przez dyrektora MChAT.

Bielokopytow wiedział, że nie może szukać ukrytych skarbów na ziemiach Polski w jej przedwojennych granicach, ale w tym zakazie przełożonych była furтка w postaci radzieckich dóbr kultury zrabowanych przez Niemców i wywiezionych do okupowanej Polski. Z tej furtki skorzystała na przykład operująca na Pomorzu brygada Leontija Denisowa, która w Bydgoszczy zabezpieczyła zrabowane przez Niemców zbiory Instytutu Nauk o Ziemi Ukraińskiej Akademii Nauk, a w Toruniu bibliotekę z Pskowa.

Można przyjąć za pewnik, że brygada Bielokopytowa w Poznaniu szukała śladów skarbów rosyjskich, które rzeczywiście znalazły się w wojennym Posen, zanim ewakuowano je dalej na zachód w głąb Niemiec. Korzystając z pomocy pułkownika Smimowa, Bielokopytow i jego eksperci szukali ludzi, którzy podczas okupacji

pracowali w instytucjach zajmujących się szeroko pojętą kulturą lub rabunkiem przedmiotów o charakterze zabytkowym. W grę wchodziła na przykład utworzona w lutym 1944 roku w ówczesnej stolicy Kraju Warty Sammelstelle für deutsches Kulturgut in Posen (Zbiornica niemieckich dóbr kulturalnych w Poznaniu), w której jak pisał badacz dziejów okupowanej Wielkopolski profesor Czesław Łuczak „gromadzono przejściowo różne cenne przedmioty wywiezione z okupowanych ziem radzieckich. Znajdowały się w niej między innymi zabytki pochodzące z muzeum w Smoleńsku”.

Nie wiemy, z kim rozmawiali lub kogo przesłuchiwali eksperci brygady trofiejnej. Nie wiemy też, na jakie natknęli się dokumenty niemieckie. Jedno wszelako jest pewne. To w Poznaniu brygada Bielokopytowa uchwyciła nić, która zaprowadziła Siergieja Sidorowa i drużynę saperów do Meseritz, a ściślej do znajdujących się w pobliżu tego miasta umocnień Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty.

Na początku 2006 roku redaktor Danuta Raszewska, z poznańskiego oddziału Telewizji Polskiej SA, poinformowała nas, że w papierach, które pozostały po jej dziadku, znanym nam już kustoszu Adamie Kaletce, znalazła pewne pismo, a ściślej jego kopię. Niestety, gdzieś ta kopia się zawieruszyła, ale Raszewska zapamiętała, że pismo było zaadresowane do radzieckiego generała Wasilija Czujkowa, dowódcy 8. Armii Gwardii, którego wojska w lutym 1945 roku zdobywały Festung Posen.

Nie dysponując kopią pisma Kaletki, możemy się tylko domyślać, że poinformował on Czujkowa, iż wiele cennych archiwaliów i dzieł sztuki Niemcy ewakuowali z okupowanego Poznania na teren forteczny koło Zielenzig.

To była szlachetna naiwność dziadka powiedziała Danuta Raszewska ale on już taki był. Zawsze robił wszystko, by ocalić skarby kultury, bo znał ich uniwersalną wartość, zwłaszcza archiwaliów. I wierzył, że także Rosjanie nie dopuszczą do ich celowego lub przypadkowego zniszczenia. Nic zatem dziwnego, że dziadek proponował Czujkowowi... korektę kierunku natarcia wojsk radzieckich w celu ominięcia miejsca, gdzie znajdują się bezcenne dobra kultury.

Radzieccy oficerowie ze sztabu Czujkowa nie zlekceważyli pisma kustosza Raletki. Na propozycję korekty kierunku natarcia było już za późno, bo po krótkich walkach wskazane przez kustosza miejsce zdobyto już w ostatnich dniach stycznia 1945 roku, a pismo to Raletka najprawdopodobniej wysłał dopiero po zajęciu Poznania, a więc 23

lutego lub wkrótce potem. Oficerowie Czujkowa albo przesłali je do sztabu 1. Frontu Białoruskiego, albo pozostawili w Poznaniu u radzieckiego komendanta wojennego miasta, który przekazał je właściwym ludziom: Biełokopytowowi i Sidorowi.

List kustosza Kaletki do Czujkowa najprawdopodobniej był więc początkiem nici, która Sidorowa zaprowadziła do podziemi MRU.

Pociąg wojskowy numer 177/4162

Pamięć dziecka utrwała wiele szczegółów, ale po latach nie zawsze dokładnie lokalizuje w czasie te czy inne fakty. Stąd też Waław Zagrodzki nie potrafił po sześćdziesięciu jeden latach od tego zdarzenia określić, czy doszło do niego podczas ostatniej fazy walk o Festung Posen na początku trzeciej dekady lutego 1945 roku, czy może nieco później.

Raczej ostrożnie powiedział na początku 2006 roku było to już po zdobyciu Cytadeli przez Rosjan, ale pewności nie mam.

Waław mieszkał z rodzicami na Górczynie, który z wszystkich dzielnic Poznania Armia Czerwona wyzwoliła najwcześniej, bo już w ostatniej dekadzie stycznia.

Trzy domy dalej od naszego mieszkania czynny był przy ulicy Bosej radziecki szpital wojskowy wspominał Waław Zagrodzki. Któregoś dnia przyszli do nas dwaj oficerowie Armii Czerwonej. Grzecznie poprosili o nocleg i o ugotowanie zupy, dając mamie mączkę grochową i tuszonkę, z których to surowców powstała smaczna grochówka.

Zagrodzki zapamiętał, że owi goście byli w nowych mundurach, określając ich jako spokojnych, zrównoważonych, uprzejmych. W każdym razie różnili się od żołnierzy frontowych: brudnych, nierzadko zakrwawionych, często pijanych. A właśnie takich w tamtych dniach najczęściej spotykało się na ulicach Poznania.

Nasi goście kontynuował Waław Zagrodzki pytali rodziców o drogę do Meseritz. Ojciec w ogóle nie wiedział, co to jest, ale w domu był jakiś atlas i szybko w nim znalazł miejscowość o takiej właśnie nazwie. Oficerom wytłumaczył, jak mają dojechać do ulicy Dąbrowskiego, a dalej kierować się cały czas prosto, na zachód. Dodam jeszcze, że dysponowali oni samochodem, dużym, osobowym, a ich kierowca, zwykły żołnierz, nocował w pobliskim szpitalu razem z jego obsługą. Nie pamiętam stopni wojskowych, których gościli rodzice, ale coś mi świta po głowie, że byli to majorowie.

Gdyby u państwa Zagrodzkich nocowali Biełousow (lub ewentualnie Biełokopytow, który w tym czasie nosi! mundur podpułkownika) i Sidorow, to do tego zdarzenia

mogło dojść w marcu, a nie wcześniej. Ale do Meseritz jechali wtedy również prawnicy i lekarze wojskowi, których zadaniem było zorganizowanie procesu ujętych członków niemieckiego personelu zakładu psychiatrycznego w Obrwalde (dzisiaj to Obrzyce na peryferiach Międzyrzecza), oskarżonych o zbrodnię ludobójstwa. Jechali również dziennikarze wojskowi, by obejrzyć i opisać potężne fortyfikacje.

Dzisiaj nie da się już ustalić, kogo gościli państwo Zagrodzcy w zniszczonym Poznaniu. Jedno wszelako nie ulega wątpliwości. W mieszkaniu na ulicy Bosej zobaczyli oni innych Rosjan. Jeśli jednak byli to ludzie Igora Grabara, jednego z najbardziej znanych wówczas radzieckich historyków sztuki, któremu pod względem merytorycznym podlegały brygady trofiejne Komitetu do spraw Sztuki, to tak naprawdę niewiele różnili się oni od żołnierzy frontowych, rabujących cywilom zegarki, rowery i tym podobne przedmioty codziennego użytku. Bo brygada Bielokopytowa też przyjechała rabować, ale na gigantyczną skalę.

Konstantin Akinsza i Grigorij Kozłow są autorami wydanej w RFN w 1995 bestsellerowej książki *Beutekunst. Auf Schatzsuche in russischen Geheimdepots*¹, poświęconej skarbowi kultury zrabowanym na zajmowanym przez Armię Czerwoną terytorium Trzeciej Rzeszy i przez długie lata ukrywanym w tajnych magazynach na terytorium ZSRR, zwanych tam speczhanami.

W *Beutekunst* można więc przeczytać, że w drugiej połowie marca 1945 roku brygada trofiejna Bielokopytowa pracowała w okolicach Meseritz, gdzie koło wioski Hochwalde odkryto podziemny schowek: „W środku znaleźli oni dzieła sztuki ewakuowane z KaiserFriedrich Museum w Posen. To był pierwszy na terytorium Niemiec depozyt, który eksperci Komitetu do spraw Sztuki wywieźli do Związku Radzieckiego. Obok obrazów olejnych, zbiór ten zawierał grafiki, meble, dywany, porcelanę, szkło, broń, ekwipunek, wazy greckie, a także muzealną bibliotekę”.

Na długo przed wydaniem książki o łupach kulturalnych (to właśnie oznacza niemieckie słowo *Beutekunst*), w ZSRR opublikowano dość enigmatyczną relację Siergieja Sidorowa, który między innymi pisał:

„Grupa nasza składała się z drużyny saperów oraz trzech ekspertów i rzeczoznawców sztuki. W połowie marca 1945 roku przyjechaliśmy z Poznania do Międzyrzecza. Wywiad donosił, że w międzyrzeckich bunkrach mogą znajdować się

dzieła malarskie i rzeźbiarskie, głównie z muzeów okupowanej Polski. Informację tę potwierdzili miejscowi Polacy z robót przymusowych.



Żołnierze radziecy w podziemnych koszarach fortyfikacji międzyrzeckich. Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Opowiadali oni, że na początku stycznia [1945 roku] specjalna jednostka SS zwoziła jakieś paczki, rulony i skrzynie, lokując je w tutejszych fortyfikacjach podziemnych. Zachowując wielką ostrożność, rozpoczęliśmy penetrację tych podziemi i w rezultacie szczegółowych poszukiwań znaleziono głęboko pod ziemią doskonale zamaskowaną komorę, obudowaną ze wszystkich stron litym betonem. Trzeba było użyć dynamitu. To, co zobaczyliśmy w betonowej grocie, przeszło nasze wyobrażenia. Po stwierdzeniu sapera, że grotka jest czysta, przystąpiliśmy do szczegółowych oględzin. Pod wszystkimi ścianami leżały stosy skrzyń. Na mokrej posadzce leżały rozbite kryształki i stara porcelana. Poniewierały się różnego rodzaju monety pochodzące z różnych kolekcji numizmatycznych. Gdy otwarliśmy wieka skrzyń, znaleźliśmy tam obrazy, grafiki, akwaforty, rzeźby, dzieła sztuki zdobniczej, które jak się później okazało zostały przez Niemców zrabowane z muzeów Warszawy, Krakowa, Poznania i Pałacu w Wilanowie. O odkryciu magazynu poinformowaliśmy dowództwo. Inwentaryzacja zajęła nam

prawie tydzień. Potem przyszedł rozkaz: zapakować wszystko, przygotować do transportu.

Andriej Bielokopytow, dowódca w randze pełnomocnika brygady trofiejnej Komitetu do spraw Sztuki operującej na tyłach wojsk 1. Frontu Białoruskiego, na fotografii z 1968 roku.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego



Kilkadziesiąt skrzyń i innych opakowań przewieziono do Międzyrzecza. Stamtąd transport skierowano do Moskwy”.

Niemal wszystko wskazuje, że w podmiędzyrzeckiej skrytce nie byto dzieł sztuki z muzeów Warszawy, Krakowa, Gdańska i Pałacu w Wilanowie. Były za to skarby ewakuowane z okupowanego Poznania i Łodzi: 444 skrzynie z dziełami sztuki i 87 skrzyń z archiwaliami. W każdym razie do wywiezienia z okolic Meseritz poznańskich, a ściślej wielkopolskich dóbr kultury przyznają się Rosjanie w dokumentach zachowanych w swoich archiwach. O skarbach łódzkich w tych dokumentach nie ma mowy, ale wiemy przecież, że dyrektor Rühle zabezpieczył również w podziemiach MRU najcenniejsze zabytki z muzeów w Litzmannstadt.

„Sidorow czytamy dalej w książce *Beutekunst* przebywał w dwóch sztolniach, które znajdowały się 49 metrów pod ziemią.



Rosjanie wywożą przeróżne dobra z podziemi fortyfikacji międzyrzeckich. Zdjęcie z archiwum Pawła Piętkiewicza

Mimo wystawienia posterunków ochronnych, panował tam straszny bałagan. Skrzynie z obrazami olejnymi i porcelaną zostały otwarte, na podłodze leżały puste ramy po wyciętych obrazach. Wszędzie wały się monety i precjoza. [...] Wazy greckie, niektóre z nich uszkodzone, leżały pod stołami, a wazy orientalne stały na podłodze. Porcelana i szkło były potłuczone".

Brygady trofiejne zajmowały się nie tylko rabowaniem skarbów kultury. Rosjan o czym była już mowa interesowało właściwie wszystko, zwłaszcza wyposażenie zakładów przemysłowych, nowe rodzaje broni, tabor kolejowy. Penetrując fortyfikacje międzyrzeckie, Rosjanie od razu natrafili na zlokalizowaną głównie w systemie podziemnym MRU fabrykę zbrojeniową.

W podziemiach stały setki nowoczesnych maszyn, leżały silniki lotnicze i części zamienne do nich. Czy podczas przeszukiwań tej fabryki Rosjanie natknęli się na skrytkę dóbr kultury? Pośrednio wskazuje na to sam Sidorow, który przesłuchiwany przez NKWD półtora roku później zasugeruje, że tak właśnie było. W cytowanej relacji o charakterze propagandowo-publicystycznym mówić przypomnijmy że w okolicy

Meseritz sprowadziły go informacje wywiadu, który donosił o ukryciu tu przez Niemców eksponatów muzealnych. Tym „wywiadem” najprawdopodobniej było pismo kustosa Kaletki wysłane do generała Czujkowa. Jest jednak prawdopodobne, że sporo informacji uzyskał on również od przebywających w tej okolicy na robotach przymusowych Polaków. A resztę powiedzieli przesłuchiwani jeńcy wojenni. Być może to właśnie oni wskazali, gdzie znajdują się zamaskowane skrytki. W liczącym ponad 32 kilometry systemie tuneli podziemnych MRU były one właściwie nie do odszukania.

„Ten potężny magazyn podziemny, pełen dzieł sztuki i silników samolotowych, był pilnowany przez żołnierzy 69. Armii” czytamy w książce *Beutekunst*. Jej autorzy piszą też: „Grupy żołnierzy, koczujące przy wejściu, utrzymywały ognisko, do którego wrzucano skrzynie i wszelkie drewniane przedmioty znalezione w tunelu. Gotowali oni w eleganckich naczyniach porcelanowych lub przechowywali w nich wodę. Wspaniale zdobione szaty i bardzo rzadkie zasłony służyły im za pościel”.

Major Sidorow pozostawił skarby bajońskiej wręcz wartości pod strażą żołnierzy z 69. Armii i wyruszył na poszukiwania Biełokopytowa. To on jako dowódca brygady musiał postarać się o transport w sytuacji, gdy cały sprawny tabor kolejowy dowoził żołnierzy i sprzęt wojenny nad Odrę, skąd wkrótce miało wyjść ostatnie uderzenie na Berlin.

Do Hochwalde Sidorow wrócił po tygodniu z formalnym upoważnieniem do wywiezienia znalezionych dzieł sztuki do Moskwy. W podziemiach zobaczył około czterdziestu żołnierzy, którzy ciężko pracowali. „Powody i sposób tej pracy były dla mnie zupełnie niejasne” później napisał Sidorow w sprawozdaniu. Żołnierzy przysłała zapewne komendantura wojenna w Meseritz. W każdym razie rozbijali oni skrzynie i znalezione w nich „trofea” gromadzili w jednym miejscu.

„Z pomocą załogi pociągu i 20. Batalionu trofiejnego Sidorow wyrzucił nieproszonych gości i rozpoczął przygotowywać dzieła sztuki do transportu. W świetle lamp karbidowych i świec otworzył niektóre skrzynie, by skontrolować, co one zawierają” czytamy w książce *Beutekunst*. Podlegający majorowi żołnierze ze wspomnianego batalionu próbowali też naprawić rozbite wcześniej skrzynie, ale w wąskich i ciemnych korytarzach podziemnych szło to im dość opornie.

Według Akinszy i Kozłowa, którzy dotarli do sporządzonego wiosną 1945 roku

przez Sidorowa sprawozdania, Rosjanie odkryli zrazu dwie sztolnie pełne skarbów kultury. Nieco później, 200 metrów od tego miejsca, jeden z żołnierzy Sidorowa natrafił na trzecią sztolnię. Właśnie sztolnię. To słowo kilkakrotnie pada w książce *Beutekunst*. Sidorow zaś znacznie później pisał o komorze lub betonowej grocie. A podczas przesłuchania we wrześniu 1946 roku mówił nie wdając się w szczegóły na temat kolejności ich odkrycia o trzech podziemnych halach.

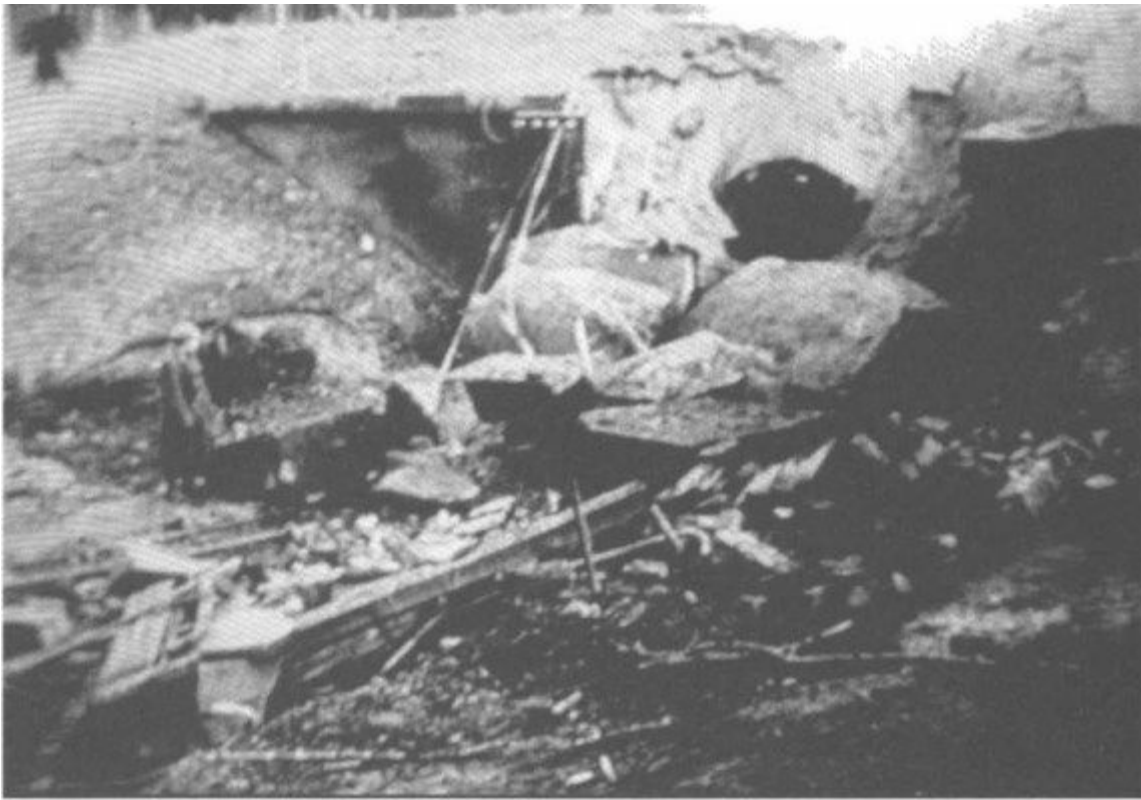


Czerwonoarmiści przy wejściu do pancerniku numer 717, centralnego odcinka fortyfikacji między-
rzeckich.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Major Sidorow spieszył się. Poinformowano go bowiem, że wkrótce ziemie te zostaną przekazane administracji polskiej. Do tego czasu trzeba było opróżnić podziemne magazyny. W *Beutekunst* czytamy wręcz o rozkazie, który polecał wywiezienie wszystkiego do Moskwy. Oddani do dyspozycji Sidorowa żołnierze radzieccy, a było ich stu dwudziestu, przenosili dzieła sztuki do odległej o sześć kilometrów stacji kolejowej.

Gdy w dalszej części książki zacytujemy protokół ze wspomnianego przesłuchania Sidorowa, zobaczymy, że ten ekspert brygady Biełokopytowa nieco inaczej przedstawił ten epizod oficerowi NKWD. W ogóle nie wspomniał o stu dwudziestu żołnierzach.



Marzec 1945 roku. Wysadzony w powietrze wjazd do systemu podziemnego MRU. Kadr z radzieckiej kroniki filmowej

W książce *Beutekunst* nie pada nazwa stacji, ale zarówno odległość, jak i dogodna doń trasa oraz wielkość stacji wskazują, że mogło to być albo Starpel (Staropole), albo Nipter (Nietoperek). A może bo i tego wykluczyć się nie da był to dworzec kolejowy w Meseritz, czyli w Międzyrzeczu. W każdym razie ta nazwa pada w dokumentach rosyjskich, choć wiele wskazuje, że wpisano doń nazwę pierwszej większej miejscowości znajdującej się w pobliżu. Natomiast w polskich dokumentach, sporządzonych tuż po wojnie na podstawie zeznań pewnego Niemca, mowa jest, że wyposażenie fabryki lotniczej Rosjanie przewozili na stację w Topper, czyli w dzisiejszym Toporowie.

Stacja ta leży na magistrali kolejowej z Moskwy przez Warszawę i Poznań do Berlina. Na przełomie zimy i wiosny 1945 roku tory na tej linii zostały (na odcinku zajęтым przez Armię Czerwoną) przekute na szerokość obowiązującą na kolejach radzieckich. Nie udało mi się ustalić, czy na tę szerokość przekuto też linie kolejowe w okolicach Międzyrzecza.



Do skarbów kultury z Kraju Warty, które załadowano do wagonów wojskowego pociągu specjalnego numer 177/4162, w ostatniej chwili dołączono zabytki z Pomorza Zachodniego, głównie ze Szczecina, znalezione przez Rosjan w widocznym na zdjęciu zamku Pansin, obecnie Pęzino, koło Stargardu Szczecińskiego.

Fot. Leszek Adamczewski

Mało to prawdopodobne. Zapewne skarby z samochodów na wagony kolejowe radzieckiego pociągu wojskowego przeładowywano właśnie na stacji w Toporowie.

Na dwóch równoległych torach stały dwa, osłonięte siatkami maskującymi, pociągi. Do jednego z nich, składającego się z 22 wagonów, żołnierze Sidorowa ładowali skarby znalezione w podziemiach MRU, a do wagonów drugiego żołnierze z innej jednostki trofiejnej wciągali maszyny z fabryki lotniczej, funkcjonującej w tych samych podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich.

Podczas załadunku 444 skrzyń z dziełami sztuki i 87 z archiwaliami, stację kolejową zaatakowały samoloty niemieckie nadlatujące z lotnisk leżących na zachodnim brzegu Odry. Ich piloci byli przekonani, że zauważone środki maskujące osłaniają jakieś przygotowania militarne Armii Czerwonej. Stację ostrzelano z pokładowej broni maszynowej, zrzucono też kilka bomb. Szkody były pewnie niewielkie, bo nikt o nich nie wspomina.

Pociąg ze skarbami stał już gotowy do odjazdu, gdy Sidorow zauważył konwój samochodów ciężarowych wjeżdżający na stację. Z szoferki pierwszej ciężarówki

wyskoczył oficer, w którym Sidorow rozpoznał swego kolegę majora Aleksija Bielousowa. To on z rozkazu Bielokopytowa przywiózł na tę stację skarby zagarnięte z zamku Pansin koło Stargardu Szczecińskiego.

Pansin, czyli dzisiejsze Pęczino, zostało zajęte przez żołnierzy 61. Armii 1. Frontu Białoruskiego 3 marca 1945 roku. Kilka dni później Rosjanie odkryli, że w starym zamku, pamiętającym czasy templariuszy i joannitów, Niemcy zgromadzili dzieła sztuki ewakuowane głównie ze Szczecina i Stargardu, w tym wiele zabytków sakralnych ze szczecińskiego kościoła Świętego Jakuba i stargardzkich świątyń: Świętego Jana i kościoła Mariackiego. Zmagazynowano tam również bezcenne archiwalia szczecińskie.

Gdy informacja o odkryciu w zamku Pansin dotarła do Bielokopytowa, wysłał tam Bielousowa, który wkrótce otrzymał rozkaz, by skarby zapakowane do 93 skrzyń zawiózł w okolice Meseritz, gdzie Sidorow przygotowywał pierwszy transport z łupami kulturalnymi.

Ale Sidorow o tym nie wiedział i między majorami doszło do sprzeczki. Jednak po chwili polecono żołnierzom, by skrzynie z zamku Pansin załadowali do wagonów. Z braku czasu nie sporządzono żadnych list przewozowych, więc Sidorow mógł się później tłumaczyć, że nie da się już ustalić, które skrzynie pochodziły ze skrytek koło Hochwalde, a które z zamku Pansin.

Na krótko przed odjazdem pociągu przyjechał podpułkownik Bielokopytow.

Pojedziesz zwrócił się do zaskoczonego Sidorowa jako oficer konwojujący. W Moskwie już na was czekają.

W kłębach dymu i pary lokomotywa ruszyła, pociągając za sobą wagony po brzegi wypełnione skarbami kultury. Bielokopytow i Bielousow stali na peronie, obserwując znikający w oddali pociąg...



Radziecki pociąg wojskowy z łupami wojennymi rusza w długą drogę do ZSRR.

Zdjęcie z archiwum autorów

Minęło kilka, a być może nawet kilkanaście dni. Mniej więcej w połowie kwietnia wojskowy pociąg specjalny, oznaczony numerem 177/4162, dotarł do stolicy Związku Radzieckiego.

Z 22 wagonów, stojących na boczniczy jednego z moskiewskich dworców kolejowych, systematycznie przewożono skrzynie z dziełami sztuki do Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina. Z kilku skrzyń wyjęto artystycznie bezwartościowe dzieła sztuki nazistowskiej. Przerażeni pracownicy muzeum oglądali obrazy przedstawiające choćby feldmarszałka Gerda von Rundstedta czy tramwaj jadący ulicą Poznania, gdzie nad jednym z gmachów powiewała flaga hitlerowska, ze swastyką. Było też popiersie z brązu marszałka Rzeszy Hermanna Göringa.

Kto odważył się przysłać to gówno do ojczyzny socjalizmu krzyczeli pracownicy muzeum.

To prowokacja - dodawali inni.

„Wysocy urzędnicy państwowi musieli zostać poinformowani. Ukrywanie złych wiadomości było bardzo niebezpieczne, bo zbyt wielu było donosicieli” czytamy w

książce *Beutekunst*.

Sprawca całego zamieszania był na miejscu. Winę najłatwiej było zatem zrzucić na majora Sidorowa.

O dziełach sztuki nazistowskiej, które znalazły się w transporcie z okolic Meseritz, poinformowano Komitet Centralny Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), a zadanie przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie KC zlecił Nikołajowi Łapinowi. Był on naczelnym kustoszem Muzeum Puszkina i świeżo wybranym sekretarzem komitetu do spraw przejmowania łupów wojennych, który powołano na krótko przed przyjazdem pociągu konwojowanego przez Sidorowa. Fakt, że śledztwo zlecono Łapinowi, a nie oficerom NKWD, świadczy, że Sidorow miał możliwych protektorów.

Niemniej musiał on odpowiedzieć na setki pytań Łapina. Naczelnny kustosz nie mógł zrozumieć warunków, w jakich działał major. Że Niemcy bombardowali stację kolejową, że pakowano w pośpiechu, bo wkrótce okolice Meseritz miała przejąć administracja polska, więc nie było czasu na wstępną choćby segregację odnalezionych dóbr i sporządzenie szczegółowych list przewozowych, że na skarby te ostrzyli sobie zęby wysocy rangą oficerowie frontowi...

Sprawa rozeszła się po kościach. Na dziedzińcu Muzeum Puszkina komisyjnie spalono obrazy nazistowskie, w tym również ten przedstawiający poznańską ulicę i jadący po niej tramwaj. Obraz ów podczas okupacji hitlerowskiej zreprodukowano i wydano na kolorowej widokówce. Podpis informuje, że przedstawia on „Polizeiprasidium Paulkirche Posen”, czyli Prezydium Policji i ewangelicki kościół Świętego Pawła na dzisiejszej ulicy Fredry, której podczas okupacji nadano nazwę od wspomnianego kościoła An d. Pauli Kirche, co można zobaczyć na niemieckim planie Poznania z 1940 roku. I z tego też roku pochodzi ów obraz, który został zakupiony przez władze Kraju Warty dla ozdoby jednej z reprezentacyjnych siedzib: Urzędu Namiestnika Rzeszy lub Gauleitungu NSDAP. Kto był autorem tego obrazu?



Polizeipräsidium - Paulikirche Dofen

Na tej – woryginale kolorowej – widokówce z lat drugiej wojny światowej zreprodukowano obraz, którego oryginał Rosjanie spalili na dziedzińcu Muzeum Puszkina w Moskwie. Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Na zachowanej widokówce z czasów okupacji nie ma podanego nazwiska autora zarówno tego obrazu, jak i innych, bardzo podobnych, wydanych w tej samej serii widoków stolicy Kraju Warty powiedział nam we wrześniu 2007 roku Jakub Skutecki z Biblioteki Głównej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie widokówki te są przechowywane. Ale na reprodukcji innego obrazu, przedstawiającego Bibliotekę Raczyńskich, który to obraz najprawdopodobniej namalował ten sam artysta, widać jego autograf: „H. Jaśkiewicz”.

Po spaleniu tego i innych obrazów sztuki nazistowskiej Siergieja Sidorowa pospiesznie wysłano do zajętego akurat przez Armię Czerwoną Berlina, by szukał kolejnych skarbów kultury. Paradował tam już w mundurze podpułkownika, co świadczy, że incydent ten nie zaszkodził jego karierze.

Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć, że to, co w Moskwie nazwano głównem, wyciągnięto ze skrytek w podziemiach MRU. Ze te „dzieła” wywieziono w okolice Meseritz z Poznania z polecenia doktora Siegfrieda

Rühlego. Ten nazista z krwi i kości uznał, że chronić trzeba także wytwory nowej kultury Trzeciej Rzeszy.

Dwudziestego drugiego sierpnia 1945 roku, niespełna tydzień po pobycie w Moskwie delegacji Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej RP, Ambasada Polska w stolicy ZSRR otrzymała notę Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych w sprawie zwrotu dzieł sztuki polskiej odnalezionych przez Armię Czerwoną, wywiezionych przez Niemców z poznańskiego Muzeum Wielkopolskiego do Rzeszy. I tam odnalezionych przez Rosjan.

Nie ulega wątpliwości, że tę sprawę polska delegacja rządowa poruszyła w rozmowach z radzieckimi gospodarzami, o czym świadczy wypowiedź wiceministra oświaty Władysława Bieńkowskiego 21 sierpnia na spotkaniu z uczonymi, zgromadzonymi na sesji Rady Naukowej Ministerstwa Oświaty RP. Uczonych bardziej jednak interesowały losy zbiorów Ossolineum niż dzieł sztuki z jakiegoś poznańskiego muzeum.

Rosjanie grali nieczysto. We wspomnianej nocie komisariatu wymieniono 426 obrazów, 2995 rycin, 201 tomów książek, 84 militaria, 11 354 numizmaty i 299 przedmiotów kultu religijnego, które strona radziecka obiecała wkrótce zwrócić Polsce. Ale Polakom chodziło nie tyle o wymienione w nocie skarby, lecz o inne, jeszcze cenniejsze. O nich zaś Rosjanie milczeli.

Już w maju 1945 roku premier Edward Osóbka Morawski otrzymał pismo z Ministerstwa Kultury i Sztuki o poszukiwaniach skarbów kultury w okolicach Międzyrzecza. Autor pisma informował premiera, że „miejscowy garnizon radziecki nie dopuścił do czynności rewindykacyjnych podległych mi urzędników z Poznania, motywując swą odmowę, iż Kahlau [powinno być Kalau] znajduje się w strefie działań wojennych, a ponadto wchodzi w skład rejonu fortecznego”.

W ówczesnym Poznaniu o czym była już mowa wiadano, że sporo najcenniejszych dzieł sztuki i archiwaliów Niemcy wywieźli z Posen do schronów fortyfikacji nadodrzańskich, niedaleko wioski Kalau, i tam też zamierzano ich szukać. Znano też jeden szczegół. Jak wynika z opracowanego późną wiosną 1945 roku w resorcie kultury „Wykazu przedmiotów muzealnych i dokumentów wywiezionych przez Niemców i według informacji przejętych przez wojska radzieckie”, część zbiorów

Muzeum Wielkopolskiego ma znajdować się „na forcie nr 701”. Jednak od ponad pół roku była to informacja nieaktualna. Wszak w październiku 1944 roku zabytki przechowywane w schronie bojowym numer 701, grupy warownej „Kómer”, ewakuowano w głąb Rzeszy do kopalni w Grasleben.

Polaków, tuż po zakończeniu działań wojennych indagujących Rosjan o zabytki przechowywane w fortyfikacjach międzyrzeckich, interesowały właśnie te, które w marcu 1945 roku wpadły w ręce brygady trofiejnej Biełokopytowa. Tymczasem w nocy dyplomatycznej z 22 sierpnia 1945 roku Rosjanie poinformowali Ambasadę Polską w Moskwie o poznańskich skarbach znalezionych w Saksonii. I rzeczywiście, 20 lutego 1946 roku w Brześciu nad Bugiem przekazali je przedstawicielom Muzeum Wielkopolskiego.

Na to zaś, co z podziemi wyciągnął Sidorow, musieliśmy jeszcze długo czekać.

W wyrobiskach kopalni soli

Uprzątnięto już zwłoki poległych lub zabitych, ale zniszczony Poznań nadal przypominał miasto frontowe. Na każdym kroku spotykało się żołnierzy Armii Czerwonej. Obowiązywały nocne zaciemnienie i godzina milicyjna. Wszak trwała jeszcze wojna, ale w niczym to nie przeszkadzało tym, którzy w tych warunkach rozpoczęli poszukiwania skarbów zaginionych podczas ponad pięciu lat wojny.

Wśród unikatowych dóbr kultury, które Niemcy wywieźli z wojennego Posen, chociaż nikt z Polaków w wyzwolonym spod okupacji hitlerowskiej Poznaniu nie wiedział dokąd, było ponad 250 antycznych waz. W zamku w Gołuchowie koło Pleszewa w drugiej połowie XIX wieku zgromadziła je hrabina Izabella z Czartoryskich Działyńska. To ona w zamku gołuchowskim utworzyła pierwsze w Wielkim Księstwie Poznańskim prywatne muzeum. Muzeum nietypowe, bo dzieła sztuki zdobiły sale, które do złudzenia przypominały pomieszczenia mieszkalne ówczesnej arystokracji.

Zabierając się do poszukiwań zbiorów gołuchowskich, pracownicy Muzeum Wielkopolskiego musieli ustalić ich losy podczas wojny, co jak się okazało było dość trudne. Od samego początku wiadano, że kilka miesięcy przed wrześniem 1939 roku spadkobiercy hrabiny Izabelli zgodnie z zarządzeniem wojewody poznańskiego nakazującym prywatnym właścicielom ewakuację dzieł sztuki na wschód część zgromadzonych na zamku zbiorów wywieźli do Warszawy. Zarządzająca ordynacją księżną Czartoryskich w Gołuchowie w imieniu nieletniego syna księżna Maria Ludwika osobiście wybrała zabytki, które złożono do 18 obitych blachą cynkową skrzyń i rulonów. Z kolekcji waz antycznych księżna wybrała kilka najmniejszych, w tym ryton w kształcie głowy barana z V wieku przed naszą erą. W drodze z Gołuchowa do Warszawy Maria Ludwika podobno trzymała ów ryton cały czas na kolanach. Przewiezione do stolicy skrzynie i rulony księżna poleciła zamurować w piwnicy swego domu przy ulicy Kredytowej. Ukryto je tak dobrze, że na skrytkę nie natrafili Niemcy, chociaż wiedzieli o transporcie, który opuścił Gołuchów w czerwcu 1939 roku.

Według różnych relacji, to najprawdopodobniej sama Maria Ludwika Czartoryska

zdradziła Niemcom, gdzie ukryła skarby z Gołuchowa. Rzecz jasna, nie uczyniła tego dobrowolnie. Zaszantażowano ją groźbą wywiezienia najbliższych do obozów koncentracyjnych. Szantaż wymyślił Alfred Schellenberg, szef niemieckich muzeów dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa, naciskany przez swych przełożonych z Krakowa.

Skrzynie i rulony wyjęto ze skrytki 2 grudnia 1941 roku. Według Stanisława Lorentza, który za zgodą władz Polski Podziemnej był polskim kierownikiem Museum der Stadt Warschau (Muzeum Miasta Warszawy), udało mu się przekonać Schellenberga, by skarbów gołuchowskich nie wywozić od razu do Rzeszy.

Najpierw trzeba skrzynie komisyjnie otworzyć i rozpakować, spisać zawartość oraz sprawdzić, czy zabytki nie uległy uszkodzeniu lub zawilgoceniu. No i trzeba przed wywozem poddać je choćby prowizorycznym zabiegom konserwatorskim mówił Lorentz do Schellenberga.

Lorentz namówił też Marię Ludwikę, by formalnie przekazała skarby gołuchowskie do warszawskiego muzeum jako depozyt księżnej Czartoryskiej.

Przeciągające się zabiegi konserwatorskie zaniepokoiły Niemców. Do Warszawy pofatygował się oberführer SS doktor Alfred Kraut, który administrował skarbami kultury skonfiskowanymi na ziemiach włączonych do Rzeszy. Formalnie GG miało status terytoriów okupowanych i Kraut nie miałby czego szukać w Warszawie, gdyby nie powołał się na fakt, że Gołuchów (zrazu jako Goldenau, a od 1943 roku jako Goldenacker) znalazł się w Kraju Warty, a więc na ziemiach włączonych do Rzeszy.

Przecież argumentował oberfuhrer SS Kraut hrabina Izabella Działyńska zastrzegła w testamencie niepodzielność swej kolekcji, której większa część znajdowała się wtedy w Poznaniu. I do Posen mówił musi trafić reszta zbiorów.

„Życzeniem jest moim pół wieku wcześniej napisała Izabella aby te dzieła sztuki się nie rozproszyły i cały ten zbiór zachował się pełny i cały po wieczne czasy”.

Kraut wrócił z Warszawy z niczym. W liście, który wysłał do doktora Hermanna Vossa, pełnomocnika Adolfa Hitlera do spraw muzeum Führera w Linzu, poskarżył się na władze GG, że mnożą przeszkody i nie dopuszczają do połączenia kolekcji hrabiny Izabelli.

Nie ma dowodu, że Voss omawiał sprawę kolekcji gołuchowskiej z samym

Hitlerem. W każdym razie, w końcu 1943 roku wysłał do Krauta pismo, w którym informował go, że ostateczna decyzja w sprawie skarbów przewiezionych z Gołuchowa do Warszawy podjęta zostanie po wojnie.



To o te antyczne wazy z kolekcji gołuchowskiej toczyła się gra w wojennej Warszawie, gdy tymczasem znajdowały się w jednej z komór podziemnych w fortyfikacjach międzyrzeckich. Fot. Leszek Adamczewski

Późnym popołudniem, 1 sierpnia 1944 roku w Warszawie wybuchło powstanie, a zbiory gołuchowskie nadal znajdowały się w Museum der Stadt Warschau. Był to zły czas nie tylko dla stolicy i jej mieszkańców, ale także dla pozostałych w mieście dóbr kultury. Zniszczenia i rabunki dokonywane przez żołnierzy niemieckich wyrządziły ogromne, wręcz niepowetowane straty.

Osina
 MIN. WYKONAWCZY
 ARCHIWUM PAŃSTWOWE
 Poznań, dnia 5. kwietnia 1945.
 Góra Przemysława 1

Dz. 21/1/45.

Ważne pilne - Tajne!
 10
 Pana Wojewody Poznańskiego
 w miasteczku.

Najcenniejsze zabytki hist. Archiwum Państwowego, składające się z kilku tysięcy dokumentów indywidualnych oraz z książek rękopiśm. skł. województw wielkopolskich (poznańskiego i kaliszkiego) + granicach tychże województw z XIII i XIV. wieki, wybitny k. zespół rękopiśm. celem zabezpieczenia ich przed zniszczeniem skutkami bombardowania lotniczego mającego się odbyć z bombierów pod miastem Zieloną (Brandenburgia), należących do rękopiśm. fortyfikacyjnego, zbudowanego przez Niemców wzdłuż linii rzeki Odra. W tymże kierunku znajdują się najcenniejsze zabytki także Pruskie Tajne Archiwum Państwowe (Preussisches Geheimes Staatsarchiv, Berlin - Dahlen) i, jak przypuszczają należy, co najmniej Archiwum Państwowe gdańskie (Danzig) i Kłodzieckie (Königsberg). Podkreślam, jakże do wspomnianego kierunku + następnym razem kilkakrotnie odzywać k. wiadomości kierownik Archiwum Państwowego + przesyłać k. dyrektora hist. Muzeum Wielkopolskiego, należących powstań dowość, że ze skłonięcia tego województwa należy wymienione muzeum.

Fragment pisma kustosa Adama Kaletki do wojewody poznańskiego z 5 kwietnia 1945 roku.

Dokument z archiwum Pawła Piątkiewicza

Dziewiątego października, tydzień po kapitulacji powstańców, to, co zostało z warszawskiej części kolekcji gołuchowskiej, Niemcy ewakuowali wraz z innymi skarbami do zamku Fischhom, koło austriackiego miasta Zellam See.

Gdy pięć miesięcy później próbowano odtworzyć wojenne dzieje kolekcji Izabelli w zniszczonym Poznaniu, w Fischhom nadal rządzili Niemcy. Zamek ów opuścili dopiero na początku maja 1945 roku. Przez kilka dni stał on opuszczony, a po salach i komnatach, pełnych zrzuconych bez ładu i składu skarbów kultury, buszowali okoliczni mieszkańcy. W końcu zamek zajęli Amerykanie, a w sierpniu 1945 roku dotarł doń porucznik Bogdan Urbanowicz, który przez kilka miesięcy nadzorował rewindykację pochodzących z Polski zabytków. To on natknął się w zamku na skrzynię

z napisem: „J. [aśnie] Ośw. [iecona] Ks. [ięzna] Czartoryska Kredytowa 12”. W nich były skromne resztki z tego, co krótko przed wybuchem wojny księżna przewiozła z Gołuchowa do Warszawy. Najcenniejsze przedmioty z tego depozytu nie zostały odnalezione do dziś.

Przemysław Michałowski, na przełomie zimy i wiosny 1945 roku tymczasowy kierownik Muzeum Wielkopolskiego, pięćdziesiąt lat później powiedział nam, że muzealnicy polscy martwili się wtedy zwłaszcza o unikatowe zbiory gołuchowskie, przede wszystkim zaś o tę ich część, która pozostała w Wielkopolsce. W zajętej przez Wehrmacht Gołuchowie, w ręce Niemców wpadły bowiem skarby nad skarbami, w tym 254 z 259 skatalogowanych antycznych waz: greckich, egipskich i cypryjskich, których kolekcjonowanie było pasją hrabiny Izabelli.

Zbiory Czartoryskich, które pozostały w Gołuchowie, były jednym z najcenniejszych łupów kulturalnych hitlerowskich Niemiec w zajętej Polsce. Nic zatem dziwnego, że skarbami gołuchowskimi zainteresowało się dwóch największych grabieżców kultury Trzeciej Rzeszy: przewodniczący Reichstagu Hermann Göring i doktor Hans Posse, specjalny pełnomocnik Adolfa Hitlera do spraw muzeum Führera w Linzu. Po jego śmierci o czym już wiemy zbiorami gołuchowskimi interesował się też jego następca Hermann Voss.

W grudniu 1939 roku do zamku gołuchowskiego przyjechał historyk sztuki doktor Karl Heinz Clasen, który sporządził szczegółowy raport. Z tego dokumentu wiadomo, co pozostało w Gołuchowie. Po rozpakowaniu złożonych w skrzyniach zbiorów, Niemcy urządzili w zamku Czartoryskich HeimatMuseum, które podlegało poznańskiemu KaiserFriedrich Museum. Nie było ono czynne długo, raptem kilka miesięcy. Do jego zamknięcia 21 lipca 1940 roku przyczyniła się doktor Herta von RammHelmsing, która w końcu maja dokonała inspekcji gołuchowskiego muzeum. W sporządzonym raporcie domagała się natychmiastowego zabezpieczenia w Posen całego wyposażenia zamku wraz z kolekcją waz.



Spalone zabudowania Archiwum Państwowego w Poznaniu (podczas drugiej wojny światowej Reichsarchiv Posen). To stąd podczas wojny wyjeżdżały samochody ciężarowe z ewakuowanymi do fortyfikacji międzyrzeckich archiwaliami.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Dla doktora Siegfrieda Rühlego przywiezione do Poznania zbiory gołuchowskie stanowiły nie tylko powód do dumy, ale i kłopot. O kolekcję waz hrabiny Izabeli dopytywali się najwyżsi dygnitarze hitlerowskich Niemiec, a on musiał zadbać o ich bezpieczeństwo.

Zrazu skrzynie ze zbiorami gołuchowskimi umieszczono w dawnym pawilonie amerykańskim na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich, później przewieziono je do katedry na Ostrowie Tumskim, zamienionej na magazyn dóbr kultury. Dopiero w maju 1942 roku część zabytków gołuchowskich, w tym kolekcja waz i obrazy, znalazła się w głównej siedzibie KaiserFriedrich Museum, gdzie wazy poddano zabiegom konserwatorskim.

Te fakty udało się ustalić w co dopiero wyzwolonym spod okupacji hitlerowskiej Poznaniu. Pracownicy Muzeum Wielkopolskiego dowiedzieli się również, że w 1943 roku antyczne wazy zniknęły z Posen. Dokąd je Niemcy wywieźli? Podejrzanie padło na

kopalnię soli w Grasleben w środkowych Niemczech.

Na piśmie zaadresowanym do wojewody poznańskiego umieszczono zastrzeżenie: „Bardzo pilne Tajne!”. Powyżej widnieje data 5 kwietnia 1945 roku. Najprawdopodobniej do adresata dotarło ono jednak nieco później, ponieważ o czym będzie jeszcze mowa dopiero 13 kwietnia nadano mu bieg, o który prosił autor. Pod wręcz wykaligrafowanym tekstem nagryzmolił nieczytelnie nazwisko. Adresat jednak wiedział, kto był autorem tego pisma.

Oto pełny tekst tego sensacyjnego dokumentu w oryginalnej pisowni:

„Najcenniejsze zasoby tutaj. Archiwum Państwowego, składające się z kilku tysięcy dokumentów średniowiecznych oraz z ksiąg sądowych obu województw wielkopolskich (poznańskiego i kaliskiego) w granicach tychże województw z XIV i XV wieku, wywiózł b. zarząd niemiecki celem zabezpieczenia ich przed zgubnymi skutkami bombardowania lotniczego najpierw do jednego z bunkrów pod miastem Zielenzig (Brandenburgia), należącego do systemu fortyfikacyjnego, zbudowanego przez Niemców wzdłuż linii Odry. W tymże bunkrze umieściło najcenniejsze swoje zasoby także Pruskie Tajne Archiwum Państwowe (Preussisches Geheimes Staatsarchiv, BerlinDahlem) i, jak przypuszczać należy, co najmniej Archiwum Państwowe Gdańskie (Danzig) i Królewieckie (Königsberg). Podróż, jakie do wspomnianego bunkra w następnym czasie kilkakrotnie odbywał b. niemiecki kierownik Archiwum Państwowego w towarzystwie b. dyrektora tutaj. Muzeum Wielkopolskiego, narzucają ponadto domysł, że ze schroniska tego korzystało także wymienione muzeum.

Mniej więcej przed trzema kwartałami nastąpiła nagła translokacja wyszczególnionych wyżej zbiorów do kopalni soli w Grasleben (Prowincja Hannowerska lub Brunszwik), a mianowicie do gwarectwa (Gewerkschaft) Braunschweig Liineburg, co dzięki wspólnym wysiłkom stwierdziłem razem z kilkoma b. pracownikami Archiwum Państwowego.



Podziemne wyrobiska kopalni soli w Grasleben. Żołnierze brytyjscy oglądają przetrzebione przez Amerykanów obrazy oraz żołnierze US Army podziwiają monstrancje z wielkopolskich kościołów pochodzące z transportu ze Starpel (Staropola) z połowy października 1944 roku.

Zdjęcia z archiwum Leszka Adamczewskiego

Wobec faktu, że wojska sprzymierzone angloamerykańskie szybkimi ruchami zbliżają się obecnie do Grasleben i że liczyć się można z niebezpieczeństwem, iż miejscowość ta każdej chwili znaleźć się może w strefie działań wojennych, upraszam Pana Wojewodę o niezwłoczne poczynienie kroków w Głównym Dowództwie Armii Radzieckiej, by ono za pomocą szyfru radiowego o powyższym stanie rzeczy natychmiast uwiadomiło Główne Dowództwo armii sprzymierzonych, wskazując dobitnie na konieczność wyjęcia miejscowości Grasleben spod wszelkich działań wojennych.

Chodzi tu nie tylko o uratowanie od grożącej zagłady najstarszych polskich zabytków historycznych, bezcennych świadectw i pomników naszej narodowej przeszłości, lecz w równej mierze także o zdobycie w nieuszkodzonym stanie przede wszystkim wspomnianych zasobów Tajnego archiwum Państwowego berlińskiego, zawierających w sobie jak przypuszczać można największe tajniki polityki i dyplomacji Państwa Polskiego.

Za kierownika Kustosza Arch. Państw.”.

Podpis jak się rzekło jest nieczytelny, ale dzisiaj wiemy, że autorem cytowanego pisma był znany nam już Adam Kaletka, który przez cały okres okupacji hitlerowskiej pracował w Reichsarchiv Posen. Ten sam, który obawiając się o losy poznańskich zabytków, zwrócił uwagę Rosjan na podziemny skarbiec w fortyfikacjach międzyrzeckich.

Wspomniane zaś w piśmie do wojewody osoby to doktorzy Erich Weise i Siegfried Rühle. Ich częste wyjazdy w okolice ówczesnego Meseritz nie pozostały niezauważone przez Polaków, a nazwa Zielenzig pojawiła się w piśmie kustosza chyba z tego powodu, że nieliczni Polacy zatrudnieni w Reichsarchiv Posen najprawdopodobniej słyszeli, że dyrektor Weise wyjeżdża na teren powiatu Zielenzig. A część fortyfikacji międzyrzeckich leżała właśnie na ziemiach ówczesnego powiatu sulęcińskiego. Natomiast o przebiegu pozycji Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty nic nie było wiadomo. To był wtedy super tajny obiekt wojskowy.

Wróćmy jednak do pisma przechowywanego w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Znajduje się nań następujący dopisek: „Załatwiono radiogramem dnia 13.4.45 do ob. Premiera. A. Kowalska sekretarka Wicewojewody”.

Jeśli kustosz Kaletka swym pismem do wojewody chciał zapobiec walkom o Grasleben, to było już za późno. To leżące w Dolnej Saksonii miasteczko żołnierze 35. Dywizji Piechoty US Army zdobyli bowiem dzień wcześniej 12 kwietnia 1945 roku. I rychło się dowiedzieli, że podziemne wyrobiska miejscowej kopalni soli potasowych kryją liczne skarby, od miesięcy zwożone z całej Rzeszy i terytoriów okupowanych. Były to nie tylko bogate archiwalia i zbiory biblioteczne, co przede wszystkim dzieła sztuki o niemożliwej do oszacowania wartości materialnej. Zwieziono tam także pudła z taśmami filmowymi i magnetofonowymi.

Przez lata oficjalne słoby amerykańskie zapewniały opinię publiczną, że w Grasleben „Amerykanie nie podejmowali jakichkolwiek przedsięwzięć wobec dóbr ukrytych w sztolniach kopalni, ponieważ zgodnie z ustaleniami wojsko nie miało zamiaru okupować tych okolic”.

Amerykanie kłamali, chociaż rzeczywiście plany sojuszników przewidywały, że po pokonaniu Trzeciej Rzeszy Grasleben znajdzie się w brytyjskiej strefie okupacyjnej

Niemiec. I przez mniej więcej trzy tygodnie Amerykanie nie interesowali się miejscową kopalnią.

Wszystko zmieniło się na początku maja. Adolf Hitler już nie żył, padł też Berlin. Za kilkadziesiąt godzin przedstawiciele nowego prezydenta Rzeszy Karla Dönitza podpiszą akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

Czwartego maja do Grasleben przyjechał porucznik Lamont Moore, oficer Wydziału Zabytków, Sztuk Pięknych i Archiwów armii amerykańskiej. Przez kilka dni w towarzystwie oddanych do jego dyspozycji żołnierzy penetrował ciągnące się kilometrami podziemne wyrobiska górnicze. Właśnie wtedy Moore zlokalizował skrzynie, które do Grasleben przywieziono z okupowanego Poznania, chociaż znaczna część z nich przyjechała bezpośrednio ze Staropola, ponieważ wcześniej przechowywano je w podziemnym skarbcu w fortyfikacjach międzyrzeckich. Skrzynie były ozdobione napisami „Dom” i „Posen”, co Amerykanie zinterpretowali, że kryją skarby z katedry poznańskiej, bo w języku niemieckim słowo „Dom” oznacza właśnie katedrę.

Skrzynie rzeczywiście kryły zabytki katedralne, ale nie tylko i nie przede wszystkim ze świątyni na poznańskim Ostrowie Tumskim. Porucznik Moore natknął się bowiem na słynny skarbiec z katedry gnieźnieńskiej, który na początku okupacji został przez Niemców zagrabiony i przekazany do działającego w Poznaniu KaiserFriedrich Museum. Składały się nań o czym była już mowa kielichy, złote pierścienie biskupie, relikwiarze, monstrancje, puszki, pastorały i pektorały biskupie, krzyże ołtarzowe i lichtarze, bogato zdobione szaty liturgiczne, portrety trumienne oraz inne zabytki ze zbieranych przez wieki darów królewskich i książęcych, arcybiskupów i kanoników, a także możnych rodów szlacheckich i mieszczańskich.

Dziesiątego maja 1945 roku porucznik Moore wywiózł na powierzchnię cztery skrzynie, które Amerykanie uznali za skarby katedry poznańskiej, dwie skrzynie z napisem „Lissa” (to niemiecka nazwa Leszna, ale ten napis mógł oznaczać także coś innego) oraz wiele pudeł, w których złożone były złote i srebrne monstrancje i relikwiarze. Właśnie ze skarbcza katedry gnieźnieńskiej.

Kenneth D. Alford, amerykański historyk amator, który swego czasu wywołał światową sensację, ujawniając rabunek skarbów węgierskich Żydów odkrytych przez

Amerykanów w pociągu porzuconym przez Niemców w alpejskim tunelu kolejowym, zajmował się również kopalnią w Grasleben. Nie on pierwszy, ponieważ do równie sensacyjnych ustaleń doszedł (na krótko przed swą samobójczą śmiercią w sierpniu 1987 roku) niemiecki poszukiwacz Bursztynowej Komnaty Georg Stein.

„Żadna kopalnia nie była tak oblegana, jak Grasleben pisał Stein do przyjaciela na krótko przed swą śmiercią. Początkowo nawet budynek gwarectwa otoczono czołgami i nie dopuszczano doń nikogo z kierownictwa kopalni. W rezultacie wszyscy Niemcy z nadzoru technicznego zostali wyłączeni ze zjazdów [do wyrobisk podziemnych]”.

Alford ustalił, że 12 maja przybył do Grasleben, wezwany przez porucznika Moore'a, oddział specjalny (T Force) 12. Grupy Armii w sile stu dwudziestu żołnierzy. Przez ponad miesiąc penetrowali oni wyrobiska kopalni, o której Amerykanie wiedzieli, że wkrótce wraz z całym miasteczkiem przekażą Brytyjczykom.

Retoryczne pozostaje pytanie, czy pożar, który 18 czerwca wybuchł w komorze podziemnej, gdzie składowano pudła z łatwopalnymi filmami, został podłożony przez Amerykanów. Wiele na to wskazuje. Ogień twierdzą zwolennicy tej hipotezy miał zatrzeć ślady rabunku skarbów kultury. Stein sugerował wręcz, że wśród zrabowanych przez Amerykanów w Grasleben dzieł sztuki mogła być nawet Bursztynowa Komnata. W to zaś wątpił Alford, uważając, że przejęcie przez armię USA tak wielkiego i sławnego zabytku nie dałoby się utrzymać w tajemnicy przez ponad pół wieku.

A jeśli któryś z wyższych oficerów US Army działał na własną rękę, wykonując dobrze płatne zlecenie jakiegoś miliardera?

W każdym razie Brytyjczycy po przejęciu kopalni w Grasleben, co nastąpiło 17 sierpnia 1945 roku, stwierdzili, że około 10 procent tego, co zostało ukryte w podziemiach, zabrali Amerykanie. Mniej więcej połowa z pozostałych 6800 skrzyń była otwarta lub przestrzelona pociskami z pistoletów maszynowych. Ponadto Amerykanie skonfiskowali spisy przedmiotów zmagazynowanych w Grasleben. Do dzisiaj uchodzą one za zaginione...

Śledztwo prowadzone w sprawie kopalni przez Scotland Yard zostało po kilku latach umorzone. Uznano, że brakujące dzieła sztuki spłonęły we wspomnianym pożarze.

Na dobrą sprawę, nikt w to tłumaczenie nie wierzy. Także Kenneth D. Alford, który

na temat kopalni w Grasleben postanowił porozmawiać z Lamontem Moore'em. W książce *Great treasure stories of World War II*, znanej w Polsce pod tytułem *Tajemnice skarbów II wojny światowej*, opisał rozmowę telefoniczną, którą wiele lat po wojnie odbył z byłym oficerem Wydziału Zabytków, Sztuk Pięknych i Archiwów.

Gdy Moore usłyszał nazwę kopalni w Grasleben, odpowiedział, że nigdy do niej nie wchodził. Na to Alford odparł, że posiada zdjęcie, „które ponad wszelką wątpliwość dowodzi, że Moore uczestniczył w wydobywaniu na powierzchnię zawartości podziemnych korytarzy”.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, po czym Alford usłyszał słowa Moore'a: Będę milczał aż do śmierci. I odłożył słuchawkę.

Tajemnica kopalni w Grasleben nie została więc wyjaśniona.

Ale Lamont Moore w pierwszej kolejności wywożąc na powierzchnię skarby, które do Grasleben wysłał doktor Siegfried Rühle, oszczędził im być może gorszego losu. Przewieziono je do magazynów we Frankfurcie nad Menem i wkrótce Brytyjczycy zwrócili te skarby Polsce.

Wśród nich nie było jednak antycznych waz z kolekcji gołuchowskiej. Chociaż długo, bardzo długo podejrzewano w Warszawie i Poznaniu, że Niemcy ewakuowali wazy do Grasleben. Doktor Karol Estreicher, szukający w okupowanych Niemczech polskich dóbr kultury, 28 stycznia 1947 roku pisał do Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w Warszawie: „W dniu dzisiejszym wyjeżdżam do Berlina w poszukiwaniu za zabytkami polskimi z Poznania, które były w Grasleben [...], a więc za Gołuchowem, Galerią Raczyńskich itp.”.

I Estreicher szukał przede wszystkim waz z Gołuchowa, chociaż już w 1946 roku podobne starania czynił w Niemczech Jan Morawiński, delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. Wskutek jego nacisków władze brytyjskiej strefy okupacyjnej zwróciły się do amerykańskich władz wojskowych z zapytaniem o zabytki gołuchowskie. Odpowiedź Amerykanów była wyraźna: wśród dzieł sztuki zabezpieczonych w Grasleben przez oficerów wywiadu USA nie było przedmiotów ze zbiorów Czartoryskich.

Wiele wskazuje, że w Warszawie w prawdziwość tej odpowiedzi nie uwierzono, ale na ślad kolekcji waz hrabiny Izabelli nie natrafił ani Karol Estreicher, ani Tadeusz Gostyński, następca Morawińskiego jako delegat MKiSu w okupowanych Niemczech.

Przesłuchanie Sidorowa

Berlin dogorywał. Ostatnie linie obrony miasta przebiegały przez tak zwaną wyspę muzeów, nieustannie ostrzeliwaną i bombardowaną przez nacierających czerwonoarmistów. Zdesperowani obrońcy, nie mogący już liczyć na żadną odsiecz, próbowali nawet ostrzeliwać się z za muzealnych eksponatów Pergamonu.

Drugiego maja 1945 roku, dwa dni po samobójczej śmierci Adolfa Hitlera, Berlin skapitulował. Setki białych prześcieradeł wywieszono w oknach ocalałych domów. Rozpoczęły się gwałty i rabunki.

Wraz z żołnierzami frontowymi do stolicy Trzeciej Rzeszy przybyli także znani nam już członkowie brygad trofiejnych. Awansowany do stopnia pułkownika Andriej Biełokopytow, nieco później przybyły z Moskwy Siergiej Sidorow już z dystynkcjami podpułkownika i kilku innych ekspertów Komitetu do spraw Sztuki w mundurach oficerów Armii Czerwonej ogalać z dóbr kultury te berlińskie muzea, świątynie i archiwa, które nie zostały ewakuowane. Poszukiwali i znajdowali skarby ukryte w schronach przeciwlotniczych, by przypomnieć choćby przechowywane do dziś w Moskwie złote eksponaty ze skarbu Troi.

Trzeciego maja ludzie Biełokopytowa odnaleźli dyrektora muzeów berlińskich doktora Ottona Kümmela i zabrali go na obchód wszystkich podległych mu placówek. Dla Kümmela była to przygnębiająca „wycieczka”. Wszędzie widział potworne zniszczenia lub splądrowane pomieszczenia. Ale nie wiedział jeszcze, co szykują Rosjanie.

Cztery dni później zaczęli oni wywozić dobra kultury ze wszystkich tych miejsc, które pokazywał im doktor Kümmel. Niemcom mówili, że skarby te zabezpieczają. Przed czym lub przed kim? Tego Kümmel już się nie dowiedział.

Wywożenie skarbów kultury Rosjanie zaczęli od repozytoriów i muzeów, które miały się znaleźć w zachodnich sektorach Berlina. Na pierwszy ogień poszła między innymi żelbetowa wieża przeciwlotnicza kolo ogrodu zoologicznego. To stamtąd Rosjanie wyciągnęli między innymi złoto Troi najcenniejsze eksponaty z kolekcji

Heinricha Schliemanna, wykopane przez tego niemieckiego archeologaamatora w Hissarlik.

Na tym terenie wspominał Bietokopytow w programie telewizyjnym „Zgodnie z prawem zwycięzcy” 10 maja 1996 roku wedle umowy mieli się pojawić Amerykanie, więc spieszyliśmy się, by jak najszybciej wywieźć skarby. Wyraźnie nie dawaliśmy sobie z tym rady. Kosztowności mogły lada chwila wpaść w ręce sojuszników. Złożyłem więc o tym meldunek generałowi pułkownikowi Nikołajowi Bierzarinowi, ale ten odesłał mnie do sztabu marszałka Związku Radzieckiego Georgija Żukowa. Na jego rozkaz, grupa saperów pod komendą majora Kułakowskiego ewakuowała kosztowności.

Z innej, bardziej szczegółowej, relacji Bielokopytowa wiemy, że dowódcę brygady trofiejnej nie od razu dopuszczono przed oblicze Żukowa. Nie pomogły tłumaczenia, że pułkownik reprezentuje instytucję rządową. I że do dowódcy radzieckich wojsk okupacyjnych w Niemczech sprowadza go sprawa wagi państwowej. Zdesperowany, pokazał w końcu adiutantowi Żukowa legitymację pracownika teatru MChAT, którego w cywilu był dyrektorem administracyjnym. Poskutkowało błyskawicznie. Po chwili był już w gabinecie marszałka...

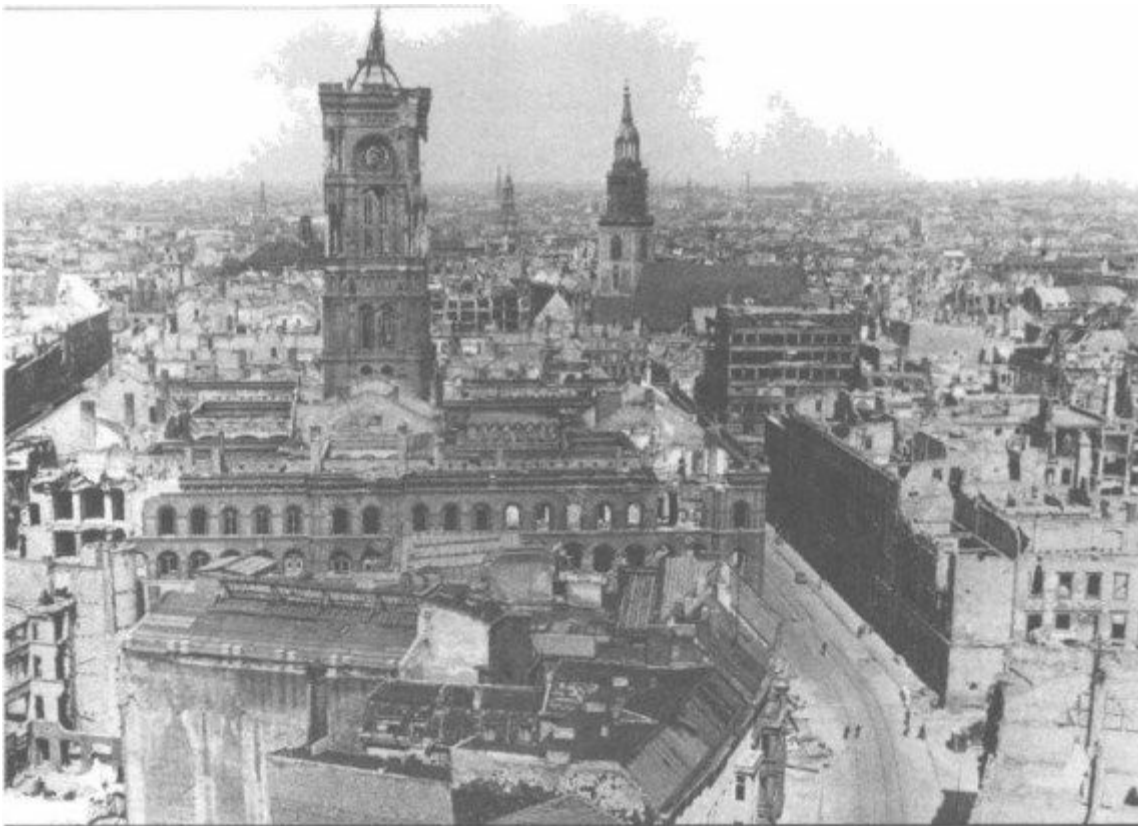
Zrabowane skarby kultury Rosjanie wywozili do punktu zbiorczego w podberlińskim Karlshorst, bezpiecznie położonym w głębi radzieckiej strefy okupacyjnej.

Ekipa Bielokopytowa miała w Berlinie konkurencję. Na własną rękę rabowali radzieccy generałowie ze sztabu Żukowa, który został dowódcą radzieckich wojsk okupacyjnych w Niemczech. Ponoć najbardziej zachłanny był jeden z zastępców marszałka, generał Konstantin Tielegin, ale starymi obrazami, dywanami czy serwisami stołowymi nie gardzili i inni. Także Żuków.

A działo się to, mimo iż zgodnie z rozporządzeniem numer 9036 z 9 lipca 1945 roku Państwowego Komitetu Obrony, a faktycznie samego Józefa Stalina generałowie mogli otrzymać po jednym zdobycznym samochodzie osobowym, a oficerowie w zależności od możliwości motocykl lub rower. Jednocześnie, na mocy tego samego rozporządzenia generałowie mogli kupować za ruble różne starocie i dzieła sztuki w specjalnych składach, dla oficerów zaś zarezerwowano dywany, serwisy obiadowe, aparaty fotograficzne. „W porównaniu z cenami państwowymi za towary, których w

sklepach i tak nie było, generałowie i oficerowie płacili grosze” czytamy w wydanej w 1995 roku w Monachium książce Pawła Knyszewskiego pod niemieckim tytułem *Moskaus Beute* (Łupy Moskwy).

Gdzieś od jesieni 1945 roku nad głową marszałka Gieorgija Żukowa zaczęły się zbierać czarne chmury. Do Stalina dochodziły informacje, że on sam i jego generałowie gromadzą liczne skarby. Że marszałek chodzi w glorii zwycięzcy, który pokonał hitlerowskie Niemcy, tym samym jakby w cień usuwając zasługi jego Stalina.



Krajobraz po bitwie o stolicę Trzeciej Rzeszy. Zniszczony Berlin, gdzie długo jeszcze po dniu kapitulacji hitlerowskiego garnizonu miasta rabowano skarby kultury.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Historycy nie są zgodni, dlaczego Stalin wystąpił przeciwko popularnemu w armii marszałkowi. Najprawdopodobniej w grę wchodzi dwie wypowiedzi Żukowa z maja 1945 roku. Żuków wielokrotnie przeciwstawiał się Stalinowi, zwłaszcza w najtrudniejszym okresie drugiej wojny światowej, w latach 1941-1942. I uchodziło mu to na sucho. Ale w 1945 roku Stalin, przywódca państwa, które włożyło ogromny wkład w pokonanie hitlerowskich Niemiec, nie tolerował już nawet najbardziej ostrożnych słów krytyki czy odmiennego zdania. Żuków zapewne nie zauważył, że Stalin się zmienił,

gdy 24 maja 1945 roku na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) odpowiedział na pytanie wodza, jak najwyżsi dowódcy Armii Czerwonej zapatrują się na nadanie mu stopnia generalissimusa:

Rangę generalissimusa noszą tak odrażające indywidua, jak Franko i Czang Kaiszek.

Anastas Mikojan, członek Biura Politycznego KC WKP (b) i jeden z najbliższych współpracowników Stalina, twierdził natomiast, że Żów przeciwstawił się wodzowi w innej, dużo ważniejszej sprawie. Na pytanie zadane dowódcom na początku maja 1945 roku, czy Armia Czerwona ma zatrzymać się na uzgodnionej z aliantami linii w pokonanych Niemczech, czy też wykorzystać okazję, która się już nie powtórzy i popędzić na zachód Europy, Żuków odpowiedział, że żołnierze marzą tylko o powrocie do domów.

Jeśli nawet pytanie to było prowokacją, w czym Stalin się specjalizował w celu wysondowania opinii swych współpracowników, odpowiadając właśnie tak, a nie inaczej, Żuków wydał na siebie wyrok. Miał on być wykonany w dogodnym dla Stalina momencie.

W marcu 1946 roku Żukowa odwołano z Berlina do Moskwy, powierzając mu prestiżowe stanowisko dowódcy wojsk lądowych. Na krótko.

Szóstego czerwca z udziałem Stalina i innych przywódców ZSRR odbyło się na Kremlu posiedzenie Najwyższej Rady Wojennej Ministerstwa Obrony. Stalin chciał, by najwyżsi dowódcy Armii Czerwonej wyrazili zgodę na aresztowanie marszałka Żukowa, który miał rzekomo skupić wokół siebie niezadowolonych oficerów i generałów, co według wodza można było uznać za spisek zmierzający do zamachu stanu.

Stalin się jednak przeliczył, bo zgody dowódców nie uzyskał. Niektórzy wręcz sugerowali, że zarzuty wobec Żukowa zostały spreparowane przez NKWD. Marszałkowie i generałowie zrozumieli, że wódz szykuje kolejną wielką czystkę, w której Żuków będzie pierwszą ofiarą. Broniąc go, bronili siebie.

Stalin nie chciał zadzierać z elitą armii. Żukowa zesłano więc do Odessy na stanowisko dowódcy podrzędnego okręgu wojskowego, ale enkawudziści węszyli

nadal. Szukając kolejnych dowodów na marszałka, zainteresowano się skarbami zrabowanymi w Niemczech przez niego i jego współpracowników. Aresztowano między innymi generała Konstantina Tielegina, który zgromadził liczne skarby zrabowane w Niemczech, w tym obrazy znanych mistrzów. Torturowany, obciążył Żukowa.



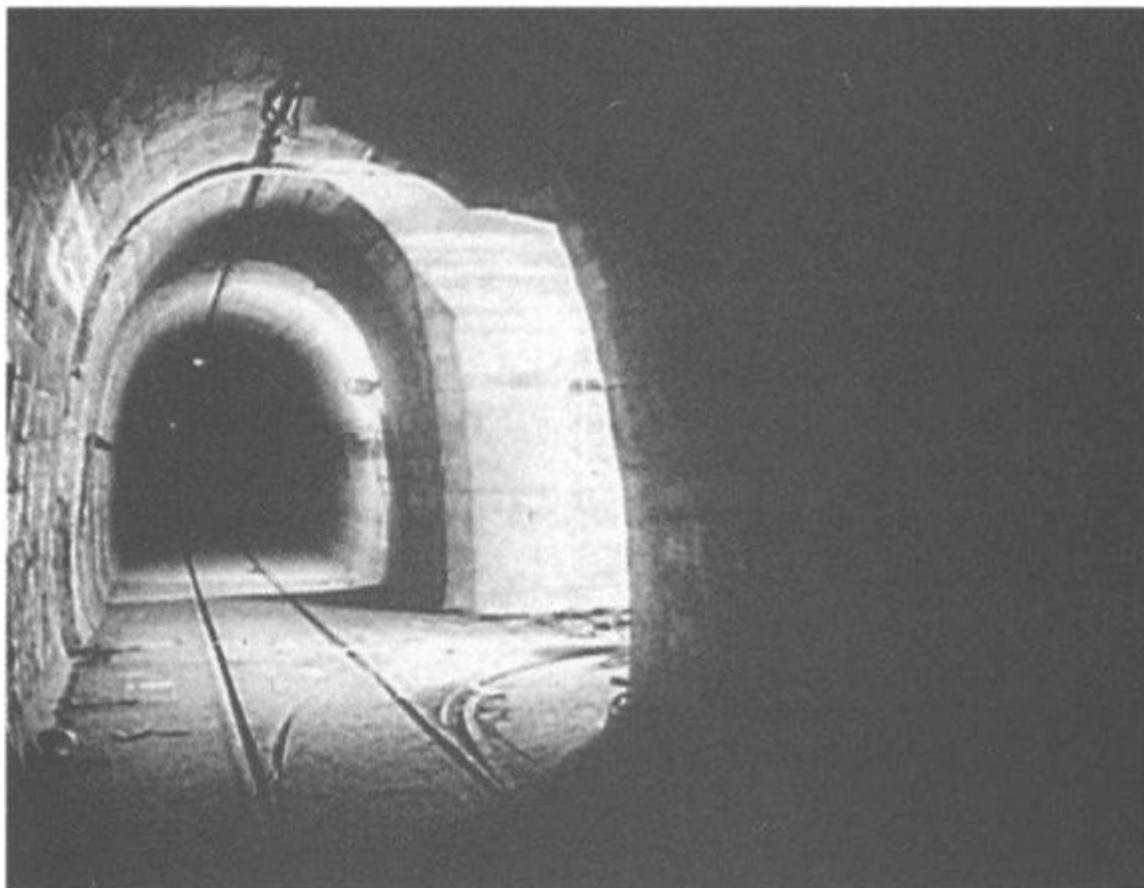
Marszałek ZSRR Geоргий Жуков – dowódca 1. Frontu Białoruskiego, a następnie wojsk radzieckich stacjonujących w okupowanych Niemczech.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Radzieckie służby specjalne zainteresowały się również działalnością brygad trofiejnych Komitetu do spraw Sztuki, zwłaszcza tej, która operowała na tyłach wojsk 1. Frontu Białoruskiego.

Po kilku miesiącach odwołano nagle do Moskwy Biełokopytowa. Wkrótce też śledczy natrafili na dokumenty, dotyczące odkrycia w połowie marca 1945 roku skarbów, w schowku urządzonym w systemie podziemnym Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty. Zaskoczyło ich, że zamiast awizowanych 531 skrzyń, przywieziono... 624. Brakowało natomiast spisu zawartości skrzyń, co rodziło

podejrzanie, że sporo przedmiotów mogło zostać rozgrabionych.

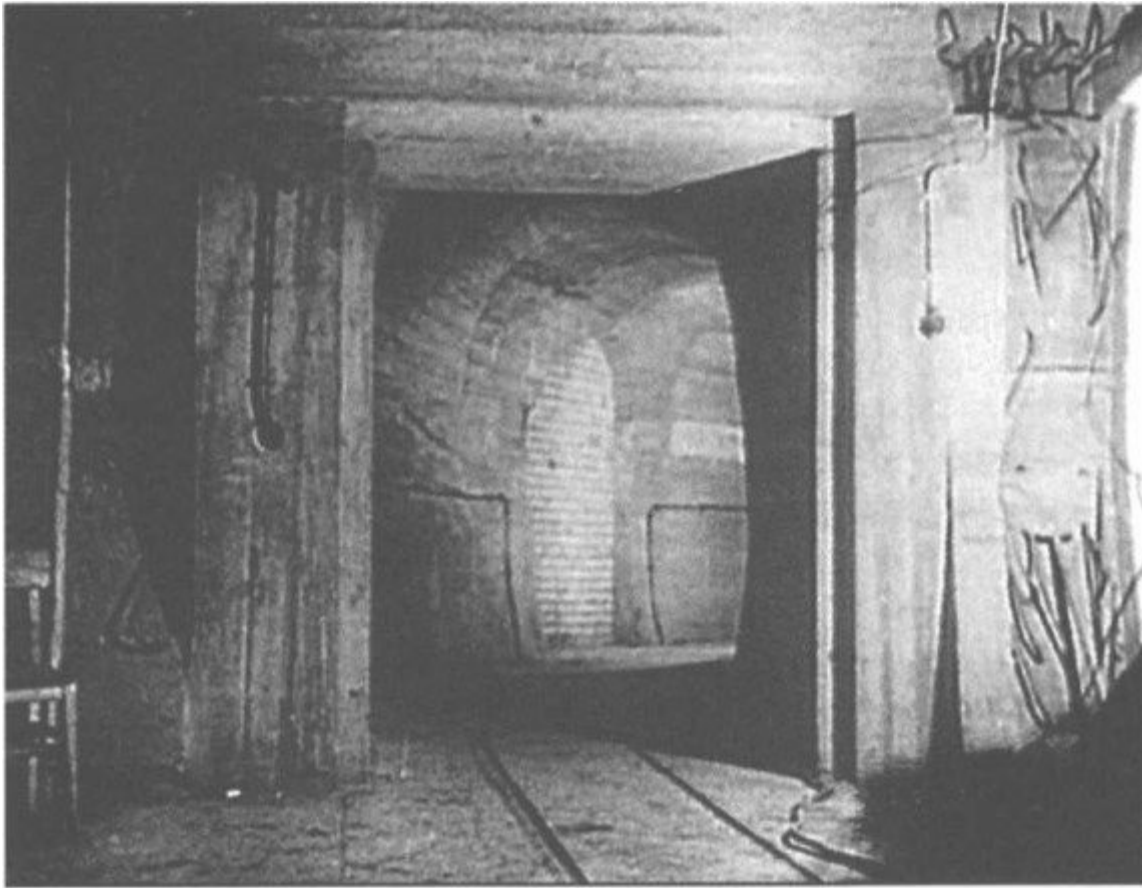


Kadr z radzieckiego filmu dokumentalnego przedstawiający podziemia fortyfikacji międzyrzeckich.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

I dlatego, we wrześniu 1946 roku wezwano na przesłuchanie Siergieja Sidorowa. Sporządzony wtedy protokół przechowywany jest w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej.

To, co powiedział Sidorow we wrześniu 1946 roku, nie różni się wiele od opisu znalezienia skarbów w podziemiach MRU przedstawionego na podstawie dokumentów z wiosny 1945 roku przez Akinszę i Kozłowa w książce *Beutekunst*. Sidorow dorzucił kilka szczegółów, inne pominął.



Takie między innymi widoki podziemnych tuneli fortyfikacji międzyrzeckich utrwaliły się w pamięci Siergieja Sidorowa. Kadr z radzieckiego filmu dokumentalnego.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Pozostałe różnice dotyczą prawdopodobnie innej perspektywy spojrzenia na wydarzenia sprzed półtora roku. A na to nałożyły się, zapewne podświadomie, jego doświadczenia z Berlina, gdzie uczestniczył w rabowaniu dóbr kultury w stolicy pokonanej Trzeciej Rzeszy.

W protokole z przesłuchania Sidorowa brakuje stawianych mu pytań, co obniża rangę tego dokumentu. Niestety, taki zwyczaj protokołowania zeznań świadków (bo w tym charakterze przesłuchiowano Sidorowa) obowiązuje na przykład w polskiej policji. O tym, co interesowało śledczych, można się jednak dowiedzieć z odpowiedzi byłego eksperta brygady trofiejnej Biełokopytowa.

Oto protokół z przesłuchania Siergieja Sidorowa we wrześniu 1946 roku:

„W Hochwalde, w okręgu [powiecie] Meseritz, w pobliżu Wału Wschodniego oddziały wojskowe zabezpieczające dobra zdobyczne odkryły schowek podziemny. W trzech halach Niemcy ukryli wywiezione z muzeów dzieła sztuki. Poza wyjątkami,

zbiory znajdowały się w oryginalnych opakowaniach niemieckich. Każda skrzynia była opisana i ponumerowana, niektóre skrzynie były otwarte. Drewniane rzeźby, większe meble, jak stoły czy szafy, ale także sztuce nie były zapakowane. Obrazy różnych mistrzów, rzeźby i drobne meble, wyroby szklane i kartony z dokumentami archiwalnymi były zapakowane w skrzyniach. W sumie tych skrzyń było około 500.

W tym czasie Armia Czerwona dokonywała przegrupowania swych sił w związku z przygotowaniem do forsowania Odry i szturm na Berlin. Dlatego też cały ten rejon przekazano polskiej administracji wojskowej. Po rozmowach pełnomocnika Biełokopytowa z Dowództwem Naczelnym i Urzędem do spraw Dóbr Zdobycznych, postanowiono wszystkie znalezione w podziemiach przedmioty zapakować i odtransportować do Związku Radzieckiego.

W tym celu batalion dóbr zdobycznych oddał do mojej dyspozycji dziewiętnastu żołnierzy. Oni musieli pod moim dowództwem i nadzorem zawartość skrzyń przepakować i w ciągu kilku godzin załadować na wagony, które półtora godziny wcześniej zostały podstawione. To była wielka prowizorka. Zaraz po załadunku został sporządzony protokół, który właściwie nie zawierał dokładnego opisu zawartości skrzyń. Ani eksperci, ani muzealnicy nie brali w tej operacji udziału. Towarzysz Biełokopytow załatwiał formalności przewozowe, a drugi pełnomocnik, towarzysz Biełousow dyrygent teatru objazdowego był w Stargardzie. Ja byłem sam i dlatego nie miałem możliwości sprawdzenia zawartości skrzyń, ograniczając się tylko do wrywkowej kontroli. Poza tym musiałem sprawdzić otwarte i uszkodzone skrzynie. Te dobra zdobyczne były jednocześnie wynoszone z trzech hal. Ponadto musiałem dopilnować załadunku skrzyń na samochody ciężarowe i na wagony. Dlatego też nie byłem w stanie sam tych prac przeprowadzić zgodnie z obowiązującą procedurą, nawet gdybym się temu wszystkiemu przyglądał z boku.

Jednocześnie w wielkim pośpiechu demontowano, położoną tuż obok, podziemną fabrykę zbrojeniową. A do tego Niemcy ostrzelali cały ten teren i zbombardowali nas. Nie wszystkie skrzynie kazałem otworzyć, więc do dzisiaj nie wiem, co one zawierały. Ale wszystko, co było w halach [podziemnych], także rzeczy nieposortowane, zostało odtransportowane. Jak mi opowiadali współpracownicy, po zakończeniu załadunku skrzyń, hale te zostały posprzątane z resztek skrzyń i śmieci”.

Zatarto więc wszelkie ślady po skrytce poznańskich skarbów.

We wspomnianym już rosyjskim programie telewizyjnym „Zgodnie z prawem zwycięzcy” Biełokopytow powiedział między innymi, że pozbawiono go stanowiska za karę, zarzucając mu niewłaściwe wykonywanie obowiązków podczas jak się wyraził ewakuacji.

Moją winą było to mówił że liczyłem te kosztowności [chodzi o dobra kultury] nie na sztuki, a całymi skrzyniami. Tłumaczyłem się brakiem czasu, warunkami, w jakich przebiegała akcja. Bez skutku. Znowu udałem się z prośbą do Gieorgija Żukowa, ale ten skierował mnie do byłego członka rady wojennej, generała lejtnanta Konstantina Tielegina, ale kiedy dotarłem na miejsce, Tielegina aresztowano.

Sidorowa nie pytano o nadwyżkę skrzyń przywiezionych do Moskwy z okolic Meseritz, ponieważ szybko wyjaśniono to, o czym czytelnicy już wiedzą. Ze tuż przed odjazdem pociągu ze skarbami wyciągniętymi z podziemi MRU przyjechał konwój samochodów ciężarowych, przywożąc 93 skrzynie z dobrami kultury zrabowanymi w zamku Pansin koło Stargardu Szczecińskiego.

Przesłuchujący drążyli za to inny problem dlaczego nie spisano zawartości skrzyń? nie przyjmując argumentów o ekstremalnych warunkach, w jakich działał Sidorow. O to samo miano pretensje do Biełokopytowa.

Dziś nie da się już ustalić, czy Biełokopytow, Sidorow lub za ich milcząca zgodą któryś z generałów Armii Czerwonej przywłaszczył sobie jakieś dzieła sztuki, których nadal poszukuje Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Linia Hindenburga

W mroźne dni 22 i 23 stycznia 1949 roku w okolicach Międzyrzecza przebywał major Jurkowicz. Nie znamy jego imienia, ale z przechowywanego w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie sprawozdania wiemy, że rozmawiał z urzędnikami ówczesnej administracji samorządowej i władz bezpieczeństwa, przeprowadzał najprawdopodobniej z pomocą przydzielonych mu żołnierzy pomiary, interesował się osiadłą tu niedawno ludnością. Wypatrzył nawet, że posterunek radziecki, mający się znajdować na interesującym go terenie, jest pusty.

Było to wstępne rozpoznanie terenu przewidywanego na poligon operacyjnotaktyczny dla jednostek saperskich Wojska Polskiego.

Majora Jurkowicza interesował centralny odcinek fortyfikacji międzyrzeckich z systemem podziemnym oraz leżące w pobliżu miejscowości. Ale jeszcze bardziej interesowali go mieszkańcy kilku miejscowości, które miały wejść w skład poligonu, interesowały jeziora, rzeki i strumyki, drogi i lasy.

Łatwiej było ustalić stan zaludnienia sześciu interesujących Jurkowicza wiosek, które jak wynika z jego sprawozdania zamieszkiwały w sumie 323 rodziny, pochodzące głównie zza Buga i województwa łódzkiego. „Autochtonów nie stwierdzono” napisał major. Łatwiej też było mu obliczyć średnicę drzew i gęstość zadrzewienia na 100 metrów kwadratowych, niż opisać znajdujące się na interesującym go terenie fortyfikacje. Wspomina o nich tylko ogólnie, nazywając je linią Hindenburga.

I nic dziwnego, bo na początku 1949 roku wiedza Polaków o tym, co dzisiaj nazywamy Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym, była niewielka, by nie powiedzieć żadna. Trzy lata wcześniej, bo 19 lutego 1946 roku, generał Jerzy Bordziłowski, dowódca saperów WP, szef Departamentu WojskowoInżynieryjnego Ministerstwa Obrony Narodowej RP, wysłał tajne pismo do szefów wydziałów inżynieryjnych trzech okręgów wojskowych. Czytamy w nim między innymi (pisownia oryginalna):

„Ustalono rozpoznaniem, że przez Niemców został zbudowany potężny, stały obronny pas umocnień, z podziemnymi galeriami, przechodzący o 15 km na zachód od

m. Międzyrzecze, przez m. Kainszt, Hochwalde, Burczin Poznańskiego Okręgu Wojskowego. [...] Polecam przeprowadzić dokładne rozpoznanie wszystkich znajdujących się na terytorium okręgu umocnień stałych”.

Wymienione przez Bordziłowskiego miejscowości to obok Międzyrzecza Kęszycza, Wysoka i Boryszyn.

Chronologicznie rzecz biorąc, to nie pismo generała Bordziłowskiego jest pierwszym powojennym dokumentem polskim poświęconym MRU, który udało się znaleźć w archiwach. Tym pierwszym, jeśli gdzieś nie leżą jeszcze wcześniejsze dokumenty, może być notatka sporządzona przez majora Edmunda Dutkiewicza, szefa uzbrojenia Dowództwa Okręgu Wojskowego 3 Poznań. Nie ma ona daty, ale z jej treści można wyciągnąć wniosek, że powstała pod koniec 1945 roku, prawdopodobnie w listopadzie. W każdym razie dokument zatytułowany „Opis znanych mi przejść do korytarzy podziemnych tak zwanej linii Hindenburga” Dutkiewicz sporządził przed wypadkiem motocyklowym, który na kilka miesięcy wyłączył go ze służby w DOW 3.]



Budowy baterii pancernej numer 5 Niemcy nie ukończyli. Oprócz podziemnych korytarzy i komór (to dzisiejsza „Pętla boryszyńska” MRU) pozostały tylko fundamenty części naziemnej, sfotografowane przez specjalistów Wojska Polskiego na przełomie lat 40. i 50. XX wieku. Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

Linia Hindenburga tuż po drugiej wojnie światowej wojskowi nazywali ponemieckie umocnienia nadodrzańskie: od Pomorza Zachodniego po Śląsk. Dutkiewicza interesował tylko drobny, ale z militarnego punktu widzenia bardzo ważny fragment tych umocnień fortyfikacje międzyrzeckie. Dodajmy, że w 1945 roku w całości leżały one na terenie ówczesnego województwa poznańskiego.



Po drugiej wojnie światowej stalowe kopuły pancerników, których Niemcy nie zdążyli zbudować, leżały na zapleczu stacji Kursko na linii kolejowej Międzyrzecz-Sulęcín.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

„Miejscowość Wysoka (Hochwalde) ok. 2 km od tej wsi, w lesie, dojazd drogą polną. Wieś sama jest położona w odległości około 14 km od miasta Międzyrzecz, dojazd z Międzyrzecza drogą asfaltową. W lesie znajduje się wejście do podziemnego korytarza, który ciągnie się na przestrzeni ok. 60 km pod ziemią, posiada kilka odnóg bocznych, wzdł których biegnie tor kolejki polowej w dobrym stanie” napisał Dutkiewicz w części notatki dotyczącej powiatu międzyrzeckiego.

Już ten cytat pozwala na konstatację, że major Dutkiewicz bardzo pobieżnie

obejrzał, jeśli w ogóle obejrzał, system podziemny MRU, a padająca w notatce liczba 60 kilometrów jest wzięta z sufitu. Według znanego nam już dokumentu niemieckiego z 14 kwietnia 1944 roku, tunele i komory systemu podziemnego miały w sumie 32,5 kilometrów długości.



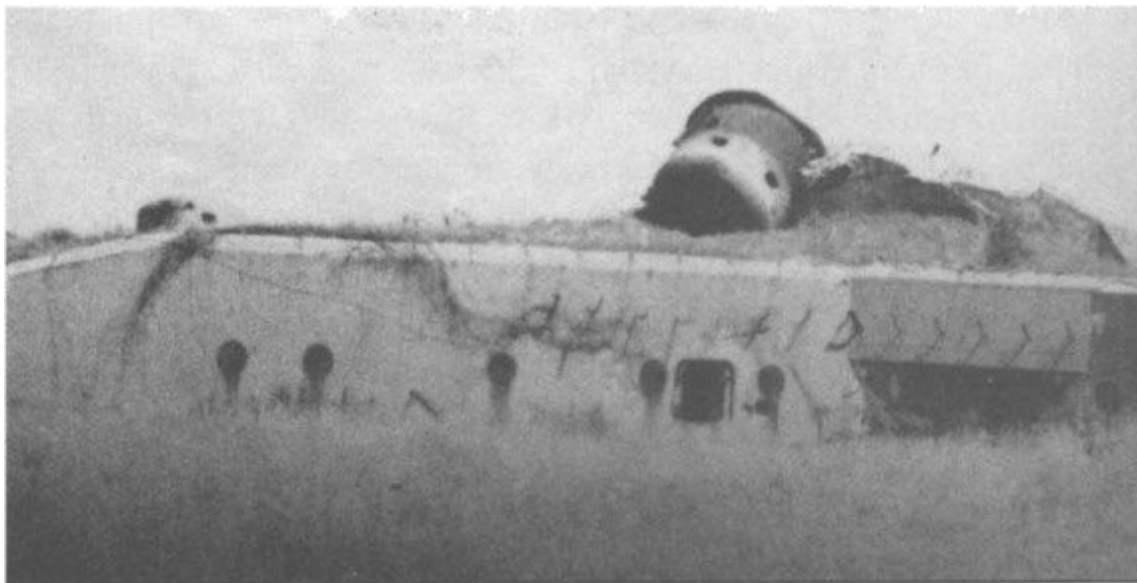
Podziemia MRU Wojsko Polskie zamierzało zaadaptować na gigantyczny schron przeciwpożarowy.

Fot. Leonik Adamczewski

„Od głównego korytarza czytamy dalej co kilkaset, a nieraz i co kilkadziesiąt metrów prowadzą wejścia boczne, prawie wszystkie zamurowane świeżo (to znaczy bezpośrednio przed ustąpieniem Niemców z tego terenu). Część tych bocznych, zamurowanych tylko na jedną cegłę wejść została odkryta i okazało się, że bądź prowadzą one do bocznych korytarzy, bez toru kolejki, bądź też do niewielkich pomieszczeń (ok. 100 do 160 metrów kwadratowych)”.

Oprócz specjalnych niszy wyglądających na boczne wejścia, w których żołnierze przebywający w podziemiach mogli schronić się podczas przejazdu kolejki, były też wykonane wejścia do dalszej części systemu podziemnego, która nie została zbudowana. Wejścia te zostały zamurowane w chwili budowy tuneli (w latach 1936-1938), a nie na początku 1945 roku. W przeciwnym razie piasek zasypałby gotowe

podziemia, chociaż nie można do końca wykluczyć, że w pojedynczych przypadkach wojskowi eksploratorzy natknęli się na takie zamurówki, które broniły wejść do niewielkich pomieszczeń nieznanego przeznaczenia. Zapewne pustych, ale o tym Dutkiewicz już nie wspomina.



Pancerwerk numer 2553 (według powojennej numeracji polskiej) tak prezentował się na przełomie lat 40. i 50. XX wieku w obiektywie fotografa Wojska Polskiego.

Zdjęcie z archiwum Pawła Piątkiewicza

„W miejscu, gdzie główny korytarz biegnie pod jeziorkiem, zacieka i woda dochodziła wówczas do 12 cm na odcinku około półtora kilometra, na odcinku zaś około 300 m głębokość dochodziła do 30 cm” to kolejny fragment notatki Dutkiewicza.

Nie jeziorko, a uszkodzenie jednego z kanałów odwadniających było i jest do dziś przyczyną, że część tuneli północnego odcinka systemu podziemnego jest zalana.

Czytając kolejne fragmenty notatki, zasadnym jest nawet zadanie pytania: Czy major w ogóle był w okolicach Międzyrzecza? Czy przypadkiem cytowany tu dokument nie został sporządzony przez jego podwładnych na podstawie wielce niepełnych i niepewnych danych? Jest to możliwe także i dlatego, że w innych częściach notatki znajdują się wręcz fantastyczne informacje. Jak choćby ta o Gorzowie Wielkopolskim: „Tuż pod miastem znajduje się wejście do obszernych podziemi, gdzie miała się mieścić jakaś fabryka zbrojeniowa”. Albo: „Na terenie gminy Bledzew znajduje się wejście do podziemnego korytarza, który jednak rzekomo leży na obszarze

zaminowanym”.

„Miała”, „jakaś”, „rzekomo”. Jak na wojskowego, przypuszczeń tych jest za dużo. W jednym tylko Dutkiewicz miał rację, gdy napisał: „W niektórych odcinkach [chodzi o fortyfikacje MRU] prowadziły podobno na początku prace poszukiwawcze oddziały Armii Czerwonej”. Nie podobno, a na pewno. To już wiemy.

W swej notatce Dutkiewicz wspomina też, że „z ramienia Departamentu [Uzbrojenia] MON prowadził na terenie powiatu międzyrzeckiego prace poszukiwawcze delegowany specjalnie w tym celu z Departamentu mjr Stepanienko”.

To on, o czym Dutkiewicz już nie wspomina, we wrześniu i październiku 1945 roku sporządził odręczny szkic przebiegu tuneli podziemnych MRU. Nie jest on zbyt dokładny, a przy odwzorowywaniu przebiegu tuneli północnej części systemu podziemnego Stepanienko się pogubił, niemniej jest to pierwszy polski plan tego podziemnego miasteczka.

O Stepanience i jego odręcznym szkicu będzie jeszcze mowa.

Rosjanie, w których gestii system podziemny MRU znajdował się prawie do końca lat czterdziestych XX wieku, niezbyt go pilnowali. Do podziemnego labiryntu zapuszczali się bowiem co odważniejsi Polacy, przede wszystkim młodzi mieszkańcy okolicznych wiosek. Nie straszne im były porzucone niewypały, leżąca broń, a nawet rozkładające się ciała żołnierzy niemieckich, bo i takie makabryczne odkrycia się zdarzały. To wtedy rodziły się legendy, które powtarzane są do dziś. O tym choćby, że podziemne tunele ciągną się aż do Berlina, a w drugim kierunku do Wrocławia.

Cezary Trosiak, w pracy zbiorowej Instytutu *Wspólne dziedzictwo?*, przytacza relację jednego z mieszkańców pobliskiej Kaławy:

„Wszystko stało całe, magazyny, obrabiarki, żadnego stróża, bezkrólewie, jak to po wojnie. Było wszystko, czego dusza zapragnie. Tylko włączyć żarówki i wszystko tu działało. Później zaczęli to rujnować. Z początku to przyjechał taki Skóra z Poznania. To było w latach 1946/1947, organizował pracę, szukał ludzi. Potrzebował ludzi, więc mu znalazłem 12 ludzi z mojej wsi. Wykręcaliśmy żarówki, górą szły 500watowe, a po bokach 150watowe i oprawki, co 25 metrów, ładowaliśmy to na wózki i wywoziliśmy na zewnątrz, gdzie inni ładowali na samochody i wywozili. Następnie wrywaliśmy kable elektryczne, demontowaliśmy ubikacje, zlewy i prycze”.

Major Jurkowicz we wnioskach ze swego sprawozdania z 1949 roku napisał: „Rozpoznany teren [...] jako poligon operacyjnotaktyczny dla jednostek saperских, biorąc pod uwagę potrzeby ćwiczeń lądowych, odpowiada w 100%”. Następnie dodał, że „ze względów administracyjnych opisany teren, przy zakwalifikowaniu go na poligon, wymaga wysiedlenia ludności z następujących wiosek”. I wymienił ich ówczesne nazwy. Dzisiaj to Kęszyca, Kursko Nowe, Pieski, Zarzyń, Wysoka, Boryszyn i Zacisze, chociaż ta ostatnia wioska obecnie już nie istnieje.

Przez osiem lat, od sporządzenia przez majora Jurkowicza cytowanego sprawozdania do pierwszych miesięcy 1957 roku, na najwyższych szczeblach Ministerstwa Obrony Narodowej RP i PRL toczyć się będzie batalia o przyszłość fortyfikacji międzyrzeckich. W Warszawie nie spieszono się. Dopiero w 1951 roku pięcioosobowa komisja wojskowa pod przewodnictwem kapitana Kazimierza Ubemy z 5. Dywizji Piechoty dokonała przeglądu poszczególnych obiektów MRU, dla każdego z nich sporządzając oddzielne metryki. Obiekty otrzymały nowe czterocyfrowe oznaczenia kodowe, chociaż do metryk wpisano też w nawiasach dawne trzycyfrowe numery niemieckie. Latem 1951 roku sporządzono również bardzo szczegółowy plan systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich. O nim będzie jeszcze mowa.

Komisja wystąpiła też z wnioskami w rodzaju: „schron bojowy rozebrać na złom, wejście do podziemia zabezpieczyć”, „zabezpieczyć przed zniszczeniem”, „oczyścić i zabezpieczyć”. Ten ostatni wniosek widnieje na „Metryce obiektu nr 2527”, pod którym to kodem Wojsko Polskie ukryło system podziemny MRU.

Wszystkie metryki opatrzone są datą 17 lipca 1951 roku oraz dopiskiem, że wnioski komisji zatwierdził „dca Okręgu Wojsk. Nr IV Strażewski gen. dyw.”. Jako ciekawostkę przypomnijmy, że Wsiewołod Strażewski był jedynym tak wysokiego stopnia oficerem Armii Czerwonej polskiego pochodzenia, który po zakończeniu służby w szeregach ludowego Wojska Polskiego nie wrócił do ZSRR. Aż do śmierci w 1973 roku mieszkał w Warszawie i zgodnie z jego ostatnią wolą pochowano go na warszawskich Powązkach.

Zimna wojna w Europie i gorąca na Półwyspie Koreańskim sprawiły, że w roku 1953 utworzono stanowisko szefa Saperów Rejonu Umocnionego „Międzyrzecz”, a schrony bojowe i system podziemny centralnego odcinka MRU obsadziło wojsko. Wstrzymano demontaż, oczyszczono podziemia, a ściany części tuneli i pomieszczeń wewnętrznych

pomalowano białą farbą.

Odtajnione dokumenty wojskowe nie dają precyzyjnej odpowiedzi na wszystkie nasuwające się pytania. Wiadomo, że w latach 1953-1956 ścierały się dwie koncepcje. Według jednej, system podziemny MRU miał być zaadaptowany na gigantyczny schron przeciwiatomowy, według drugiej wokół centralnego odcinka MRU miał powstać postulowany już przez majora Jurkowicza poligon saperski. Rozpoczęto nawet przygotowania do wysiedlenia mieszkańców okolicznych wiosek, gdy nagle w 1957 roku Wojsko Polskie opuściło MRU.

Zwiedzając dziś system podziemny MRU, zauważymy, że konserwacja tuneli i komór objęła tylko południową i środkową część tego labiryntu. Północną częścią wojsko się nie interesowało z jednego zapewne powodu. Nie dało się bowiem opanować przedostającej się do podziemi wody.

Skarby wracają ze Wschodu

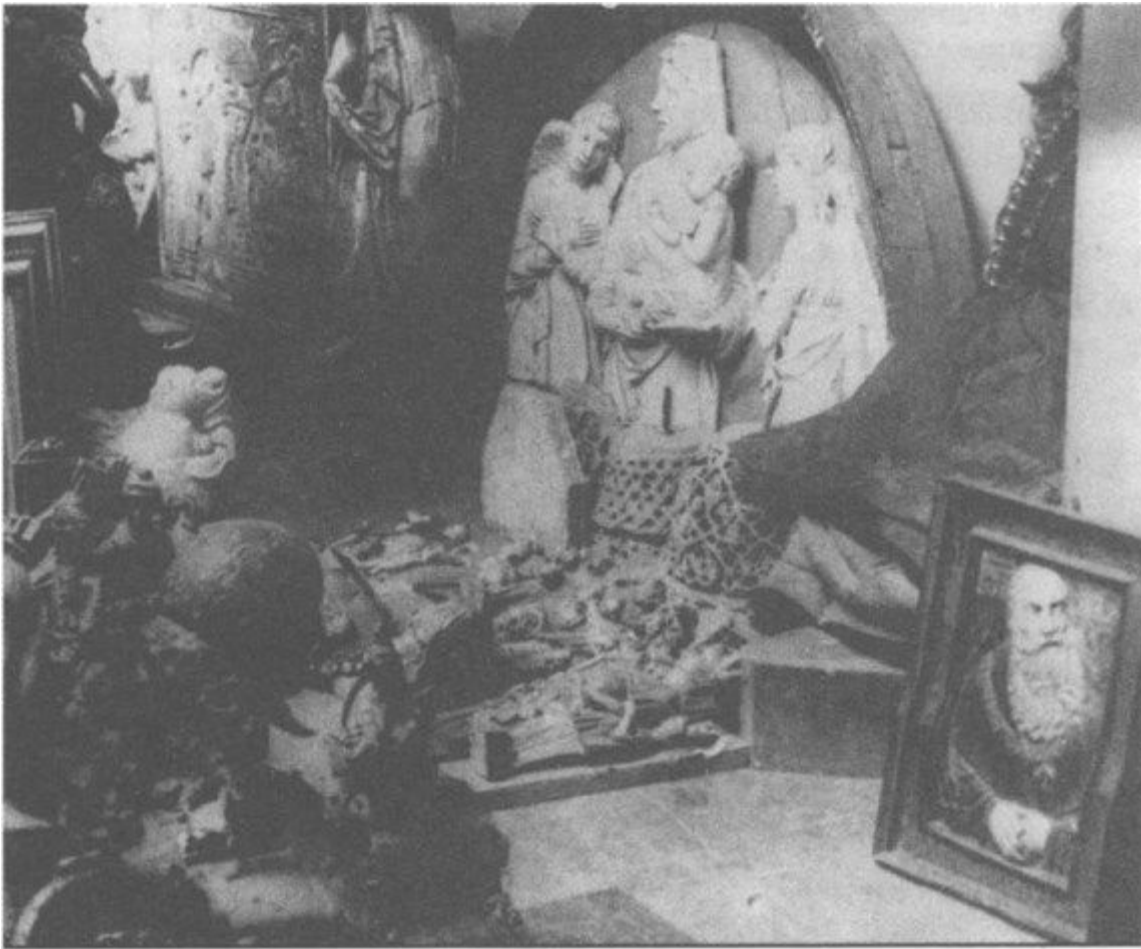
Był luty 1956 roku. W tym miesiącu obradował w Moskwie XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. I sekretarz Komitetu Centralnego KPZR Nikita Chruszczów wygłosił nań swój słynny referat o zbrodniach Józefa Stalina. Zaprezentowany na zamkniętej dla gości i dziennikarzy nocnej sesji zjazdu referat nie uwzględniał wprawdzie wszystkich zbrodni Stalina, choćby wymordowania wiosną 1940 roku więzionych w ZSRR oficerów Wojska Polskiego i Korpusu Ochrony Pogranicza, funkcjonariuszy policji oraz urzędników polskiej administracji, a jednak dla ortodoksyjnych komunistów był to szok. Oto uwielbiany przez miliony „Wielki Stalin” okazał się zbrodniarzem. O swej przy nim roli Chruszczów przezornie nie wspominał...

Logika politycznej odwilży i odcięcie się od niektórych choćby poczynań kierownictwa stalinowskiego wymusiły na ówczesnych władzach ZSRR działania, które nie były możliwe rok wcześniej. Oto bowiem 8 lipca 1956 roku władze te z własnej inicjatywy poinformowały Warszawę, że na terytorium Związku Radzieckiego znajdują się polskie dzieła sztuki, przywiezione po drugiej wojnie światowej z okupowanych Niemiec. Do Moskwy natychmiast udała się delegacja polska pod przewodnictwem wiceministra kultury i sztuki PRL Lucjana Motyki, a w jej skład wchodził dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie Stanisław Lorentz.

Na rezultaty tej wizyty nie trzeba było długo czekać. 3 września 1956 roku jak za Polską Agencją Prasową informował następnego dnia „Głos Wielkopolski” „w Państwowym Muzeum Ermitażu w Leningradzie odbyła się uroczystość przekazania Polsce dzieł sztuki, pochodzących z muzeów polskich, wywiezionych przez hitlerowców w latach 1939-45, a uratowanych przez Armię Radziecką w czasie działań wojennych na terytorium Niemiec. Na uroczystość przybyła polska delegacja rządowa z ministrem kultury i sztuki PRL K. [arolem] Kurylukiem”.

Miesiąc później, 2 października, Rosjanie przekazali Polsce kolejne zabytki dotychczas „więzione” w ZSRR. W sumie zwrócono wówczas 12 518 dzieł sztuki, ale

tylko i wyłącznie poloników: 798 obrazów, 10 516 rysunków i grafik, 181 rzeźb oraz około tysiąca przedmiotów sztuki zdobniczej. Wśród dóbr kultury, które wróciły do Polski, były między innymi obrazy: Józefa Brandta, Józefa Chełmońskiego, Wojciecha Gersona, Aleksandra Gierymskiego, Jana Matejki, Henryka Rodakowskiego i Leona Wyczółkowskiego. „Niebywale cenne jest dla nas odzyskanie słynnych zbiorów gołuchowskich. Są to zabytki staroegipskie, greckie i rzymskie” 3 października informowała „Trybuna Ludu”.



Zrabowane na terytorium Trzeciej Rzeszy skarby kultury z kilku państw europejskich leżały w tak zwanych speczchanach, czyli tajnych magazynach Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina w Moskwie.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Wczesnym latem 1956 roku zrodziła się też inicjatywa, która doprowadziła do zwrotu polskich archiwaliów zagrabionych w 1945 roku przez brygady trofiejne Komitetu do spraw Sztuki ZSRR. Oto 30 czerwca, dwa dni po tragicznych wydarzeniach poznańskiego „czarnego czwartku”, ministrowie szkolnictwa wyższego

PRL Stefan Żółkiewski i kultury ZSRR Nikołaj Michajłow podpisali w Warszawie umowę o wszechstronnej współpracy kulturalnej między dwoma państwami. Dlaczego jednak z polskiej strony umowę tę podpisał szef resortu szkolnictwa wyższego, a nie wspomniany minister Karol Kuryluk? Ano dlatego, że głównym tematem rozmów obu ministrów była sprawa zwrotu polskich archiwaliów, a one właśnie u nas były w gestii resortu kierowanego wtedy przez Stefana Żółkiewskiego.

Dokumenty ratyfikacyjne tej umowy wymieniono 22 listopada, a więc już po tak zwanym przełomie październikowym, który na szczyty władzy w PRL zaprowadził Władysława Gomułkę. Nie ulega też wątpliwości, że przebywająca kilka dni wcześniej w Moskwie delegacja polska, pod przewodnictwem Gomułki (w jej skład wchodził między innymi przewodniczący Rady Państwa PRL Aleksander Zawadzki i premier Józef Cyrankiewicz), w rozmowach toczonych na Kremlu poruszyła sprawę restytucji polskich dóbr kultury znajdujących się nadal na terytorium ZSRR, chociaż ważniejszych spraw było wtedy bez liku. Obok polityki zagranicznej i sytuacji na Węgrzech po krwawym stłumieniu powstania przez radzieckie czołgi, mówiono o równie trudnych problemach repatriacji Polaków z ZSRR czy o warunkach dalszego stacjonowania w Polsce Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej.

Osiemnastego listopada Gomułka i Chruszczów podpisali w Moskwie polskoradziecką deklarację na nowo regulującą stosunki między dwoma państwami. O skarbach mowy w niej nie ma, jest natomiast ogólnikowa wzmianka o wymianie kulturalnej, ale na Kremlu zapamiętano żądania gości z Warszawy.

Rosjanie nie mieli już wyjścia. Nie bacząc na protesty niektórych pracowników Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie, centralne władze ZSRR zdecydowały zwrócić Polsce wszystko, co na terytorium Rzeszy znalazły brygady trofiejne, a pochodziło z polskich muzeów, kościołów i innych tego typu placówek. Kategorieczne polecenie z najwyższego szczebla i krótki termin na jego wykonanie sprawiły, że z jednej strony do transportu przygotowano zabytki, które nie miały polskiego rodowodu, a pochodziły tylko z ziem w 1945 roku włączonych w granice Polski, z drugiej zaś strony w ciągu kilku tygodni nie udało się znaleźć wszystkich eksponatów przywiezionych do ZSRR tuż po wojnie.



Operator „Polskiej Kroniki Filmowej” utrwała na światłoczułej taśmie moment zwrotu przez Rosjan większości waz antycznych z kolekcji gołuchowskiej w 1956 roku. W środku stoi profesor Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.

Zdjęcie z archiwum Leszka Adamczewskiego

Oba przypadki łączy w sobie przykład fragmentów szesnastowiecznego ołtarza z kościoła Mariackiego w Uckermiinde (Wkryujściu) koło Szczecina. Sześć części tego ołtarza Polacy odnaleźli po wojnie na Pomorzu Zachodnim, a dwie Rosjanie znaleźli u siebie i w 1956 roku włączyli do zbiorów przygotowywanych do przekazania Polsce. W pośpiechu i bałaganie temu towarzyszącym zapomniano o dwóch kolejnych częściach ołtarza, które trafiły aż do Łotewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i na początku XXI wieku zostały odnalezione w niepodległej już Łotwie.

W moskiewskim Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina przechowywane są trzy grube bruliony z opisem 6408 eksponatów i kolekcji dzieł sztuki, które brygady trofiejne z okupowanych Niemiec pociągami lub samolotami wywiozły do ZSRR. Do brulionów dołączony jest protokół odbioru tychże 6408 zabytków przez przedstawiciela władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 22 grudnia 1956 roku.

Tym samym wróciła do Polski większość skarbów znalezionych przez majora

Sidorowa w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich. Wśród zwróconych przez Rosjan zabytków znajdował się też od 1943 roku przechowywany w podziemnych komorach baterii pancernej numer 5 obraz Claude'a Moneta *Plaża w Pourville*. Przetrwiał on wojnę, by 19 września 2000 roku w tajemniczych zgoła okolicznościach został skradziony z Muzeum Narodowego w Poznaniu...

Na przechowywane w podziemnych komorach MRU archiwalia, wśród których były między innymi bulle papieskie dla Mogilna i Strzelna z drugiej połowy XII wieku oraz dokument fundacyjny dla klasztoru cystersów w Łeknie z 1153 roku, musieliśmy czekać jeszcze ponad rok. Realizując postanowienia umowy z 30 czerwca 1956 roku, Rosjanie zwrócili je na początku 1958 roku. Było to 19 ton akt i rękopisów.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku nie wróciły jednak wszystkie skarby kultury znalezione przez Rosjan w Niemczech, w tym także na ziemiach, które jak choćby okolice Międzyrzecza przypadły Polsce. W 1990 roku udało się jeszcze rewindykować z chylącego się ku upadkowi Związku Radzieckiego zespół starych, piętnastoi szesnastowiecznych płyt nagrobnych z katedry poznańskiej, pochodzących ze słynnej pracowni Vischerów.

Zwrot polskich dóbr kultury z dzisiejszej Rosji nie jest jeszcze sprawą zamkniętą. I zapewne długo nie będzie.

Oto bowiem jesienią 2008 roku okazało się, że do Wielkopolski nie wróciły również średniowieczne zabytki sakralne, które po rozpadzie Związku Radzieckiego odnalazły się w... Aszchabadzie, stolicy Turkmenistanu. Niemal wszystko wskazuje, że dwa skrzydła ołtarza „Zwiastowanie” z kościoła w Mądrem, w gminie Zaniemyśl, w powiecie średzkim, i tryptyk „Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny” z kościoła w Szamotułach, zrabowane przez Niemców najprawdopodobniej w 1941 roku, trafiły do magazynów podziemnych w fortyfikacjach międzyrzeckich, gdzie padły łupem brygady Bielokopytowa i wraz z innymi skarbami zostały wywiezione do ZSRR. Jak w 1993 roku ustaliła Kerstin Holm, dziennikarka „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w 1945 roku centralne władze radzieckie przekazały niektóre trofejne skarby kultury z Muzeum Puszkina w Moskwie do Państwowej Galerii Sztuki w Aszchabadzie, a w zamian zażądały przywiezienia do Moskwy antycznych wyrobów ze złota i srebra, dywanów i hellenistycznych rzeźb Partów.

Szóstego października 1948 roku Aszchabad zniszczyło silne trzęsienie ziemi. Zginęło około 110 tysięcy osób, czyli jedna trzecia ówczesnych mieszkańców stolicy Turkmeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a niemal wszystkie budynki legły w gruzach. Gmach muzeum również, a znajdujące się w nim zbiory zostały uszkodzone lub wręcz zniszczone. Na razie pozostaje tajemnicą, czy podczas trzęsienia ziemi uległy zniszczeniu dwa boczne skrzydła „Wniebowzięcia”. Zachował się bowiem tylko centralny obraz ołtarzowy z 1521 roku, który w Aszchabadzie nazwano „polską ikoną”. Pod koniec 1945 roku zniszczony zabytek przewieziono do Moskwy, gdzie obraz poddano zabiegom konserwatorskim. Po kilku latach „Wniebowzięcie” wróciło do radzieckiej Turkmenii.

Po opublikowaniu we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” artykułu Kerstin Holm o wielkopolskich skarbach w dalekim Aszchabadzie, władze polskie rozpoczęły starania o zwrot obu obrazów ołtarzowych: tego z kościoła w Mądrem, i tego z Szamotuł. Na przeszkodzie jak pisał Włodzimierz Kalicki w „Gazecie Wyborczej” z 22 października 2008 roku stanął brak stosunków dyplomatycznych między dwoma państwami. „Gdy okazało się czytamy w publikacji Kalickiego że jeden z wziętych turkmeńskich malarzy, często tworzący na zamówienie Saparmurata Turkmenpaszy Wielkiego, jest polskiego pochodzenia, nasi dyplomaci starali się po cichu wykorzystać jego kontakty dla stworzenia przyjaznego klimatu do rozmów o powrocie ołtarzy do Polski. Misja ta spaliła na panewce, ale sprawa ołtarzy wracała podczas wszelkich spotkań dyplomatów obu krajów. Sytuacja uległa zmianie dopiero po ustanowieniu dwa lata temu stosunków dyplomatycznych z Turkmenistanem. Polskie MSZ w imieniu i z upoważnienia kościelnych właścicieli obu dzieł oficjalnie wystąpiło o ich zwrot”.

Zagadki podmiędzyrzeckich podziemi

O tajemnicach północnego odcinka systemu podziemnego MRU mówiło wielu eksploratorów, ale bodaj żaden z nich nie potrafił sprecyzować, na czym tajemnice te polegają. I nam, gdy brocząc w wodzie, wędrowaliśmy od dworca Bertha do dworca Otto i dalej na północ, aż na sam kraniec systemu, czyli do panczerwerku numer 739 grupy warownej „Lutzów”, także nic tajemniczego nie rzucało się w oczy. Wprawdzie na niektórych niemieckich planach podziemi Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty za Ottonem przerywanymi liniami zaznaczono ciąg tuneli tworzących coś w rodzaju pętli, ale nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy tunele te zostały wykonane, czy też wykonano je tylko w jakiejś części lub planowano je dopiero zbudować.

W 2001 roku otrzymaliśmy z Niemiec dość enigmatyczną informację, że w tamtejszych archiwach znaleziono dokument, w którym odnotowano, iż podziemna zbiornica dzieł sztuki nosiła numer 737. Znaczący Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego odpowiedział natychmiast, że żadne z tutejszych dzieł fortecznych nie ma takiego numeru. Ale to wszystko zaprowadziło nas właśnie do podziemi grupy warownej „Lutzów”.

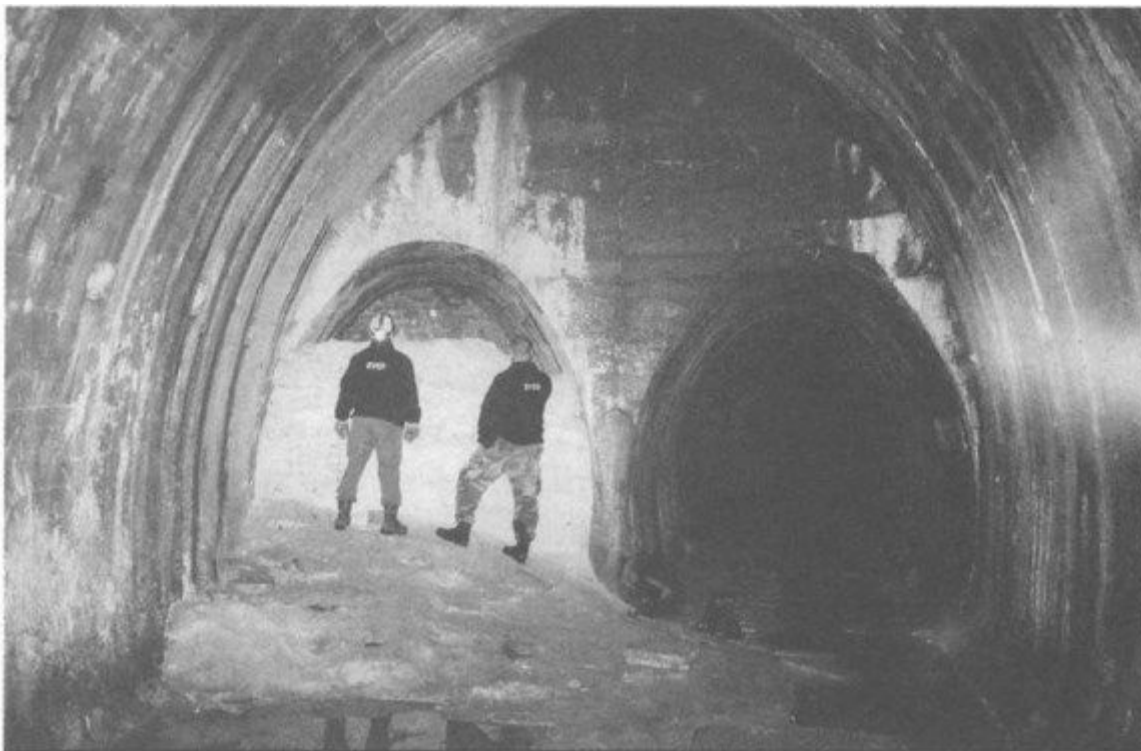
Grupa ta miała zamykać system podziemny na północy, w rejonie osiedla wojskowego Kainscht, czyli dzisiejszej Kęszycy Leśnej. Miała, ponieważ jej budowy nie ukończono. Z planowanych tu licznych dzieł fortyfikacyjnych powstały tylko dwa schrony bojowe o numerach 736 i 739. Również zlokalizowane na głębokości około 50 metrów podziemia nie są zbyt rozbudowane.

Na północnym krańcu częściowo zalanego dworca Otto znajduje się rozgałęzienie tuneli. Prawy patrząc od strony dworca wiedzie na wspomniany północny kraniec systemu podziemnego MRU. Lewy tunel jest zamurowany, a za rozbitym fragmentem muru widać piasek.

Niemal identyczne dwie kolejne „zamurowki” można zobaczyć na kilkusetmetrowym odcinku tunelu wiodącego z dworca Otto na północ. Obie zamykają

od północy anonimowe dworce, ponieważ w tych miejscach przekrój tunelu szlakowego przechodzi w przekrój dworcowy. Za tymi dwoma dworcami jest jeszcze trzeci, również bez nazwy. I on także kończy się podobną „zamurowką”, z tym wyjątkiem, że na rozgałęzieniu tuneli ten lewy jest drożny, a prawy zamurowany.

Stojąc po kostki w wodzie, w świetle latarek elektrycznych raz jeszcze przeglądaliśmy kopię dokumentu z 1950 roku, przechowywanego w Centralnym Archiwum Wojskowym. To „Metryka obiektu Nr 2575”, który to numer Wojsko Polskie nadało wówczas „systemowi tuneli podziemnych”. W dokumencie tym mogliśmy przeczytać dwie uwagi, które nas w tamtej sytuacji szczególnie zainteresowały.



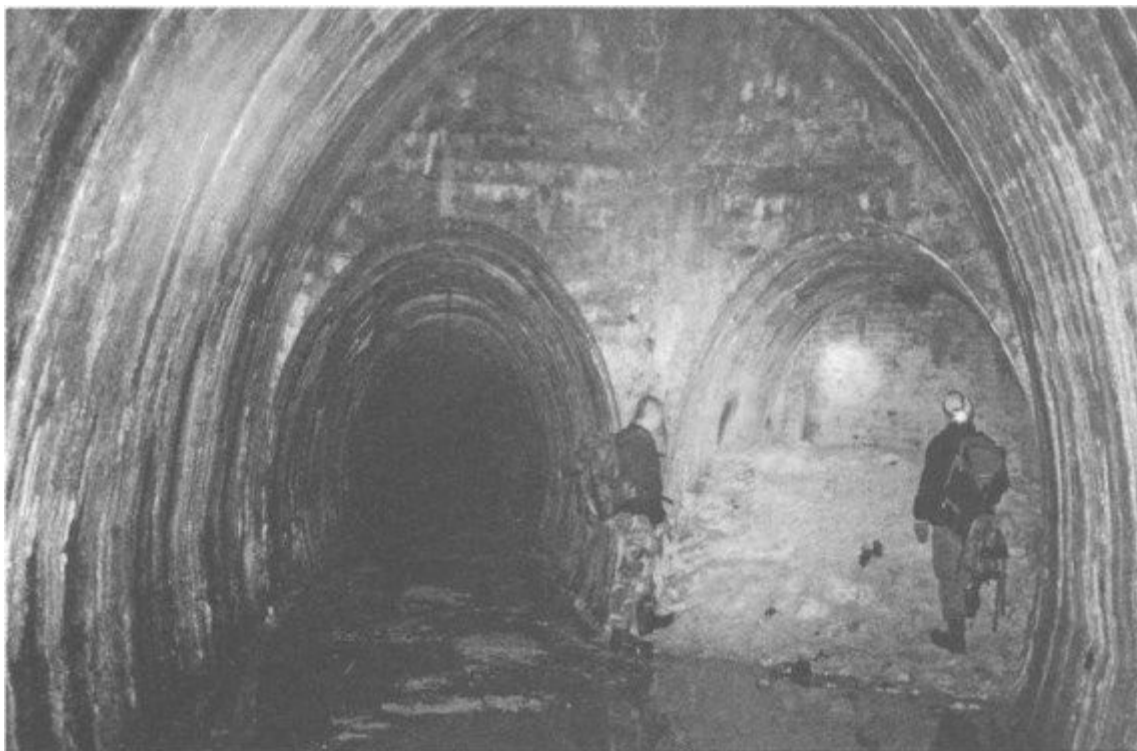
Ślepy czy tylko zawalony korytarz odchodzący z podziemnego dworca Otto? To byłaby jedyna droga do podziemi mitycznego pancerwerku 737.

Fot. Leszek Adamczewski

„Ze względu na to, że kanalizacja została zanieczyszczona, większość głównego północnego tunelu z odgałęzieniami jest zalana wodą o głębokości od 0,1 do 0,4 m, a miejscami woda zalewa cały tunel” to pierwsza z uwag wojskowych. I druga, również ważna. „Zarówno główny tunel, jak i boczne tunele posiadają odgałęzienia ślepe oraz wnęki, które prawdopodobnie miały służyć do dalszej rozbudowy tuneli podziemnych”.

Nie prawdopodobnie, ale na pewno. Ale wróćmy do trzech pierwszych

„zamurowek”, w wojskowym dokumencie nazywanych „ślepych odgałęzieniami”. Czy już po wyjściu na powierzchnię zadaliśmy sobie to pytanie zamykają one dostęp do podziemi znajdujących się na zachód od tunelu wiodącego do PzW 739? Według niektórych łowców tajemnic MRU, podziemia te mają tworzyć „Pętlę Trolli”, przez innych uważaną za wytwór fantazji poszukiwaczy skarbów z Gdańska.



I niemal identyczna sytuacja kilkaset metrów dalej w kierunku północnego krańca systemu podziemnego MRU. Temu podziemnemu dworcowi Niemcy nie nadali nazwy.

Fot. Leszek Adamczewski

Według zaś badaczy MRU, podziemia te miały tworzyć zaplecze magazynowo-techniczne baterii pancernej numer 7. Baterii, która nie została jednak zbudowana.

Ale i to pytanie trzeba postawić czy przed 1939 rokiem nie wykonano tu jakichś prac? Po prostu, czy nie zbudowano części tuneli pod planowaną baterię pancerną numer 7? W jej skład miał wchodzić między innymi schron bojowy, który otrzymałby numer 737. Wszak tajnym rozkazem Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych hitlerowskiego Wehrmachtu, z 9 czerwca 1939 roku, zmieniono numerację niemieckich dzieł pancernych. Tym na wschodzie ówczesnej Rzeszy przydzielono numery od 1 do 1000. Dla Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty zarezerwowano numery od 587 do 897, a więc miało ich być 311. W terenie jest tylko 106 obiektów, z tym że niektóre nie

spełniają wymogów definicji dzieła pancernego, a mimo to otrzymały numer. We wspomnianym rozkazie napisano również, że numeracja powinna być ciągła, ale „w niektórych przypadkach dla zamaskowania ciągła numeracja obecnie istniejących dzieł pancernych jest niepożądana; należy opuścić numery dla planowanych obiektów”.

Jeśli opuszczono numer dla obiektu 737, a opuszczono, bo pancerniaku o takim numerze nie ma, to jednak do 1939 roku mogły powstać jakieś podziemia wiodące w miejsce, gdzie planowano zbudować ów schron bojowy. Niektórzy badacze MRU wręcz sugerują taką możliwość. Tunel wiodący od dworca Otto w kierunku północnozachodnim (a więc do przewidywanego miejsca budowy schronu numer 737) widać bowiem na zamieszczonym w książce Bogusława Perzyka i Janusza Miniewicza Międzyrzecki Rejon Umocniony 1934-1945r. szkicu systemu podziemnego tych fortyfikacji. Ów szkic ilustruje według autorów książki stan zaawansowania budowy Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty w momencie jej przerwania w 1939 roku.

Powyższe dywagacje są o tyle ważne, że Siergiej Sidorow w swym raporcie, sporządzonym w Moskwie po przywiezieniu skarbów znalezionych w podziemiach MRU i zamku w Pęzinie, podał głębokość tego pierwszego miejsca. Według niego, odkryte przez brygadę Bielokopytowa komory z dobrami kultury znajdowały się na głębokości 49 metrów. Jeśli nie ma tu pomyłki, popełnionej na przykład przez Akinszę i Kozłowa podczas przepisywania treści raportu Sidorowa, albo zwykłego błędu korektorskiego w książce *Beutekunst*, to jest to informacja zaiste sensacyjna. I w pełni upoważniła nas ona do wyprawy w rejon dworca Otto grupy warownej „Lutzów”. Bo właśnie ten rejon podziemi znajduje się na takiej głębokości. Ale dzisiaj nie widać tam żadnych komór, z których Sidorow mógłby wyciągnąć ukryte w nich skarby.

Ta zagadka podziemnego skarbcza Rzeszy w fortyfikacjach międzyrzeckich pozostaje nadal nierozwiązana.



Wyjście z rozległego zawалу, broniącego dostępu do części podziemi nieukończonych baterii pancernych numer 5, w tym dwóch komór amunicyjnych o numerach 10 i 11, w których Niemcy przechowywali wielkopolskie i łódzkie skarby kultury.

Fot. Leszek Adamczewski



Stalowe kopuły pancernwerku (schronu bojowego) numer 724, grupy warownej „York”, na centralnym odcinku Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry-Warty, zwanego dziś Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym.

Fot. Leszek Adamczewski



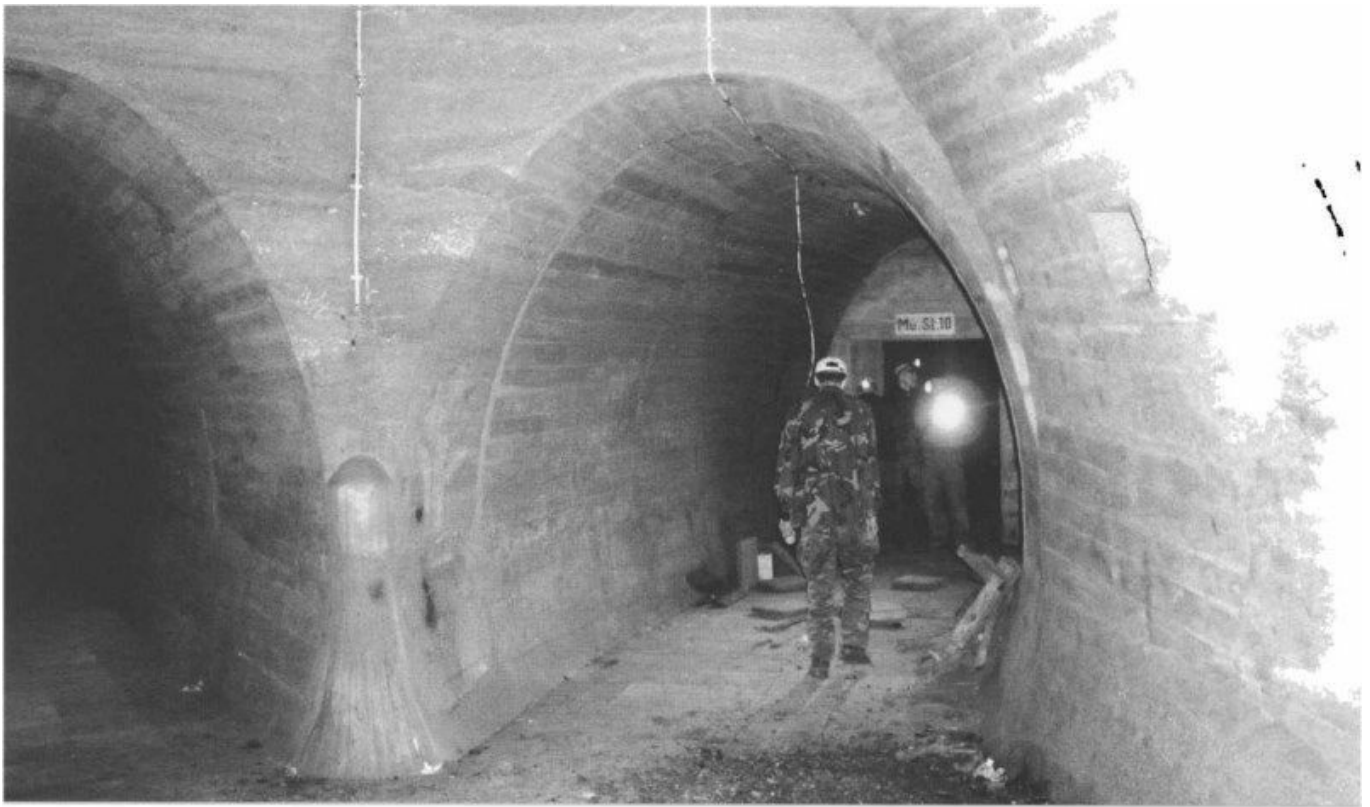
Ten sam pancernwerk 724. i grupa turystów przed zejściem do systemu podziemnego MRU.

Fot. Leszek Adamczewski

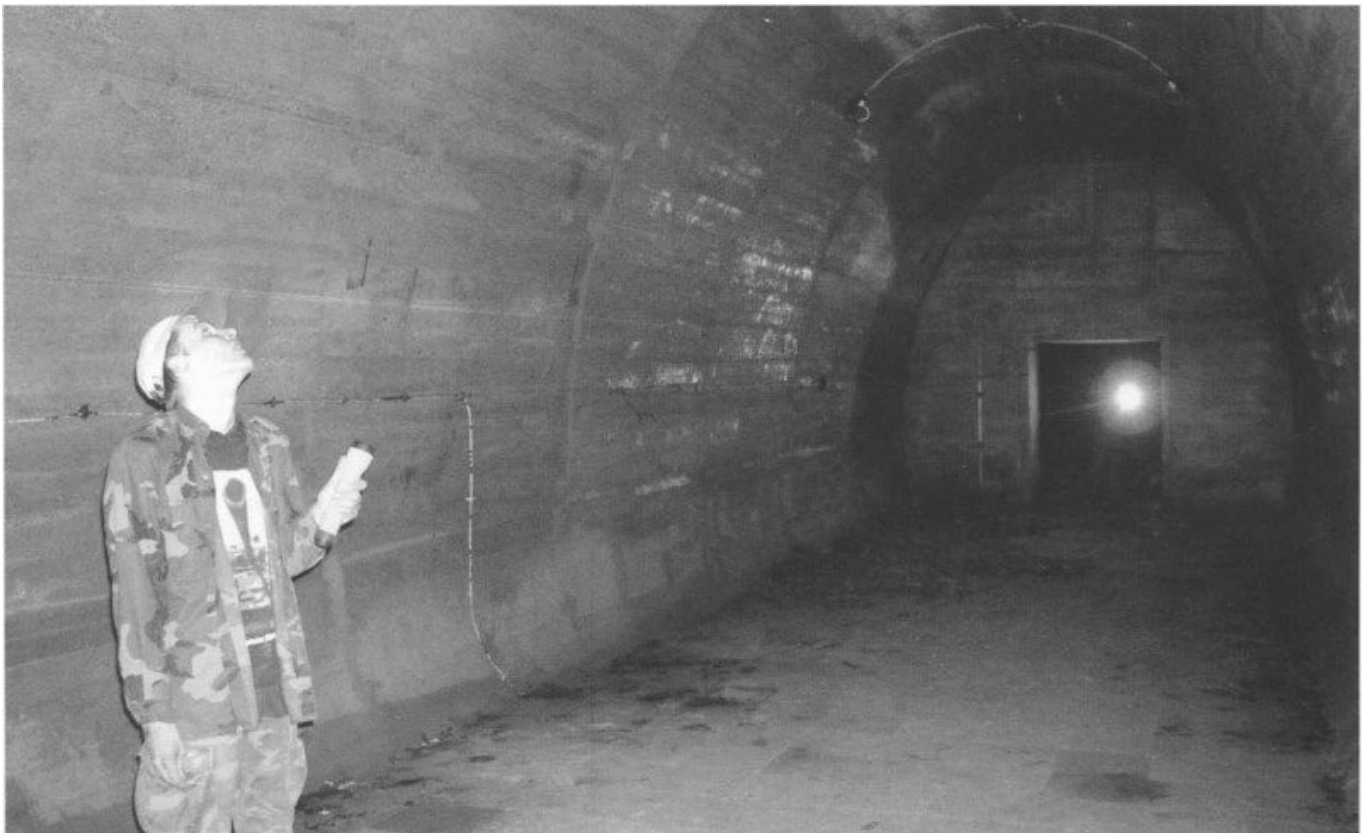


Na tak zwanej głównej drodze ruchu systemu podziemnego MRU.

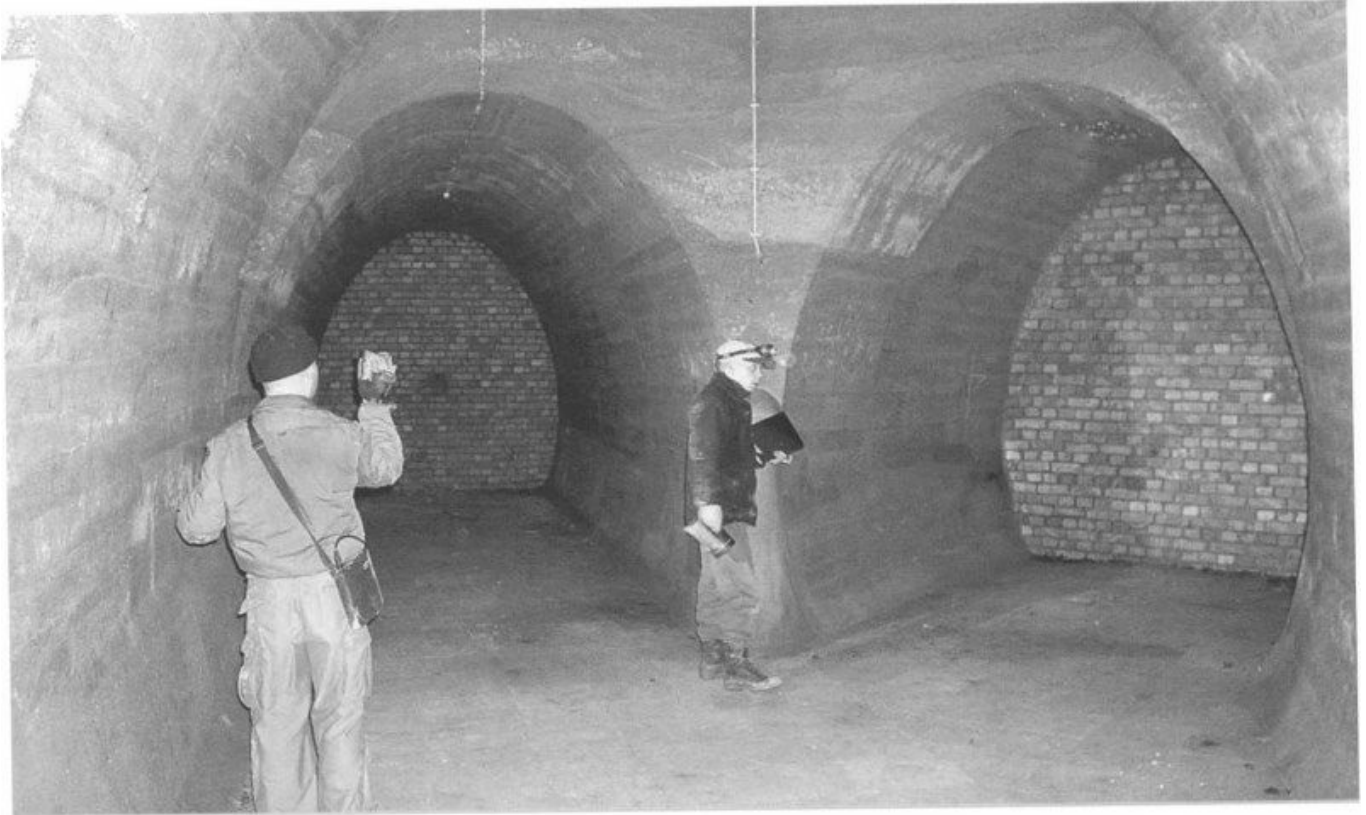
Fot. Leszek Adamczewski



Dojście do komory amunicyjnej numer 10 baterii pancernej numer 5 (zwanej dzisiaj „Pętlą boruszyńską”) znajduje się za rozległym zawałem, będącym skutkiem wysadzenia w powietrze fragmentu podziemnego tunelu.

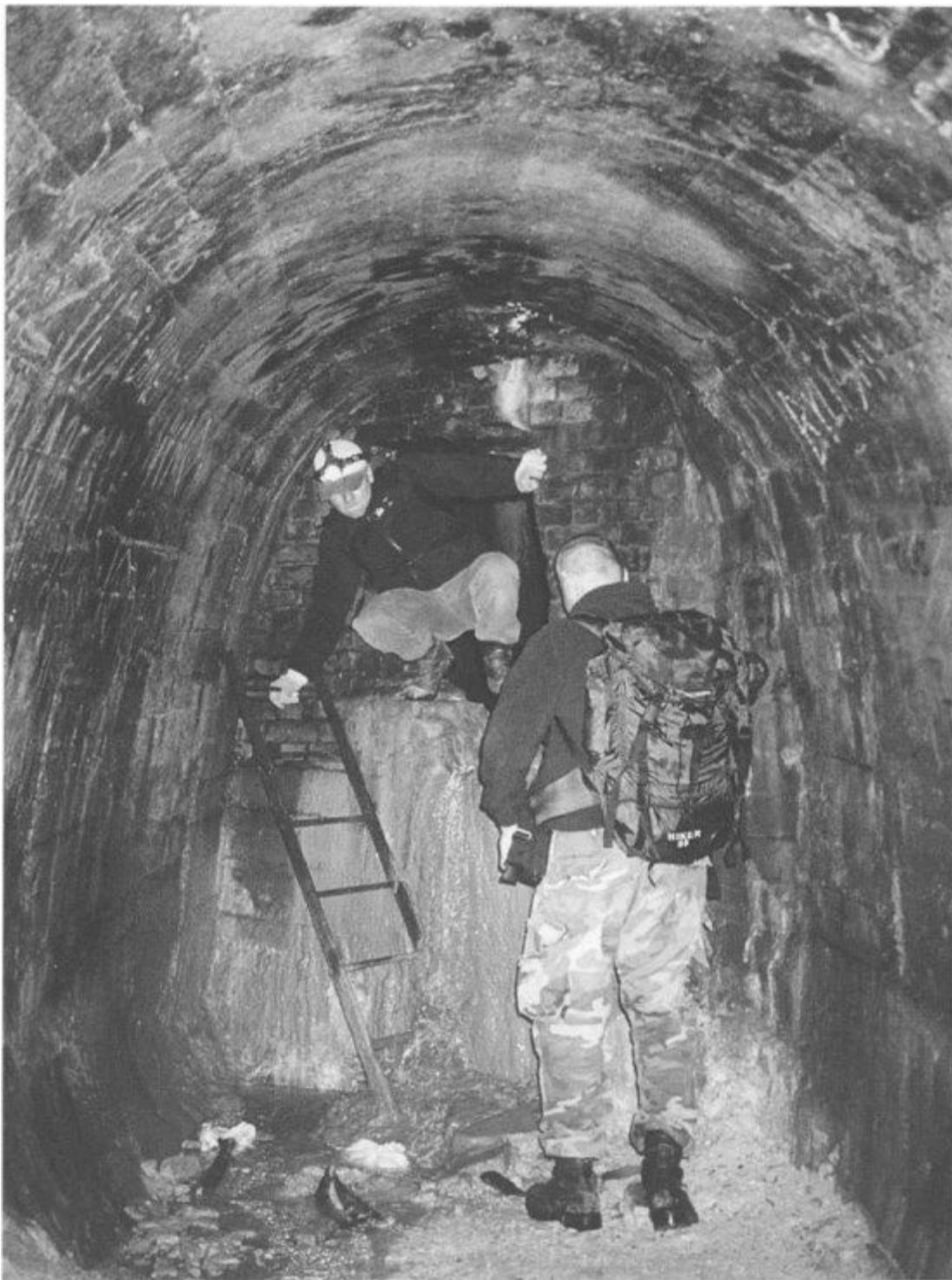


Wnętrze komory numer 10, gdzie w latach drugiej wojny światowej Niemcy przechowywali skarby kultury z Kraju Warty.



Zamurówki na „Pętli boruszyńskiej” w części za zawałem. Poznańscy eksploratorzy sprawdzili, że za ścianami z cegieł nie ma dalszych części podziemi.

Fot. Robert Frąckowiak



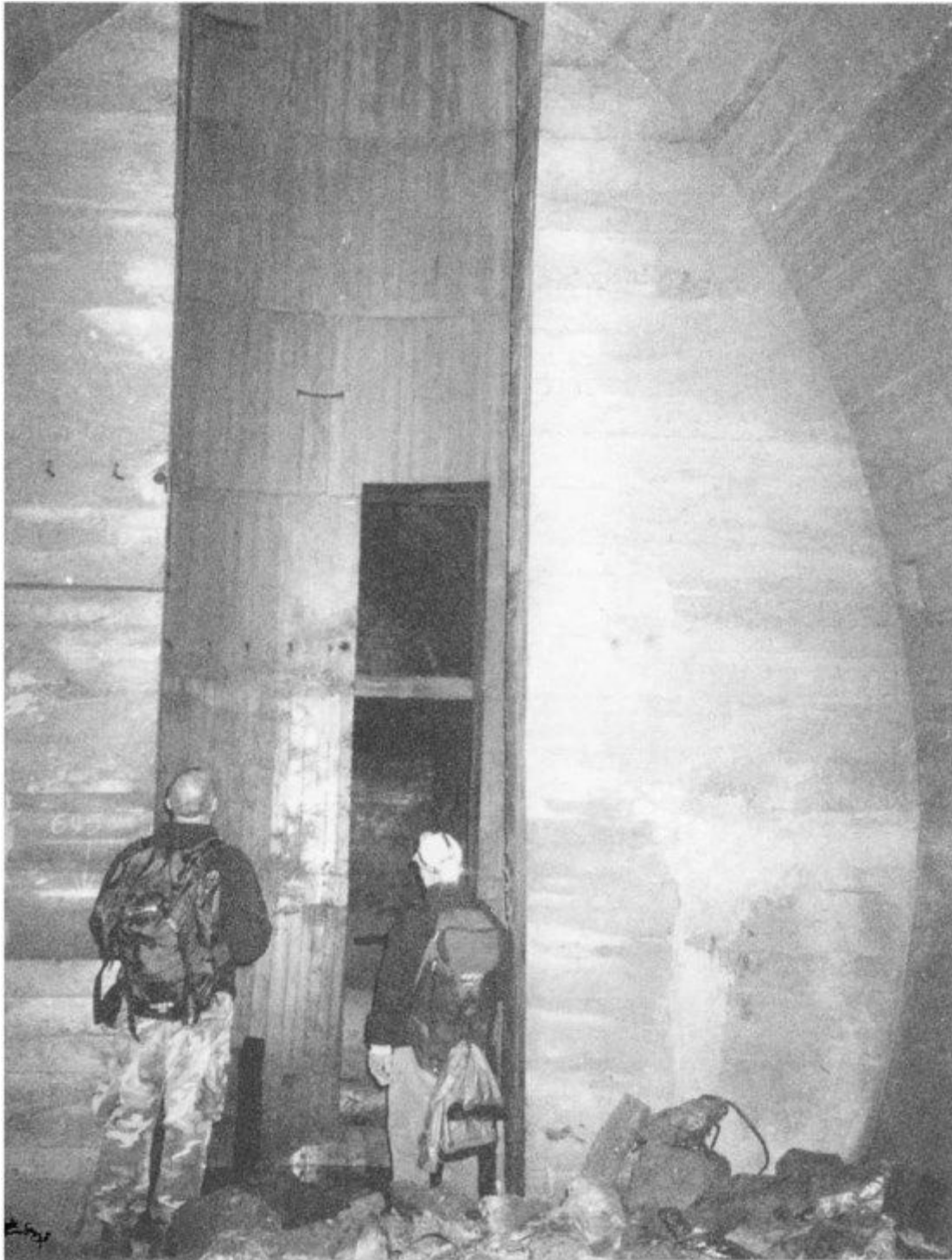
Eksploratorzy – w drodze do północnej części systemu podziemnego Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, niedostępnej dla turystów.

Fot. Leszek Adamczewski



W drodze z dworca Otto na północny kraniec systemu podziemnego MRU.

Fot. Leszek Adamczewski



Podszybie schronu bojowego numer 739, grupy warownej „Lützow”. To zbudowany najdalej na północ pancernik, który Niemcy zlokalizowali w ciągu tuneli systemu podziemnego fortyfikacji międzyrzeckich.

Źródło: Łukasz Adamczak



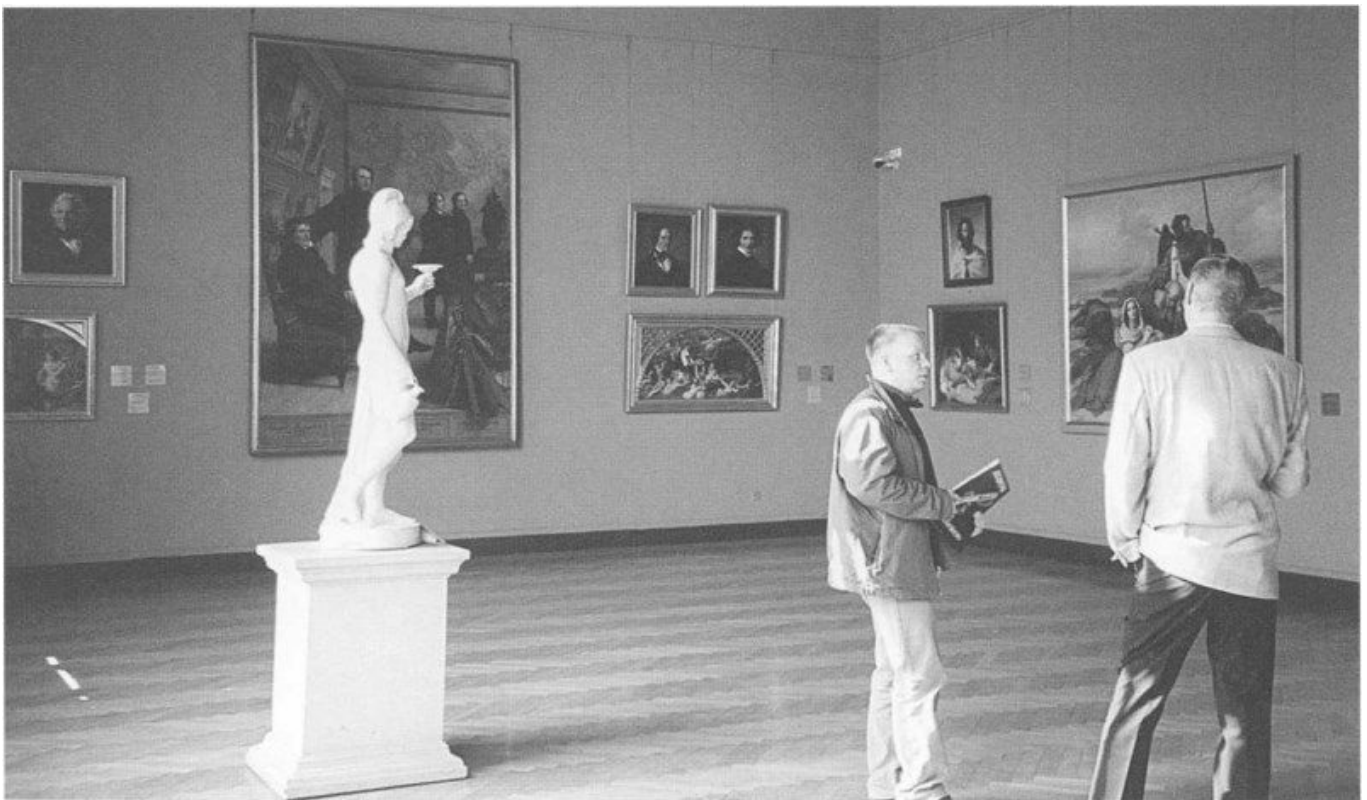
Zrekonstruowana izba dowódcy schronu bojowego numer 717, grupy warownej „Scharnhorst” na trasie turystycznej MRU.

Fot. Leszek Adamczewski



Tak zwane zęby smoka, czyli przeszkody przeciwczołgowe, w miejscu, gdzie czerwonarmiści w końcu stycznia 1945 roku przełamali Ufortyfikowany Front łuku Odry-Warty.

Fot. Leszek Adamczewski

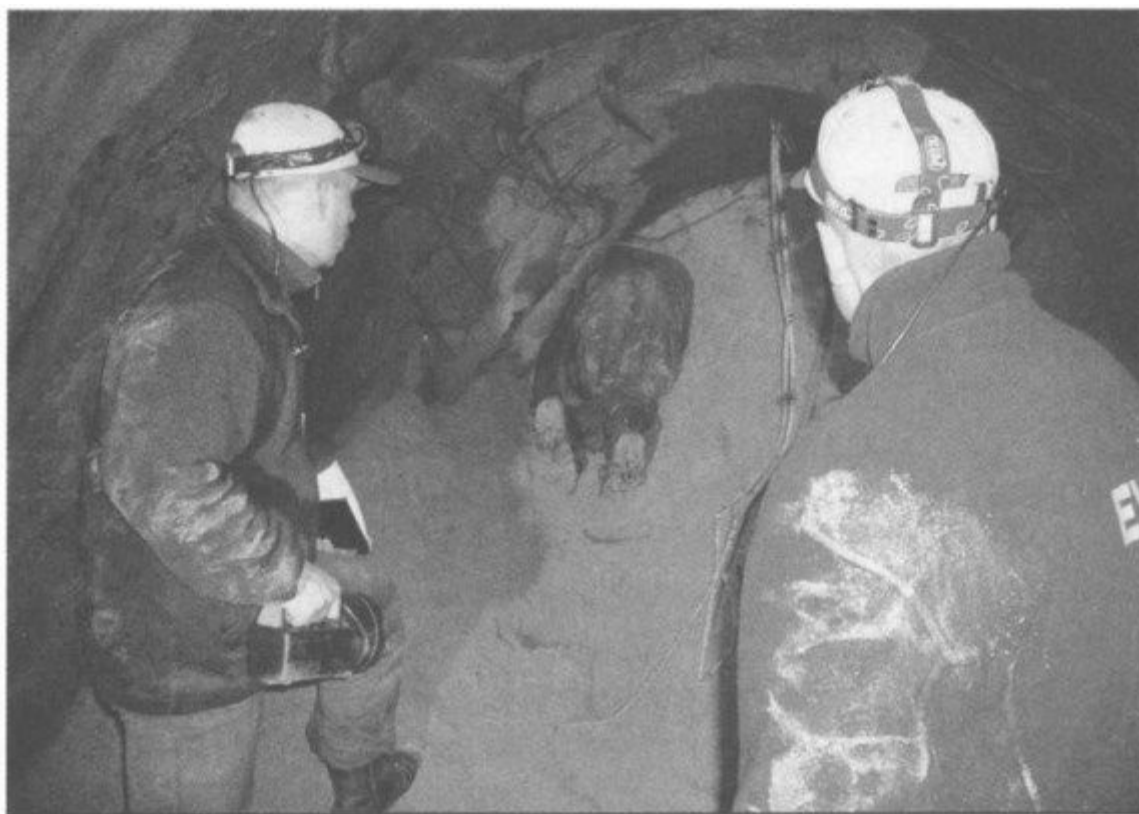


W salach wystawowych i magazynach Muzeum Narodowego w Poznaniu znajduje się sporo obrazów, które podczas drugiej wojny światowej Niemcy wywieźli do fortyfikacji międzyrzeckich, skąd zrabowali je Rosjanie i w 1956 roku zwrócili Polsce.

Fot. Leszek Adamczewski

Chcieliśmy też wiedzieć, czy podczas zbierania materiałów do książki *Beutekunst* w czasach „głasności” i „pierestrojki” Michaiła Gorbaczowa, Akinsza i Kozłów rozmawiali z Siergiejem Sidorowem.

On już wtedy nie żył powiedział Akinsza. Zmarł bodaj w latach siedemdziesiątych. Wtedy żył jednak jego dawny przełożony, Andriej Bielokopytow. Z Bielokopytowem odbyliśmy jedną rozmowę, umówiliśmy się na następne. Już do nich nie doszło. Bielokopytow zmarł. O ile dobrze pamiętam, opowiadał on przede wszystkim o swej działalności w Berlinie.



Poznańscy eksploratorzy ze Stowarzyszenia Archeologii i Ochrony Zabytków Militarnych „Perkun” pokonują zawal w podziemiach baterii pancernej numer 5.

Fot. Robert Fręckowiak

Trzeciego maja 1945 roku, a więc mniej więcej w tym samym czasie, gdy Sidorow pisał w Moskwie swój raport, w którym między innymi podał głębokość, na jakiej w systemie podziemnym fortyfikacji międzyrzeckich znajdowały się komory z poznańskimi skarbami, do tejże Moskwy dotarł drogą radiową ściśle tajny raport specjalny dowódcy 1. Frontu Białoruskiego marszałka ZSRR Georgija Żukowa i członka

Rady Wojennej tegoż frontu generała Konstantina Tielegina do wodza naczelnego. Oto początkowy fragment tego raportu: „Towarzyszu J. Stalin, 2 maja 1945 roku w Berlinie na terenie Kancelarii Rzeszy [...] odkryto zwłoki ministra propagandy Rzeszy, doktora Goebbelsa, i jego żony. Trzeciego maja bieżącego roku w tej samej okolicy, w sztabie Goebbelsa (w bunkrze na głębokości około 80 metrów), znaleziono zwłoki sześciorga dzieci Goebbelsa, które zabrano. Wszystkie ślady na zwłokach wskazują na to, że dzieci zostały zabite silnie działającą trucizną”.

Tymczasem Dieter Zeigert, niemiecki znawca podziemnych budowli z czasów Trzeciej Rzeszy, tak pisał o zbudowanym w 1944 roku schronie pod ogrodem Kancelarii Rzeszy, gdzie 30 maja 1945 roku po południu Adolf Hitler popełnił samobójstwo: „Podstawa bunkra leżała około 8 metrów pod powierzchnią ogrodu i sięgała już wód gruntowych, które nieustannie trzeba było wypompowywać”.

Raz 80, raz 8 metrów. Czy to błąd popełniony podczas przepisywania treści raportu Żukowa i Tielegina na potrzeby książki *Śmierć Hitlera*, z której pochodzi powyższy cytat? Czy może błąd ów popełniono już 3 maja 1945 roku podczas odszyfrowywania raportu dla Stalina i ze względu na tajność tego dokumentu błędu tego nigdy nie sprostowano? Nie można jednak wykluczyć, że Rosjanie w części swych raportów rzeczywiście przesadzali z podawaniem takich czy innych danych, zwłaszcza głębokości.

Zwłoki dzieci Goebbelsów Rosjanie znaleźli najprawdopodobniej w dziecięcej sypialni, która znajdowała się w tak zwanym schronie przednim, zbudowanym w 1938 roku pod monumentalnym gmachem Kancelarii Rzeszy i schodami połączonym z tym, który później powstał pod ogrodem tejże kancelarii. Ów schron był zlokalizowany nieco płycej od schronu z 1944 roku, ponieważ od góry zabezpieczała go masywna, żelbetowa konstrukcja nowego gmachu Kancelarii Rzeszy. Jedno jest tu pewne. W dzielnicy rządowej nazistowskiego Berlina nie było schronu o głębokości „około 80 metrów”. Natomiast w systemie podziemnym MRU o czym była już mowa część korytarzy i komór rzeczywiście znajdowała i do dziś się znajduje na głębokości około 50 metrów, a więc mniej więcej takiej, jaką podał Sidorow w swym raporcie.

W tymże systemie podziemnym fortyfikacji międzyrzeckich można jednak zobaczyć komory, w których skarby poznańskie i łódzkie przechowywano co najmniej

do jesieni 1944 roku. Są to komory nigdy nieukończonych baterii pancernych numer 5, zlokalizowanej na południowym krańcu systemu podziemnego MRU i od pobliskiej wioski nazywanej „Pętlą boruszyńską”.



Widoczne na jednym ze skrawków słowa „Heil Hitler!” wskazują, że te papierowe śmiecie, leżące w komorze amunicyjnej numer 10 wczesną wiosną 2004 roku, gdy zostały sfotografowane, pochodzą z czasów drugiej wojny światowej.

Fot. Robert Frąckowiak

Dodajmy od razu, że komory te znajdują się na znacznie mniejszej głębokości, nieprzekraczającej 20 metrów. Z korespondencji dyrektora Ruhlego z Inspekcją Umocnień Wschodnich w okupowanym Poznaniu i placówką FestungsDienststelle w Sulęcinie wiemy już, że poznańskim placówkom kulturalnym przekazano w użytkowanie komory oznaczone numerami od 8 do 13, z tym że z komory numer 8 zrezygnowano. Była zbyt wilgotna. I jest do dzisiaj, bo bez przeszkód zarówno tę komorę, jak i te noszące numery 9 i 12 można zobaczyć podczas zwiedzania „Pętli boruszyńskiej”. Dzisiaj wiemy też, gdzie są komory amunicyjne numer 10 i 11, chociaż turysta ich nie zobaczy. Znajdują się one bowiem za rozległym zawałem, który od lat

interesował poszukiwaczy skarbów i łowców tajemnic.

Zapewne już w latach siedemdziesiątych XX wieku nieznanym nam osobom udało się przebić przez początkowy fragment zawału i dotrzeć do komory amunicyjnej numer 11, mającej około 30 metrów długości. Na początku następnej dekady do tejże komory dotarł jeden z uczestników wyprawy zorganizowanej przez Marka Bociańskiego z Poznania. Wyprawy, która o mały włos nie zakończyła się tragedią, gdy pod zwałami piasku utknął jeden z jej uczestników.

Latem 2002 roku próbę pokonania zawału i dotarcia do czterech kolejnych komór podjęli członkowie Stowarzyszenia Archeologii i Ochrony Zabytków Militarnych „Perkun”, z siedzibą w podpoznańskim Luboniu. Do czterech kolejnych, ponieważ na planie baterii pancernej numer 5, zamieszczonej w książce Kurta Burka *Die deutschen Landesbefestigungen im Osten 1919/1945* (Niemieckie umocnienia obronne na Wschodzie 1919/1945), widać w sumie pięć komór. Jedna, właśnie „jedenastka”, była już wtedy znana, opisana i obfotografowana. Co kryją cztery kolejne? zastanawiali się członkowie „Perkuna”, gdy po uzyskaniu stosownych pozwoleń od władz gminy Lubrza i ówczesnego dzierżawcy „Pętli boryszyńskiej” rozpoczęli wstępne prace przewidujące oczyszczenie z piasku tunelu wiodącego do zawału.

Już w pierwszych dniach pracy eksploratorzy znaleźli w piasku między innymi srebrną łyżkę do sosu lub ponczu, coś, co zapewne było ozdobą XIX-wiecznego hełmu oraz sporo amunicji, skorodowanych luf i tym podobnych militariów. Natrafili również na fragment ceglanego muru, który przed eksploracją był niewidoczny, bo pokrywały go zwały piasku. Mur ów przegradzał zasypyany tunel mniej więcej w połowie jego długości.

Bez poważniejszych przeszkód eksploratorzy dotarli do znanej im z wcześniejszego rekonesansu komory numer 11. A następnie podjęli próbę przebicia się przez zwały piasku przy nieuszkodzonej przez eksplozję materiału wybuchowego części ściany. Wkrótce natrafili na przewody elektryczne, które wchodziły w ziemię. Do odciętej przez zawał podziemnej części baterii pancernej numer 5 było już blisko.



Wnętrze jednokondygnacyjnego schronu bojowego numer 701, grupy warownej „Körner”. To, że w jego pobliżu Niemcy magazynowali wielkopolskie skarby kultury, Polacy wiedzieli już wiosną 1945 roku. Obecnie te podziemne komory są niedostępne.

Fot. Leszek Adamczewski

I rzeczywiście, po kilku chwilach łopata wpadła w pustą przestrzeń. Z biciem serca odkrywcy wchodzili do nieznanego fragmentu podziemi. W świetle laterek elektrycznych zobaczyli długi na około 150 metrów tunel, od którego odchodzą cztery wejścia do kolejnych komór. Trzy z tych wejść są ślepe, bo przegrodzone murem z cegiel, za którym co sprawdzili nie ma nic. Trzech planowanych tu komór zatem nie wykonano. Czwarte wejście wiedzie do identycznej komory amunicyjnej, jak znana od lat „jedenastka”. Posiada ona numer 10. Ten sam, który widnieje w kilku pismach dyrektora Rühlego w sprawie magazynów depozytowych dóbr kultury. Jeśli nie liczyć zbutwiałych desek i tego rodzaju śmieci, komora była pusta. Odkryty fragment systemu podziemnego MRU wyposażony był natomiast w całą infrastrukturę z lat wojny, głównie w oświetlenie: lampy z żarówkami, kable...

Tajemnicą pozostaje, kto, kiedy i dla czego wysadził w powietrze ten fragment podziemi MRU, na długie lata odcinając dostęp do obu wspomnianych wyżej komór?

Nie znamy odpowiedzi na te pytania. Niektórzy sugerują, że zawał na „Pętli boruszyńskiej” jest przypadkowym skutkiem niemieckiego bombardowania tej okolicy na przełomie marca i kwietnia 1945 roku. O takim bombardowaniu wspominał Siergiej Sidorow. Ruch panujący na powierzchni podczas wyciągania łupów wojennych z systemu podziemnego MRU skarbów kultury i wyposażenia fabryki lotniczej piloci niemieccy mogli rzeczywiście uznać za przygotowania do szturm na Berlin i zbombardować okolicę. Ale znajdujące się za zawałem komory numer 10 i 11 znajdziemy na szkicu tuneli MRU, wykonanym odręcznie przez majora Stepanienkę (zapewne Rosjanina w polskim mundurze) z Departamentu Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej RP podczas penetracji przeprowadzonej we wrześniu i październiku 1945 roku. Stepanienko pomylił tylko numerację komór. Dziesiąta jest u niego jedenastą, a jedenasta dziesiątą.

Szkic Stepanienki powinien sprawić, że bombę niemiecką jako „sprawcę” zawału trzeba będzie ostatecznie odrzucić, ale wątpliwości pozostały. Być może eksplodująca bomba uszkodziła znajdujący się około 10 metrów pod ziemią strop żelbetowego tunelu. Uszkodziła właśnie, a nie zniszczyła. Stąd też Stepanienko mógł zobaczyć obie komory i nanieść na swój szkic. Ale gdy w 1949 roku Wojsko Polskie zainteresowało się systemem podziemnym fortyfikacji międzyrzeckich, któryś z oficerów mógł zwrócić uwagę na uszkodzony tunel wiodący do obu komór. Mógł na przykład zobaczyć piasek sypiący się przez szczeliny w żelbecie. W związku z tym, że po podziemiach kręciło się wtedy wielu żołnierzy, ewentualne zawalenie się tunelu odcięłoby tych, którzy akurat przebywaliby w ślepych korytarzu lub przylegających doń komorach numer 10 i 11. Chcąc uniknąć tragicznego wypadku, uszkodzony fragment tunelu po prostu wysadzono w powietrze.

Tak było? Czy tak być mogło? To, rzecz jasna, tylko hipoteza. Eksploratorzy, którzy wykrywaczami metali badali na powierzchni lej nad zawałem, nie znaleźli w nim odłamków bomby. Ten lej ich zdaniem powstał wskutek wsypania się tysięcy metrów sześciennych ziemi do systemu podziemnego MRU.

W każdym razie, żadne znane nam dokumenty lub relacje niemieckie, radzieckie i polskie ani słowem nie wspominają o wysadzeniu w powietrze jednego z tuneli baterii pancerniej numer 5. Odrzucić też trzeba krążącą wśród niektórych eksploratorów

pogłoskę, że zawał jest skutkiem działalności górnika, który wyposażony w ładunki wybuchowe miał grasować w podziemiach MRU w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych XX wieku. Przeczy temu, kilkumetrowej długości, bardzo szczegółowy plan systemu podziemnego Rejonu Umocnionego „Międzyrzecz”, sporządzony przez specjalistów wojskowych latem 1951 roku. Gdy bardzo ostrożnie rozwijaliśmy kruchą kalkę techniczną, na którą ów plan został naniesiony, w pierwszej kolejności obejrzeliliśmy to, co dzisiaj nazywamy „Pętlą boruszyńską”. W interesującym nas miejscu przebieg tunelu został doprowadzony do miejsca zawału. Dalej jest pustka.

Uważnie obejrzeliliśmy też okolice dworca Otto na północy systemu podziemnego. Wojskowi specjaliści, którzy sporządzali ten plan, nie zauważyli tam niczego, czego i my dzisiaj nie zobaczymy. W każdym razie, w połowie 1951 roku przebieg tuneli grupy warownej „Lutzów” odpowiadał stanowi dzisiejszemu. Jeśli odcięto dostęp do tunelu, który widać na wspomnianym szkicu zamieszczonym w książce Perzyka i Miniewicza, to musiało to nastąpić wcześniej.

I w tym miejscu znowu natrafiamy na zagadkę. Otóż major Stepanienko zaznaczył na swoim szkicu, że gdzieś na północy systemu podziemnego jesienią 1945 roku zobaczył wymalowany na żelbetowej ścianie napis, że tu prowadzi droga do... PzW 737. Takiego napisu dzisiaj nie ma lub tylko go nie widać. Nie wiadomo też, gdzie go szukać, ponieważ Stepanienko nie oddał wiernie na swoim szkicu przebiegu tuneli północnego fragmentu podziemi MRU.

Niektórzy badacze tajemnic Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego piszą nie podając źródła tej informacji o zbombardowaniu w drugiej połowie 1944 roku zakładów Schachtelalm koło Hochwalde przez lotnictwo alianckie. Bomby nie wyrządziły ponoć większych szkód. O tym nalocie nie wspominali, przesłuchiwani po wojnie, polscy robotnicy przymusowi z obozu koło Hochwalde.

Idąc śladem miejsc na terenie dawnego Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty, gdzie Niemcy na pewno lub tylko rzekomo magazynowali skarby kultury, musimy się udać także w okolice dzisiejszej Lubrzy, aby zobaczyć ruiny schronu bojowego numer 701, wchodzącego w skład grupy warownej „Komer”. Jak już wiemy, grupa ta leżała poza centralnym odcinkiem fortyfikacji międzyrzeckich, a więc nie obejmował jej już system podziemny. Schron 701 był standardowym obiektem

jednokondygnacyjnym, posiadał też kazamatę dla armaty 105milimetrowej.

Z czysto praktycznego punktu widzenia obiekt ten najmniej nadawał się na magazyn dóbr kultury. Nie posiadał podziemi, a grupa „Komer” nie miała jak choćby leżące również poza systemem podziemnym MRU grupy warowne „Ludendorff” i „Schill” podziemnych połączeń między poszczególnymi pancernymi wchodzącymi w jej skład. Ponadto zdaniem fachowców interesujących się niemieckimi fortyfikacjami pancerny 701 ma mnóstwo drobnych błędów budowlanych. Tak dużo, że wykluczają oni niechlujstwo wykonawcy.

Zaraz... Napisałiśmy, że schron 701 nie posiadał podziemi. Ale gdy penetrowaliśmy jego pomieszczenia, nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, gdzie mogły tu leżeć dziesiątki skrzyń ze skarbami kultury. W schronie, wszak obiekcie bojowym, nie było na nie miejsca.

Wróćmy zatem do spisanych w 1995 roku wspomnień Przemysława Michałowskiego pracownika Muzeum Wielkopolskiego, który wczesną jesienią 1939 roku rozmawiał z dyrektorem Rühlem. Michałowski wrócił do pracy w Muzeum Wielkopolskim na kilka dni przed kapitulacją ostatniego punktu niemieckiego oporu w Festung Posen. Po wyzwoleniu Poznania brał czynny udział w poszukiwaniach i rewindykacji eksponatów muzealnych.

Opowiadając o tym, wspomniął o wizycie pracowników ówczesnego Muzeum Wielkopolskiego w okolicach Międzyrzecza:

Nasza ekipa tam pojechała. Ja nie byłem w jej składzie, więc nie wiem, gdzie konkretnie ona była. W każdym razie na pewno w rejonie Kalau, bo nazwą tej podmiędzyrzeckiej wioski określaliśmy w muzeum tamtejsze magazyny depozytowe naszych zabytków. Z tej ekipy chyba nikt dzisiaj nie żyje, stąd też trudno będzie zdobyć bardziej szczegółowe informacje na temat ich wyprawy. Wiem jednak, że na miejscu przekonali się, iż część naszych zbiorów muzealnych rzeczywiście była tam składowana. Wprawdzie podziemne sale zastali puste, to jednak znaleźli nasze kartki inwentarzowe...

Trudno sobie wyobrazić, by Rosjanie, w których gestii pozostawały wtedy fortyfikacje międzyrzeckie, pokazali ekipie z Poznania jakiegokolwiek komory w systemie podziemnym MRU. Gdyby nawet tak było, to poznaniacy opowiadaliby po powrocie o

pobycie w tajemniczym mieście podziemnym, a oni jak zapamiętał to Michałowski mówili tylko o jakimś schronie. Wszystko zatem wskazuje, że Rosjanie pokazali ekipie poznańskiej schron bojowy numer 701, o którym w Poznaniu wiadano, że był składnicą zabytków kultury. I o tym wiedzieli też Rosjanie, choćby z not dyplomatycznych ówczesnej Ambasady RP w Moskwie.

Ale Rosjanie pokazali ekipie poznańskiej coś, czego dzisiaj nie widać. Gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie schronu numer 701 musiały znajdować się podziemia ze wspomnianymi przez Rühlego pomieszczeniami, które zaplanowano jako magazyn amunicji lub żywności dla załogi całej grupy warownej „Komer”. W 1942 roku pomieszczenia te wykorzystano jako magazyn skarbów kultury, które z tych okolic wywieziono w październiku 1944 roku. Przeto sami Rosjanie nie musieli okłamywać poznaniaków. Te pomieszczenia podziemne rzeczywiście były puste w momencie przełamania umocnień Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty przez Armię Czerwoną. Gdy na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku saperzy polscy wysadzali w powietrze niektóre obiekty fortyfikacji międzyrzeckich, w tym i schron numer 701, odcięto wejście do tych podziemi.

Trzeba jeszcze postawić jedno pytanie, na które nie znamy odpowiedzi. Pytanie najtrudniejsze i najważniejsze. Czy major Siergiej Sidorow z brygady trofiejnej Andrieja Biełokopytowa z podziemi MRU wyciągnął wszystkie ukryte tam przez Niemców skarby? Pytanie to warto chyba zmodyfikować, rozszerzając je na Rosjan w ogóle, ponieważ nie można wykluczyć, że po odjeździe pociągu wojskowego numer 177/4162 czerwonoarmiści mogli natrafić w podziemiach fortyfikacji międzyrzeckich na jeszcze jedną komorę z dobrami kultury.

W tak zwanej literaturze eksploracyjnej funkcjonuje kilka relacji na ten temat. Nie mają one jednak żadnego potwierdzenia w materiałach źródłowych i wszystko wskazuje, że są wytworem czyjejś fantazji. Najprawdopodobniej do tej kategorii trzeba zaliczyć i to, o czym w „Exploratorze” (numer 4) pisał Stanisław Siorek, zmarły wiosną 1998 roku emerytowany pracownik wrocławskiej Słby Bezpieczeństwa, przez lata bezskutecznie poszukujący tak zwanego złota Wrocławia.

„W końcowych latach PRL pisał Siorek (pisownia oryginalna) miałem przyjemność utrzymywać bliskie, służbowe i towarzyskie kontakty z wyższym oficerem wojsk

radzieckich, stacjonujących w Polsce. Był on odpowiedzialny między innymi za bezpieczeństwo wojsk stacjonujących w Kęszycy, leżącej na linii MRU. Obejmując tę funkcję, szybko zorientował się, że tunele przebiegają pod ochranianymi przez niego obiektami wojskowymi. [...] Ponieważ z doświadczeń afgańskich miał złe wspomnienia na temat roli tuneli w czasie wojny i możliwości wysadzenia w powietrze wojsk przeciwnika, postanowił całą sprawą zająć się na serio. Podczas penetracji tunelu głównego od strony Kaławy zauważył, że występują tam boczne tunele z wejściami zamurowanymi, naprzemiennie usytuowane z obydwu stron, których konstrukcja wskazywała, że są wykończone, obetonowane i kryją celowo ukrytą przed ciekawskim okiem tajemnicę. Oceniał, że tych bocznych tuneli powinno być ponad sto, na interesującym go odcinku do Kęszycy. Zdecydował się na rozbicie losowo wytypowanego zamurowania tunelu bocznego dla sprawdzenia, czy nie jest to przypadkowe rozgałęzienie tuneli i jaką kryje tajemnicę.

Do akcji starannie przygotowano pluton żołnierzy, około trzydziestu ludzi, zaopatrzonych w odpowiedni sprzęt i oświetlenie. Operację wykonano nocą. Od strony tunelu głównego ściana była gruba na jedną cegłę. Za nią były pionowo ułożone deski, powstrzymujące duże ilości piachu. Gdy ten piach podsypyany pod sam sufit wybrano, po kilku metrach natknięto się na identyczną ścianę z desek i cegły. Gdy i ta została rozebrana, zobaczyli kilkumetrową pustą przestrzeń tunelu; za nią pokazała się identyczna zapora z piachu, umieszczona też między dwoma ścianami z desek i cegły. Po pokonaniu i tej przeszkody tunelowej dotarto do... olbrzymiej, obetonowanej hali o wymiarach około 30x80 m (pomiar szacunkowy), wypełnionej przeróżnymi dobrami...

Oficer ten powiedział mi, że gdyby te dobra zawłaszczył, to on i jego żołnierze z rodzinami już do końca życia nie musieliby trudnić się pracą zarobkową, bo na wszystko by starczyło. O treści rozmowy, zgodnie z obowiązującymi poleceniami, poinformowałem swoich przełożonych, ale nikogo to wtedy nie zainteresowało”.

Tak ogromnej hali w systemie podziemnym fortyfikacji międzyrzeckich nie było, a Siorek nie zadał sobie trudu sprawdzenia, jaką wielkość mają zbudowane tam komory podziemne. Także opisany sposób maskowania rzekomo odnalezionnej przez Rosjan komory (co, biorąc pod uwagę słowa o doświadczeniach afgańskich, mogło się zdarzyć tylko w latach osiemdziesiątych XX wieku) jest na tyle skomplikowany, że nikt w

ostatnich tygodniach niemieckich rządów w okolicach Meseritz nie miał na to ani czasu, ani chęci. Ani nie było takiej potrzeby.

To raczej czysta fantazja Siorka niż tajemniczego oficera z Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej.

Można, rzecz jasna, zastanawiać się nad tym, że Sidorow meldował o odkryciu trzech komór ze skarbami kultury, gdy tymczasem ze znanego nam dokumentu niemieckiego z 14 kwietnia 1944 roku (o przekazanych na rzecz przemysłu zbrojeniowego pomieszczeniach w twierdzach i pozycjach obronnych) wiadomo o czterech pomieszczeniach w systemie podziemnym Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry - Warty, oddanych do dyspozycji placówek kierowanych przez Rühlego i Weisa. W tym rachunku brakuje nam więc jednej komory. Ale od połowy kwietnia 1944 do mniej więcej połowy stycznia 1945 roku zmieniło się tyle, że trzeba skonstatować, iż dokument ów obrazował stan obowiązujący wiosną 1944 roku.

Jednak z drugiej strony nie można lekceważyć głosów poznańskich muzealników i archiwistów. Kierownictwo Muzeum Narodowego w Poznaniu twierdzi, że z list strat wojennych brakuje około tysiąca obiektów, nie licząc dzieł sztuki z prywatnych kolekcji z całej Wielkopolski, które władze hitlerowskie przekazały w gestię KaiserFriedrich Museum. O podobnych ubytkach mówi kierownictwo Archiwum Państwowego w Poznaniu. Można założyć, że część z nadal poszukiwanych zabytków uległa zniszczeniu podczas działań wojennych, a niektóre egzemplarze, zrabowane z niemieckich magazynów podczas wojny lub tuż po, mogą znajdować się w rękach prywatnych. Przede wszystkim w Polsce.

Potwierdził to Przemysław Michałowski, który w 1995 roku powiedział, że w 1943 roku ze składnicy zlokalizowanej na plebanii poznańskiego kościoła Świętego Michała skradziono 103 obrazy.

Teraz mówił wówczas Michałowski niektóre ze skradzionych wtedy zabytków odnajdują się choćby w antykwariatach.

Wiadomo też, że niektóre egzemplarze znajdują się jeszcze w Rosji, na przykład kilka waz greckich ze słynnej kolekcji gołuchowskiej. A co z resztą?

Być może skarby te leżą do dziś w dobrze zamaskowanej betonowej grocie gdzieś w systemie podziemnym Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.